

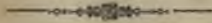


# DONKISZOT ŻYDOWSKI.

SZKIC Z LITERATURY ŻARGONOWEJ ŻYDOWSKIEJ

przez

**Klemensa Junoszę.**



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

**Teodora Paprockiego i S-ki.**

—  
1885.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, Юля 31 дня 1885 года.



22.692

---

*Druk „Wiek”, Nowy-Swiat Nr. 61.*

## Wstęp.

Praca niniejsza wymaga kilka słów objaśnienia, które właśnie mam zamiar podać, w sposób najtreściwszy.

Żydzi są w tem, szczęśliwszem od wielu narodów, położeniu, że u nich każdy człowiek, biedny czy bogaty, wyrobnik, czy też krociami obracający kupiec, musi umieć czytać. Tradycya, obyczaje, obowiązki religijne wreszcie, wymagają od nich umiejętności czytania, a w sferze konserwatywnej „uczoność“ i „biegłość w piśmie“ uważane są za najcenniejszy przymiot człowieka.

Nieraz zastanawiałem się nad tem, co nasi, polscy Żydzi czytają? co się znajduje w tym stosie ksiąg, jaki u każdego z nich znaleźć można? Czy są to tylko księgi święte i Talmud? czyli też i dzieła innej, świeckiej, treści? Dziś mam już na to pytanie odpowiedź.

Żydzi posiadają dwie literatury i dwa odrębne, zupełnie niepodobne do siebie, języki. Pierwsza literatura to hebrajska—druga żargonowa. Myli się ten, kto język hebrajski do umarłych zalicza, żyje on i rozwija się ciągle. Pięcioksiąg Mojżesza, księgi Starego Testamentu wogóle, Talmud, prace uczonych Żydów średniowiecznych, olbrzymia literatura rabiniczna, wreszcie przekłady znakomitych dzieł spół-

czesnych z dziedziny nauk ścisłych—oraz poezya—świadczą że język ten, od czasów przedmójżeszowych jeszcze aż do dni naszych, ciągle jest na usługach myśli i ducha ludzkiego. Hebrajska jednak literatura, jest literaturą wyższą, dostępną tylko dla ludzi więcej wykształconych, władających „mową świętą“ jak ją Żydzi zowią, językiem pięćoksięgu i proroków.

Massa hebrajskiego języka nie zna, i dla niej też istnieje inne piśmiennictwo, to jest literatura żargonu. Jest to w ścisłym znaczeniu tego wyrazu literatura ludowa.

Do niezbyt dawnych jeszcze czasów książki żargonowe miały charakter wyłącznie religijny. Drukowano w nich modlitwy dla kobiet, przekłady częściej w praktyce stosowanych przepisów Talmudu i wogóle to tylko, co z wyznaniem, formami i obrzędami religijnymi miało jakiś związek. Dopiero przed laty czterdziestoma mniej więcej, światlejsi Żydzi, pragnąc wprowadzić pierwiastki cywilizacyjne do życia zacofanych swych braci — zaczęli pisać w żargonie i stworzyli literaturę dość już obszerną, literaturę, w której można znaleźć prace istotnie godne uwagi. Postanowiłem już oddawna zapoznać się z tem mianowicie piśmiennictwem, co mi się do pewnego stopnia udało — i oto właśnie przedstawiam czytelnikom pierwsze owoce pracy na tem polu.

Książki żargonowe drukowane są literami hebrajskimi, w języku, który jest zaprawdę osobliwą lingwistyczną miksturą. Bez ustalonych form, bez gramatyki i składni prawidłowej, z tysiącami najrozmaitszych naleciałości, jest on tak dalece dowolnym, że każdy autor prawie inaczej go używa.

Zkąd się wziął ten „język“ osobliwszy, nie tu miejsce rozbierać szczegółowo. Żydzi, przywędrowawszy do nas przed ośmioma wiekami z Niemiec, przynieśli z sobą i mowę

niemiecką, która już była widać domowym ich językiem. Samo ich życie, skrepowane, ograniczone na każdym niemal kroku różnemi przepisami religijnemi, dorzuciło do niemyzny wiele wyrazów hebrajskich i wogóle oryentalnych, w które obfituje Talmud, a nareszcie stosunki z rdzenną ludnością krajową, stały się powodem, że do żargonu weszły wyrazy czysto słowiańskiego pochodzenia.

Można sobie wyobrazić zatem jaki dziwoląg językowy wytworzyć się musiał w takich okolicznościach!

Pewna partya żydów postępowych walczy przeciwko żargonowi, usiłuje go wytępić i skłonić żydów do używania mowy krajowej, inna zaś chce właśnie, przez rozpowszechnianie książek w żargonie—cywilizować masę. Wytępić żargon, myśl piękna; lecz łatwiej ją wypowiedzieć aniżeli wykonać, gdyż bądź co bądź żargon jest językiem żyjącym i używanym przez setki tysięcy ludzi, i wiele zapewne wody upłynie zanim go żydzi porzucą.

Literatura żargonowa, o tyle o ile krzewi dobre zasady i uczciwe myśli, ma rację bytu—i prędzej osiągnie cel zamierzony, aniżeli najpiękniejsze książki i broszury polskie, których żyd-konserwatysta nie bierze do ręki. Wychodząc z tego stanowiska nie godzi się potępiać autorów piszących w żargonie, gdyż kierują nimi dobre pobudki.

Autorowie żargonowi rekrutują się przeważnie z pośród żydów litewskich; książki zaś drukowane w tym idyomie wychodzą głównie w Wilnie, Petersburgu, Berdyczowie, Odessie, w niektórych miastach galicyjskich i potroszę w Warszawie. Na ilość jest ich wiele, co do jakości zaś, to jest wartości ich wewnętrznej, dużo można powiedzieć. Niektóre z nich pisane są przez ludzi obdarzonych rzeczywistym talentem, obserwatorów doskonałych, znających życie żydowskie gruntownie, i myślących głęboko. Od-

znaczącą się one satyrą ostrą, zjadliwą, gryzącą, satyrą czysto-żydowską.

Nie chcąc przeciążać zbytecznie tego i tak już przydługiego wstępu, objaśnić muszę jeszcze powód, który mnie skłonił do zaznajomienia się bliższego z tą literaturą.

Przedewszystkiem szło mi o bliższe poznanie żydów, ich życia religijnego, domowego, sposobu wychowywania i kształcenia dzieci—ich przesądów i zabobonów. Mieszkając na jednej ziemi, powinniśmy znać się bliżej koniecznie— a czyż się znamy? Bynajmniej. Społeczeństwo nasze zna faktora, kupca, rzemieślnika, lichwiarza — ale żyda nie zna. Nie zna go takim jakim on jest w domu, w szkole, w towarzystwie swych współbraci, w bóżnicy. Żyd z chrześcianinem spotyka się na targu, w kramie swoim, i tam tylko wogóle gdzie idzie o jakiś interes. Interes się kończy i żyd znika w swoim domowym zaciszu, które od chrześciańskiego społeczeństwa oddziela mur chiński, wznoszony przez wieki. Religia, język, przesady oddzieliły od siebie te dwie warstwy ludności, a oddzieliły w ten sposób, że z poza owego muru żyd doskonale widzi chrześcianina, zna na wskrós jego życie domowe, jego słabości i wady, a sam zupełnie jest przez swego sąsiada nieznanym.

Otóż znajomość literatury żydowskiej, która w wielu razach, z fotograficzną dokładnością maluje domowe życie izraelitów, ich zalety i wady, występki i cnoty, uchylić może do pewnego stopnia zasłonę—i dać poznać nie kupca, nie handlarza, nie faktora, lecz... żyda. Wiadoma to rzecz, że pomiędzy chrześciańską a żydowską ludnością kraju nie ma wielkiej sympatii, że jak z jednej tak i z drugiej strony są nieporozumienia, są wzajemne pretensye i niechęci — poznajmy się więc bliżej, a może łatwiej przyjdziemy do ładu i harmonii, tak pożądaney dla dobra ogólnego.

Książki żydowskie drukowane są u nas, czytane przez



ludzi, z którymi łączą nas ciągle i nieustanne stosunki— a jednak my tych książek zupełnie nie znamy.. Nasza sfera inteligentna więcej ma wyobrażenia o literaturze hiszpańskiej, a nawet i chińskiej, aniżeli o tem co czytają żydzi obok nas, na jednej ziemi, mieszkający. Ztąd też i piśmiennictwo ich wolne jest od wszelkiej krytyki i nie liczy się zupełnie z opinią chrześcijańskiej ludności. To był drugi wzgląd, który mnie skłonił do studyowania żargonu.

Zdaje mi się, że w tych kilku słowach wyjaśniłem dostatecznie cel niniejszej pracy. Z dalszego jej ciągu przekona się czytelnik, że literatura żydowska wprowadza nas w świat nowy, zupełnie nam nieznany (pomimo tak blizkiego sąsiedztwa), że ona ukáže nam żydów i życie ich domowe w całej prawdzie, że wiele mylnych mniemań obali, a natomiast odsłoni wiele stron dotychczas dla nas niepochwytanych.

. . . . .

## I.

Utwór, który w streszczeniu zamierzam szanownym czytelnikom przedstawić, wyszedł z pod pióra p. Abramowicza, najzdolniejszego i najpopularniejszego autora żargonowego. W oryginale nosi on tytuł: „*Kicur massoejs beniamin haszliszi, dos hajst di nsyjo oder a rajzebeszrajbung fun benjamin dem driten: vos er is eif zajne nsyjejs fargangen het, wajt, asz unter di hori hejszech, un hot sich genug onge sehen un ongehert hiduszim szejne zachen, vos zej zajnin arojs gegeben geworin in ale szuwein loszejnejs un hajnt ajch in un-ser loszejn, fun „Mendeli mejcher sform“.*

Znaczy to po polsku: „Krótki opis podróży Beniamina III-go, czyli opisanie podróży Beniamina III, który w wędrówkach swoich zaszedł het! daleko, aż po pod „góry ciemności“ i dosyć się tam napatrzył i nasłuchał cudownie pięknych rzeczy, co było już wydane (opisane) we wszystkich siedmdziesięciu językach, a obecnie w naszym języku, przez „Mendla sprzedającego książki“ (pseudonim Abramowicza).

Teraz kilka słów o autorze książki. Urodził się on na Litwie. Obdarzony wysokimi zdolnościami, robił nadzwyczajne postępy w języku hebrajskim i mając zaledwie lat

szesnaście używał opinii człowieka bardzo biegłego w naukach judaistycznych. Materyalne jego położenie nie było godnem zazdrości, niedostatek i bieda silnie dawały mu się we znaki. Miał on przytem krewną „agunę“, to jest opuszczoną przez męża i pozostawioną z małym dzieckiem bez żadnych środków do życia.

W tym czasie zaszła okoliczność, która wywarła na dalsze losy Abramowicza wpływ stanowczy.

Do miasteczka przybył ze stron dalekich, z Podola czy Ukrainy, żyd obcy, rudy, o przebiegłych oczach. Przyjechał wasągiem, opatrzonym w budę płócienną, jedną lichą szkapiną i zaczął się rozglądać po miasteczku. W krótkim czasie poznał wybornie tamtejsze stosunki i wnet pomiarkował że na „uczonym bachorze“ i na owej biednej „agunie“ może zrobić dobry interes... przyszyła mu bowiem do głowy nader oryginalna kombinacya.

Zabrał biedną kobietę z dzieckiem na swój wasąg i przyrzekł wozić ją dotąd, dopóki zbiegłego jej męża nie odnajdzie, lub też nie dostanie dowodu jego śmierci, coby pozwoliło jej wstąpić w powtórne związki małżeńskie; młodemu Abramowiczowi zaś przyrzekał świetną przyszłość. Zgodzono się na propozycyę sprytnego „bałaguły“ i ciężki wasąg włókł się powoli... po błotach i piaskach, od miasteczka do miasteczka, od wioski do wioski. Była to bardzo trudna podróż. Kobieta z dzieckiem siedziała na furze, młody zaś człowiek z furmanem szedł pieszo i gdzie było większe błoto, lub piasek głęboki, pomagał kulawej szkapie ciągnąć wóz.

Bałaguła tymczasem wyzyskiwał swych pasażerów, a spekulacya jaką na nich urządzał była dość oryginalna. Gdy przybyli do jakiego miasteczka, natychmiast udawał się do rabina i przedstawivszy mu rozpaczliwe położenie nieszczęśliwej kobiety, otrzymywał od niego pozwolenie

zbierania na jej rzecz składek. Żydzi powiadają o sobie że są „rachmonisbni rachmonis“, to jest „miłosierni synowie miłosiernych“, składali więc groszaki na rzecz nieszczęsnej „aguny“ i te ma się rozumieć tonęły w kieszeni bałaguly. Na Abramowicza sprytny żydek miał inne widoki. Wiedząc jak „uczoność“ popłaca u żydów, wiedząc że najbogatszy obywatel i kupiec odda chętnie swą córkę za biednego, lecz biegłego w Talmudzie młodzieńca, „bałagula“ postanowił Abramowicza ożenić, przyczem sam, występując w roli „szadchona“ (swata) mógłby coś zarobić. Przybywszy więc do miasteczka, prowadził młodego człowieka do „bejshamidrassu“ (dom modlitwy), gdzie Abramowicz wzbudzał podziw znajomością hebrajszczyzny i Talmudu. Partye traślały się; niejednen właściciel domu, albo kupiec chciał się poszczycić „uczonym zięciem“ i gotów był dać nawet duży posag, byle tylko tak obiecującego człowieka mieć w swojej rodzinie. Pokusy te jednak nie odnosiły pożądanego skutku; Abramowicz toczył zwyciężkie spory w bóżnicy, rozwiązywał trudne zagadnienia, wzbudzał podziw, ale... żenić się nie chciał.

Cała elokwencya „szadchona“ była nadaremną i mąż ów, wyczerpawszy dobroczynność miasteczka na rzecz nieszczęśliwej „aguny“, zaprzęgał kulawą szkapę do wasagu, zabierał swoje ofiary, i włókł się z niemi po błotach i piaskach, na południe, pocieszając się nadzieją że może, w dalszej wędrówce uda mu się „uczonego bachura“ ożenić \*).

---

\*) W roku zeszłym Abramowicz obchodził dwudziestopięcioletni jubileusz swej autorskiej działalności. Z tej okazji „Woschod“, miesięcznik żydowski wychodzący w Peterburgu, zamieścił obszerny jego życiorys i wyczerpujący opis całkowitej jego działalności piśmienniczej. Biografia ta ukazała się w grudniowym zeszytcie „Woschodu“ z roku 1884.

Długo trwała ta ciężka i utrudzająca wędrówka, aż wreszcie znudziła ona młodego człowieka, który zerwał też stosunki z przebiegłym „bałagulą“ i osiadł, jak się zdaje, w Berdyczowie. Zabrawszy znajomość z pewnym nauczycielem, za jego pośrednictwem i pomocą, Abramowicz zapoznał się z literaturą i naukami nieżydowskiemi, co przy pracy i wrodzonych zdolnościach poszło mu dość łatwo. Abramowicz pisał wiele w języku hebrajskim, którym, jak nadmieniliśmy, włada świetnie, od czasu do czasu zaś puszczał w świat książki żargonowe i w nich złożył dowody niezaprzeczonego talentu i głębokiej obserwacji.

Można śmiało powiedzieć, że gdyby ten człowiek pisał w jakimkolwiek, chociaż trochę znanym i dostępnym języku, używałby wielkiego rozgłosu, ale hebrajszczyznę zna mało kto—żargon zaś tylko zamknięta w sobie klasa żydów... ztąd też o Abramowiczu, poza sferą dla której on pisze—nikt nie wie. W pracach swoich Abramowicz biczem zjadliwej satyry chłoszcze bogatych żydów, gospodarzy gmin, którzy przy rozkładzie specjalnych podatków i ciężarów popełniają krzyczące nadużycia \*), natomiast staje zawsze po stronie biednych i uściśnionych. Abramowicz odzywa się żartobliwie o mądrości cadyków i fanatyzmie hassydów, drwi z zabobonów i przesądów, lecz nigdy nie powstaje przeciw religii. Poglądy jego są jasne, trzeźwe; obrazowanie zaś niekiedy aż nazbyt realistyczne, ale prawdziwe. Niekiedy puszcza wodze fantazyi i pod allegoryami przedstawia różne kwestye i zagadnienia społeczne, jak np. w powieści „Di kłacze“ (szkapa), w której maluje całą kwestyę żydowską.

Obecnie, o ile mi wiadomo, Abramowicz, człowiek

---

\*) W t. zw. guberniach północno i południowo-zachodnich rząd pobiera specjalne podatki od żydów.

jeszcze w sile wieku będący, zamieszkuje w Odessie. Z Berdyczowa, gdzie przebywał poprzednio, wykurzyła go potęga możnych żydowskiego świata, którzy nie mogli mu darować, że wszystkie ich podłości i ucisk, jaki wywierają na swych ubogich współbraci, opisał malowniczo w dziełku p. t. „Di takse oder Sztot baal-towos“ („Taksa, czyli dobroczyńcy miasta“). Berdyczowskimmacherom i krezusom nie na rękę był taki prawdomówny człowiek, wygryźli go też z miasta bardzo prostym, ale skutecznym, sposobem, gdyż podobno zapomocą fałszywej denuncyacji.

Tak niesie przynajmniej fama, bardzo do prawdy podobna.

Ale idźmyż nareszcie do naszego „Donkiszota“ i zamknijmy już wstępy przeciągające się może zbyt długo. Objasnienia, które złożyłem na początku były jednak koniecznymi, mając albowiem do czynienia z przedmiotem nowym zupełnie, bez komentarzy nie sposób dojść do ładu.

„Podróże Beniamina“ są bardzo podobne do przygód walecznego rycerza z Manszy i jego wiernego giermka Sanszo Pansy, i można przypuszczać, że autor skreślił je po przeczytaniu arcydzieła Cerwantesa. Naturalnie, Beniamin nie może mieć do Donkiszota najmniejszego podobieństwa w szczegółach, lecz tło ogólne obu tych utworów jest prawie jednakie.

Rycerz z Manszy, pod wpływem romansów które nieustannie pochłaniał, przywdziewa zbroję łątaną, dosiada Rossynanta i idzie poświęcać życie w obronie nieszczęśliwych i pokrzywdzonych, których nikt wszelako nie krzywdzi;—natrafia na urojone przeszkody, walczy z niewidzialnymi wrogami, wszędzie widzi zaczarowane księżniczki, potężnych rycerzy i olbrzymów.

Powód który skłonił Beniamina III-go do przedsięwzięcia wielkiej podróży, jest również czysto idealny. Pod

wpływem nieustannego czytania różnych książek, podających najfałszywsze informacye geograficzne, a zarazem niewyczerpaną kopalnię legend, Beniamina ogarnia dziwna i nieprzeparta chęć powędrowania daleko... daleko... dotarcia do grobu patryarchów, do ruin świątyni Salomona, do ziemi świętej gdzie rosną „tajteł i boksen“ (daktyle i chleb świętojański). Ale ziemia święta nie jest jeszcze ostatecznym kresem podróży Beniamina... o nie! On chce iść dalej... dalej! przez pustynię, do rzeki Sambaty, tej straszliwej rzeki, przez którą przejść nie sposób, gdyż przez sześć dni w tygodniu wyrzuca ona z siebie gorejące kamienie, burzy się, gotuje i kipi, a odpoczywa zaś tylko w szabas, w którym to dniu żyd prawowierny podróżować nie może. Beniamin chce dotrzeć aż do „gór ciemności“, gór, przez które nawet tak często w żydowskich książkach wspomniany bohater „Aleksander mugden“ (Aleksander macedoński) nie mógł na orle przefrunąć... Beniamin jednak tam dotrze; dotrze nie zważając na niebezpieczeństwa i trudy, na pustynie, wśród których ryczą straszne bestye „Pipernoter“, „Lindenworim“... na pustynie, gdzie na życie podróżnego czyha zacząjony „gazlen“ (rozbójnik), lub też „tejger“ (turek) gotów zawsze porządneho człowieka zabrać do niewoli i sprzedać go jakiej pogańskiej księżniczce, która w usposobieniu romantycznym przewyższa może Putyfarową Zulejkę...

Straszne są niebezpieczeństwa podróży, lecz cel jej jakież idealny! jaki ponętny. Po za „górami ciemności“ są żydzi z dziesięciu pokoleń zaginionych w wędrówkach i tułactwie. Oni tam żyją, handlują i dobrze im się powodzi, a oprócz nich są tam jeszcze najpiękniejsi żydzi „a rojte judelach, bni Mejszele abejne“ (czerwone żydki, synowie proroka naszego Mojżesza). Wprawdzie piśmienne z owych czasów zabytki nie wspominają wcale że Mojżesz miał dzieci—ale to nie dowód... dzieci są, a dla odróżnienia od innych

pokoleń, mają kolor ciała czerwony. Beniamin zwycięży przeszkody i dotrze aż do nich, zobaczy czerwonych żydków i potomków dziesięciu zaginionych pokoleń.

Jakaż to będzie pociecha, jaka radość, gdy on biedny, polski żydek stanie przed nimi...

— Gwałt! gwałt! zawołają wszyscy, podziwiamy i patrzmy! Przyszedł do nas Beniamin, Beniamin III-ci aż... z Tuniejadówki! Witajmy go, witajmy, ugośmy jak brata, pytajmy co słyhać w Tuniejadówce, jak idą interesa? Beniamin powróci później do rodzinnego miasteczka, powróci jako wielki podróżnik i opowiadać będzie o cudach jakie widział tam daleko, u gór ciemności—o czerwonych żydkach, o wszystkim co księgi opisują...

Donkiszot dla swojej idei rzuca tylko marne szlacheckie gospodarstwo, starą gospodynię i siostrzenicę, Beniamin zaś porzuca żonę i dzieci, pozostawia je na pastwę losu, a sam pójdzie, gdyż czuje w sobie powołanie do spełnienia czynów bohaterskich. Dla Donkiszota wzorem są średnio-wieczni rycerze, słynni z poświęceń, cnót i męstwa — Beniaminowi zaś świeci jak gwiazda przewodnia „Aleksander mugden“ i jego nieustraszone męstwo.

Pierwsza wyprawa rycerza z Manszy spelzła, jak wiadomo, na niczem... i Beniamina też, z pierwszej niefortunnej wyprawy, zmęczonego, słabego, wystraszonego okropnie, przywiózł do miasteczka chłop, na wozie skrzypiącym, ciągnionym przez dwa woły... Znalazł bohatera zemdlonego w lesie, ułożył na workach kartofli i dostawił na łono rodziny w stanie pozałowania godnym...

Donkiszot przyszedł do wniosku, że przywoity i szanujący się rycerz nie może się obejść bez wiernego giermka,—podobnie też pomyślał Beniamin. Postanowił koniecznie wyszukać sobie towarzysza podróży, któryby dzielił z nim dobre i złe losy, pomagał znosić klęski, uczestniczył



we wspólnych radościach. Rycerz z Manszy znalazł perłę giermków w opasłym, ale sprytnym Sanszo Pansie; nasz zaś znakomity podróżnik odkrył nie perłę, lecz czystej wody brylant w osobie niepozornego żydka, zwanego w miasteczku „Senderił di judene“ (Sender—żydówka).

Ten typ męża „kobiety w jarmułce“, czyli po naszymu mówiąc „małżonka pod pantoflem“, jest niesłychanie komiczny.

Senderił nienapróżno nosi przydomek „di judene“ (żydówka); musi on albowiem skrobać kartofle, myć garnki, siekać cebulę i rybki na szabas, pilnować dzieci, jednym słowem robić to wszystko co wchodzi w zakres atrybucyj kobiecych. Żona jest w domu samowładną panią i wydaje rozkazy, potulny zaś małżonek słucha, gdyż w razie opozycji—traci natychmiast część rzadkiej bródki, lub też dostaje siniaków pod oczami.

Być bardzo może, że dzięki takiej sytuacji, szanowny Senderił wyrobił w sobie bardzo cenne przymioty, to jest: zabieglivość i praktyczność. Zresztą, posiada on charakter zadziwiająco zgodny i z zasady nikomu nie przeczy.— „Chcesz tak, odpowiada zwykle, niech będzie tak, mam się też o co kłopotać“?! Dzięki tej zgodności usposobienia, Senderił przystał odrazu na propozycję wędrówki nad brzegi Sambatyi.— „Chcesz abym szedł do Sambatyi, niech będzie do Sambatyi—mam się też o co kłopotać“?!

Jeżeli Szanso Panso był perłą giermków, to Senderił, jako „szamesz“ (sługa) rebe Beniamina, był czystej wody brylantem. Beniamin bujał myślą w obłokach, marzył o celu podróży, o czerwonych żydkach—Senderił natomiast całą swoją inteligencję wysilał na to wyłącznie ażeby torba podróżna zawsze była pełną. Dzięki tej zabieglivości, wędrowcy nie cierpieli głodu i mogli urzeczywistniać potroszą swe wielkie zamiary.

Cervantes w swoim Donkiszocie cytuje częstokroć wyjątki z fikcyjnego rękopismu, który autor arabski Cyd Hamid Bennengeli miał pozostawić po sobie; Abramowicz trzyma się także podobnej metody, powołując się na rzekome pamiętniki Beniamina.

Wogóle, rycerz z Manszy i wielki podróżnik Beniamin mają wiele rysów pokrewnych. Obadwaj śmieszni, lecz i sympatyczni zarazem, poświęcają się idei, która im niby ćwiek ostry w głowach utkwiała. Nie ma dla nich przesz-kód, nie ma niebezpieczeństw — jest tylko cel, który im świeci jak gwiazda przewodnia. Dążą też do niego jak ćmy do światła—opalają sobie skrzydła i padają w błoto, z którego ich zwykle dłoń praktycznego giermka wydobywa.

---

## II.

Przedmowa do „Podróży Beniamina“ jest charakterystyczną. Parodjuje ona napuszone wstępy do dzieł niektórych pisarzy żydowskich—i zawiera w sobie znaczną dozę satyry.

Posłuchajmy jej:

„Rzeczcie wam Mendeli mejcher sform, rzeczcie Mendel sprzedający książki: niech uwielbionym będzie Stwórca, który ustanowił bieg planet na niebie wysoko i chód stworzeń na ziemi nisko! Nawet najmarniejsza trawka nie wyrośnie, dopóki nie przyjdzie anioł, nie uderzy jej i nie rzeknie:—Rośnij! wychodź z ziemi! Cóż dopiero gdy na świat ma przyjść człowiek, a tem więcej fajny człowiek (fajne menszele) piękny żydek! Wówczas zbiega się sto partyj aniołów, którzy uderzają go i mówią naprzykład tak: Chajkiele tajere nszome! (Chajkiele! duszo najdroższa) wychodź, pożycz pieniędzy ile tylko możesz—idź, idź, nabierz u Niemców towaru wiele chcesz... Podnoś się, rośnij Chajkiele! wyłaź z błota... Idź, idź duszo w cichości i usuń wszystkie towary z twego kramu... a wierzycielom...; albo: Wychodź, wychodź Icuniul idź do twego puryca (obywatela) donoś mu trochę na tego, trochę na owego, na kogo chcesz—i myśl o sobie...

Albo też aniołowie powiadają: „Rośnijcie, mnożcie się kapcany (biedni) w miasteczku, jak trawa, jak pokrzywa! idźcie, idźcie dzieci żydowskie i włóczcie się (szlept sich) po domach.... Idźcie gospodarze, właściciele domów (baali-ba-tim) idźcie do łaźni, wszak nie macie nic do roboty... lecz nie o tem miałem zamiar mówić.

Przed rokiem wszystkie gazety angielskie i niemieckie były pełne opisów cudownej podróży, którą Benjamin, polski żydek, odbył w stronach wschodu. No! no! mówili ludzie zdumieni, jakto? żyd!? polski żyd, bez broni i maszyn, tylko z torbą na plecach, z tałesem i tefilim \*) pod pachą, dotarł do takich miejsc, do których sławni podróżnicy dojść nie mogli!

Rzecz to wyższa nad wszelkie pojęcie! W każdym razie fakt się stał i świat zawdzięcza Benjaminowi cudowne odkrycia, które zmieniły zupełnie fizyognomię kart geograficznych. Benjamin zasłużył w zupełności na medal jaki udzieliło mu Towarzystwo geograficzne londyńskie. Żydowskie gazety pochwyliły ten fakt obudwoma rękami i miały o czem pisać przez całe lato. Wylczyły one przy tej sposobności wszystkich uczonych, od pierwszego człowieka aż do naszych czasów, ażeby dowieść tym sposobem jakim rozumnym narodem są żydzi! Ułożono też spis podróżników wszystkich epok, od Beniamina I-go, który żył 700 lat temu, i ażeby wywyższyć zasługi naszego terażniejszego Beniamina, jak to jest we zwyczaju u żydów, zmieszano z błotem wszystkich innych podróżnych. Wszyscy on i, mówiono, są

---

\*) „T a ł e s“, ubranie, płachta biała z czarnymi szlakami, używana przez izraelitów w czasie modlitwy. „Tefilim“ skrzyńeczka drewniana, w której mieszczą się na pergaminie wyjątki z pisma. Skrzyńeczkę żyd, modląc się, przymocowywa na czole, rzemieniami zaś opasuje rękę.

to po prostu włóczęgi (a proste szleper), nie mają o niczem pojęcia, włóczyli się oni tylko od domu do domu, jak żebracy, i wyglądają jak małpy (zi hoben a ponim wi di małpes) wobec teraźniejszego Beniamina, wobec Beniamina III-go istotnego i prawdziwego podróżnika. O nim i książkach traktujących o jego podróżach, mówiono zazwyczaj, że jeszcze żydzi nie mieli tak wonnego kadzidła!... Uwielbiony i dyamentami obsypany powinien być ten, który podróże Beniamina, opisane już we wszystkich obcych językach, przełoży na „mowę świętą“. Słuszna jest bowiem, aby i żydzi zakosztowali patoki płynącej z żydowskiego ula i ażeby uczuli jasność w oczach swoich.

Otóż ja Mendeli, dla użytku żydów, podejmuję pracę wedle mojej możności—i zanim autorowie żydowscy, których najmniejszy palec większy jest od przepasania bioder moich, przebudzą się i wydadzą książki o podróżach Beniamina w „mowie świętej“, ja tymczasem spróbuję dać chociaż króciutki ich opis w języku żydowskim (ojf prost judisz). Opa-  
sałem biodra moje jak bohater i chociaż jestem stary i słaby, chcę jednak ukazać te skarby dzieciom Izraela. Uczułem albowiem jakoby uderzenie i głos: „obudź się Mendeli! rusz się Mendeli i wynijdź z pod pieca! nabierz wonnej myrry ze skarbów Beniamina i zrób z niej dla swych braci potrawę, (potrawes) według ich upodobania! Z pomocą Bożą jam tę potrawę sporządził i stawiam ją przed wami. Esst rabejsim! (jedźcie panowie) i niech wam idzie na pożytek....

Z przedmowy powyższej, którą właśnie w streszczeniu podałem, już się czytelnik przekonać może, iż Abramowicz nie schlebia wcale żydom i nie chce maskować ich wad. Jest on przede wszystkim satyrykiem i świetnie włada ostrą bronią sarkazmu i ironii.

Zaraz w pierwszym rozdziale, poczerpniętym jakoby  
Donkiszot żydowski.

z pamiętników samego Beniamina, jest opis miasteczka Tuniejadówki, ojczystego grodu wielkiego podróżnika.

Opis ten to prawie fotografia wszystkich żydowskich miasteczek w prowincjonalnych zakątkach.

Tuniejadówka, w której Beniamin ujrzał światło dzienne, w której wzrósł, wychował się, w której pojął za żonkę piękną Zeldę, leży w zapadłym kącie kraju, zdaleka od pocztowego traktu, odcięta prawie zupełnie od świata.

Jeżeli zdarzy się że przyjedzie do owej miejsciny jakiś człowiek obcy, wtenczas otwierają się wszystkie drzwi i okna a cała ludność ogląda przybysza ciekawymi oczami... Przez otwarte okna jeden drugiemu zadaje wiele więcej niż „cztery pytania“ (fier kaszejs) \*.

— Zkąd on się tu wziął? Co on myśli? Przecież nie przyjechałby tak sobie? Coś w tem musi być?!

Wyrastają różne hipotezy. Wnet też znajdują się jacyś dowcipnisie (baali hamcoejs) i na ten temat tworzą koncepta, czasem niebardzo piękne. Mężczyźni, śmiejąc się nieznanie, gładzą brody; stare kobiety łają zartownisiów ze złością i ze śmiechem zarazem, a młode mężatki rzucają wejrzienia z pod spuszczonej powiek i maskują uśmiech, który im się wymyka na usta...

Bardzo obrazowo porównywa Abramowicz te rozmowy do bryły śniegowej, która toczy się od domu do domu, nabiera na siebie coraz nowe warstwy, grubieje, rośnie, aż nareszcie, doszedłszy do maksymalnych rozmiarów, wtacza się do „bejshamidraszu“... pod piec.

---

\*) Jest u żydów zwyczaj, że podczas świąt wielkanocnych syn ojcu zadaje cztery pytania. Pytania te zawsze jednakowe i jednakowe na nie odpowiedzi należą do tradycyjalnych pamiątek. Abramowicz mówiąc, że zdumieni przybyciem obcego człowieka żydzi, zadają sobie nawzajem więcej niż „cztery pytania“, miał zapewne na myśli stereotypowość tych pytań.

Proszę nie sądzić jednak, że ów piec, jest zwyczajnym piecem, służącym do ogrzewania temperatury w domu modlitwy. Nie, ten piec to wielce szanowny mebel. Pod nim stoi ława, na której zasiadają bardzo poważni i bogobojni obywatele. Jest to miejsce, do którego zataczają się wszelkie rozmowy i plotki, sprawy domowe mieszkańców miasteczka, polityka dotycząca „Stambułu“, „tejger“ (turka), „kiren“ (Cyrusa). Tu roztrząsane są także finanse; jest mowa o Rotszyldzie, bogatych „purycach“ (obywatelach ziemskich) i o innych bogaczach. Tu pantoflowa poczta przynosi wieści o nowych prawach przeciw żydom; tu mówi się szeroko o „czerwonych żydkach“. Na ławie, pod piecem, zasiada specjalny komitet, złożony z „pięknych, leczwyczych żydków“ (fun szejne betogte juden), którzy przesiadują tu cały dzień aż do późnej nocy, wyrzekłszy się ognisk domowych, żon i dzieci.

Mężowie ci zajmują się sprawami powszechnymi darmo, tak sobie, gdyż za pracę swą nie biorą nawet „złamanego halerza“ \*) (cubrochene heler)... Decyzje tego komitetu (wraz z jego członkami) przechodzą do wyższej instancji, do... łaźni, na najwyższą ławkę, i tam częstokroć ulegają zmianie lub kassacyi. Tam zbiera się całkowity komplet (a pełne sobranje), złożony z właścicieli domów i innych szanownych notablów. W owem zgromadzeniu zapada decyzja ostateczna, tak że gdyby nawet przyszli wszyscy królowie dawnego wschodu i zachodu i stanęli głowami na ziemi, a nogami do góry, nie mogliby już zmienić decyzji...

Raz na takim posiedzeniu „turek“ o mało że nie został ciężko pokrzywdzony, tam na najwyższej ławce w łaźni

---

\*) Halerz, dawna moneta polska, oddawna nieużywana, a skutkiem tego i nazwa jej dziś mało komu jest znaną. W żargonie przechowywała się ona jednak jak lingwistyczny...numizmat.

żydowskiej, i Bóg wie coby się z nim stało, gdyby nie wpływ kilku solidnych obywateli, którzy podtrzymali jego silnie zachwiane interesa. Raz Rotszyld stracił tam na jakiejś operacji dziesięć czy piętnaście milionów — ale w parę tygodni później pan Bóg mu dopomógł... członkowie komitetu byli w dobrym humorze, na najwyższej ławce łaziennej było przyjemnie, ciepło — więc też Rotszyld zarobił tego dnia więcej niż „sto pięćdziesiąt milionów rubli“!

Mieszkańcy pięknego miasta Tuniejadówki są to wielcy biedacy (sztarke dałfonim), jednak należy im oddać tę sprawiedliwość, że biedacy weseli (lustige kapconim) i dziwnie ufni w miłosierdzie Boże.

Gdyby nagle zapytano mieszkańca Tuniejadówki, zkąd czerpie środki do życia? osłupiałby zrazu i odrzekł dopiero po długim namyśle:

— Jakto? z czego ja żyję? z czego żyję? Czyż nie ma Boga, który nie opuszcza żadnego ze swych stworzeń? Daje on nam teraz, będzie dawał i dalej...

— Ale cóż ty robisz? czy masz w ręku jakie rzemiosło, lub wogóle sposób do życia?

— Chwalić Boga, mam... bardzo ładny głos, śpiewam trochę przy nabożeństwie... Jestem także „a nigibel“, (umiejący wykonywać obrzędowy akt przymierza, któremu żydzi poddają nowonarodzonych synów)... przytem jestem wyborny „maceredler“ \*), jedyny w świecie! Czasem skojarzę małżeństwo, to także coś znaczy... mam swoje własne miejsce w bóżnicy... Prócz tego, ale niech to między nami zostanie, trzymam małe szynk, który daje się trochę doić... Kozę też mam, ta (byle jej tylko nie urzekli); doić się bardzo

---

\*) „Maceredler“ jest to człowiek, który zapomocą kolka z kolcami wygniata różne desenie na macach, czyli na „praśnikach“. Niewielka sztuka być takim artystą.



dobrze... mam też niedaleko ztąd bogatego krewnego. . to na ciężkie czasy można i jego trochę doić; no... a oprócz tego wszystkiego „is Got a tate“ jest Bóg-ojciec i ludzie miłośnierni...!! Nietrzeba więc grzeszyć... nietrzeba żądać za dużo...

Należy też na pochwałę mieszkańców Tuniejadówki powiedzieć, że nie są rozrzutni w wydatkach na garderobę i niewybredni w jedzeniu.

Jeżeli na przykład „szabasowa kapota“ jest rozerwana w kilku miejscach, podarta, zabłocona u dołu i niezupełnie czysta, to nic dla nich nie znaczy; byle tylko była atlasowa i świeciła się! Że przez nią, jak przez wielkie rzeszoto, widać miejscami gołe ciało, to cóż wielkiego? kto się będzie temu przyglądał? Przecież każdy mieszkaniec Tuniejadówki ma dziurawe pięty w pończochach, a czy kto dziwi się temu, czy przygląda się piętom?! Z jakiej więc zasady pięty mają mieć lepsze prawa aniżeli inne części ciała? Czyż nie są one także mięsem ludzkim?\*

Kawałek chleba ze szczypiorem (byle go tylko mieć) stanowi już bardzo dobry obiad!... Cóż dopiero mówić o bułce i o mięsie gotowanym (a rosółflajsz) w piątek! Kogo stać na to, ten ma „królewskie jedzenie!“ Lepszego nie ma nic na świecie! Oprócz sosu z ryby, gotują tu również „cymes“ z marchwi, lub z pasternaku. Spytaj się jednak o coś więcej, o coś jeszcze lepszego, to wyśmieją cię, wezmą poprostu za waryata... i powiedzą że ich waryatami chcesz robić. Jeżeli chcesz powiedzieć mieszkańcowi Tuniejadówki, że jest na świecie lepsze jedzenie nad „rosółflajsz“ albo nad „cymes z pasternaku“, to powiedz mu lepiej, że krowa latała po powietrzu, siadła na dachu i zniosła jajko... Prędeż ci uwierzy.

Czyż może być wierniejszy obraz życia małomiasteczkowych żydów? Nie kupców, nie handlarzy, ale tej całej falangi biedaków, niemającej żadnego prawie ze światem

chrześcijańskim stosunku. Tylko ten, kto zna bliżej małe miasteczka, kto przypatrywał się im bacznie i śledził ile tam ubóstwa, ile nędzy się mieści, może ocenić trafność obserwacji Abramowicza. Autor ten pisze z przedziwnym, spokojnym humorem, w obrazach jego uderzają świetnie zestawione kontrasty niedostatku i nędzy żydowskiej z przeświadczeniem nędzarzy o ich urojonej świetności. Taki żydzina, który chodzi w obszarpanej, podartej, zabłoconej, lecz atlasowej kapocie; który żyje rzodkwią i cebulą, ma się jednak za wielką osobę w swoim światku; a jeżeli przytem ma jakiegoś pradziadka-cadyka na cmentarzu, jeśli o tyle o ile przynajmniej, zgłębił Talmud i może prowadzić religijne dysputy, to już jest taki „mejuches“ (arystokrata), tak ceni godność swego rodu i godność własną, że w porównaniu z nim niczem lord angielski, mogący się wylegitymować z dwudziestu czterech pokoleń...

Abramowicz, jako pisarz, jest malarzem rodzajowym, o realistycznym, ale szlachetnie pojętym, kierunku. Z poza tych łatanych kapot, brudnych domów, z poza rzodkwi, cebuli i pasternakowych cymesów, przebija się rzewne uczucie poety, któryby rad tę wyśmiewaną przez się sferę nędzarzy uszlachetnić, podnieść, przycisnąć do piersi. On śmieje się, ale cierpi; gryzie, lecz „gryzie sercem“. Wyższy pojęciami nad cały ów tłum, nad owych dyplomatów krytykujących politykę Cyrusa i Aleksandra macedońskiego, nad uczonych traktujących o „rzece Sambaty“ i „Pipernoterze“, zwierzu nieistniejącym, usiłuje zniżyć się do tłumu, przemówić językiem zrozumiałym i dostępnym, i tą drogą wyrzucić na masę wpływ dodatni. Czemuż takich ludzi jest niewieleu?...

Wracamy do przedmiotu:

Strączek świętojańskiego chleba w styczniu, to owoc który ożywia duszę żydowską. Jedząc go, człowiek mniema, że jest w ziemi świętej, (in eret isroil) w ziemi Izraela.

Niejeden żyd spożywając ten plód wschodu, podnosi oczy do nieba, powtarzając z westchnieniem słowa modlitwy: „Do ziemi ojców naszych doprowadź nas Panie“, do prawdziwej ziemi naszych ojców, gdzie nawet kozy jedzą „di bokseren“!! (strączki świętojańskiego chleba).

Przypadkiem przyniósł ktoś do Tuniejadówki daktyl. Zrobiło się natychmiast wielkie zbiegowisko, każdy cisnął się aby obaczyć dziwo. Jeden z uczonych krzyknął:—przyniesicie „humesz“ (biblię) a pokażę wam że „daktyl“ stoi w „humesz“! Oto macie, jest najwyraźniej wyraz „tomor“ a to znaczy daktyl. Widzicie więc co to jest daktyl!? on stoi w „humesz“! a wiecie gdzie daktyl rośnie? Oto w ziemi Izraela.

Niejeden westchnął. Przypomnieli sobie groby patriarchów, ruiny świątyni... Jordan...

— I ja też wzdychałem wraz z innymi, mówi w swoich pamiętnikach wielki podróżnik Beniamin, i już od tej pory nie miałem spokoju.

Tego dnia cała Tuniejadówka, jak długa i szeroka, udała się, naturalnie myślą, do Palestyny. W „bejshamidrasz“ pod piecem, szły ożywione dysputy z dziedziny polityki i spraw ogólnomiejskich. Do Tuniejadówki niedawno przybył nowy „prystaw“ i zaraz kilku żydkom kazał zdjąć jarmułki, jednemu oberznął pejsy, dwóch ujął w nocy bez paszportów, innemu znowuż zagroził procesem, za to że koza popsowała i obgryzła dach słomiany na nowym budynku miejskim... Tedy specjalny komitet pod piecem miał dużo do roboty— a załatwiwszy to co było na porządku dziennym, przeszedł do wyższej polityki i zadecydował stanowczo, że turcy muszą kiedyś ustąpić z widowni świata... Później rozmowa przeszła do zaginionych dziesięciu pokoleń, do czerwonych żydków, którzy szczęśliwie i spokojnie żyją sobie w owych odległych stronach, w chwale, wielkości, w zaszczytach!

Słuchając tych rozmów Beniamin powziął nieodwołalną myśl odbycia wielkiej podróży do szczęśliwych krain.

I patrzcie, pierwszą przyczyną powzięcia tak genialnej myśli był... zwyczajny daktyl!

Dotychczas Beniamin siedział w swej Tuniejadówce, jak kurczę w jajku, lub jak robak w chrzanie — i myślał że po za miasteczkiem świat się kończy. Słodszego i lepszego życia nie wyobrażał sobie.

— Mniemałem, powiada w swej księdze, że najbogatszym człowiekiem na świecie jest nasz arendarz, arendarz z Tuniejadówki... ach! bo miał on też skarby! skarby!... Dom z zabudowaniami, cztery pary mosiężnych lichtarzy! świecznik sześcioramienny z orłem, dwa miedziane garnki, pięć pokrywek, pułkę cynowych talerzy, prawie cały tuzin tombakowych łyżek, dwie srebrne czarki i lampki „chanukowe“, zegarek-cebulę w dwóch kopertach, dwie krowy, dwie szabasowe kapoty i wiele, wiele tym podobnych kosztowności!!!

Mniemałem również, twierdzi dalej Beniamin, że najuczeńszym człowiekiem na świecie jest Rebe Ajzyk Dowid reb Aron Jejselis Sore Zlates (Ajzyk Dawid syn rebe Arona, zwanego Jejselis od imienia jego żony, córki Sory-Złoty). Czyż to bagatela! skoro powiadają o tym mędrca, że podobno niegdyś, w młodości jeszcze, miał jakieś ideje o „tiszbejres“ (ułamkach). Ten człowiek mógłby być zostać ministrem, gdyby mu szczęście sprzyjało!

Któż, myślałem sobie, może mieć tak przyjemną i wzbudzającą szacunek fizyognomię i tak słodką wymowę jak nasz Chajkiel Zajike? (jąkała). A któż może być takim „mumcho“ (majster swego fachu), takim wielkim lekarzem, mogącym niemal umarłych wskrzeszać, jak nasz cyrulik?! jak nasz sławny cyrulik, który się nauczył doktorstwa od cygana, nauczzonego znów przez mędrców egipskich.

Słowem życie w miasteczku wydawało się Beniamino-

wi bardzo pięknem i bardzo dobrem; wprawdzie on sam żył nędznie, dzieci jego chodziły obdarte — lecz i pierwsi rodzice w raju nie mieli świetnej garderoby — a jednak nie wstydziła się swego neglizżu...

Cudowne opowieści o czerwonych żydkach wywarły na Beniamina wpływ ogromny — wpływ taki że mu miasteczko wydało się ciasnem. Do owych stron odległych wyciągał on ręce, jak dziecko do księżycyca.

I pomyśleć tylko że taką rewolucyę w owej wielkiej duszy wywołały: daktyl, prystaw, jarmułka, para pięknych pejsów, koza i dach słomiany!! że im głównie zawdzięczać należy to, iż świat uszczęśliwiony został przez tak znakomite podróże?!

Nieraz widzimy jak z drobnych napozór przyczyn tworzą się wielkie skutki, z małych rzeczy, wielkie rzeczy. Oto naprzykład takie głupstwo: chłop rzuca w ziemię ziarno żyta, lub pszenicy... z tego się rodzi więcej, młynarz to zmiela, gorzelnia przerobi. Bagatelka! jak również bagatelką jest, że niegdyś przed tysiącami lat, fenicyjanin bawiąc się piaskiem, odkrył sposób robienia szkła i zbudował pierwszy kieliszek... Drobne ziarna i piasek! jakież liche przyczyny! stworzyły one jednak olbrzymi skutek... propinacyę, przy której wyrosli i wznieśli się wielcy ludzie kahału (kohołe lajt) i znakomici „fajneberjes“ (piękne osoby)....

Bardzo być może, iż w ciele Beniamina obrała sobie siedlisko dusza jakiego wielkiego podróżnika, jakaś iskra, która za najłżejszym podmuchem wiatru miała wydać z siebie wielką jasność. Gdyby nie okoliczności, które pchnęły Beniamina w wielką podróż, kto wie, może ten mąż byłby tylko zwyczajnym wozowodą, lub co najwyżej „bałagumą“....

Od owego czasu wszakże Beniamin utonął w księgach. Wczytywał się on w znakomite dzieła o wielkich podróżach Rab Barbarchona dokonanych na oceanie i w pustyniach;



później czytał księgę „Eldod Hadoni“, księgę podróży Beniamina, który przed siedmioma wiekami jeździł na koniec świata; księgę „O przymiotach Jerozolimy“ i księgę „Ciel ejłom“ (cień świata), w której, na siedmiu drobnych kartkach, znaleźć można wszystkie siedm mądrości, oraz opisanie całej ziemi i dziwnych stworzeń na niej żyjących.

Te znakomite dzieła otworzyły mu oczy i uczyniły z niego zupełnie innego człowieka. Cudowne, zachwycające opowieści, zawarte w owych pismach, twierdzi Beniamin w jednej z ksiąg swoich, utkwily mi głęboko w głowie i w sercu. O! gdybym chociaż setną część owych cudów mógł oglądać własnymi oczami! Ciągnie mnie coś do nich, wzywa, woła!

W Tuniejadowce już mu zaczęło być ciasno, wielka bowiem dusza potrzebowała wielkich przestrzeni i chciała się koniecznie wyrwać, za jakąkolwiek cenę, na świat szerszy!

Tak kurczę, które zaczyna czuć swoją siłę, uderza dziobem w otaczającą je skorupę i—forsownie wydobywa się na świat jasny....

---

### III.

Nareszcie rozpoczyna się wielka podróż; Beniamin staje się męczennikiem (a kodejsz), a jego małżonka, piękna pani Zełda, „aguną“ (kobietą opuszczoną przez męża).

Nie każde arcydzieło ludzkie, nie każdy owoc genialnej myśli i wielkiego ducha dojrzewa odrazu; najwięksi wynalazcy doznawali niepowodzeń, najbystrzejszym filozofom i uczonym wymykały się niekiedy głupstwa. Powiadam to w obronie wielkiego Beniamina, którego pierwsza wyprawa nie została uwieńczoną zasłużonem powodzeniem. Zwykła to rzecz, że geniusz zdiera buty na cierniach, zanim dojdzie do szczytu marzeń i chwały. Geniusz Beniamina dlatego tylko nie zdarł butów, że chodził w pantoflach... lecz w wielkiem swem przedsięwzięciu odrazu natrafił na przeszkodę straszliwą.

Według relacyi Abramowicza, wielki Beniamin z natury nie był obdarzony duchem bohaterstwa, przeciwnie, był nawet cokolwieczek podszyty tchórzem. Skoro zmrok zapadł bał się wyjść na ulicę; za nic na świecie nie chciałby sam jeden spać w stancyi, chyba żeby go ktoś pilnował. Wyjść kilkanaście kroków za miasto, znaczyło według nie-

go ryzykować życie. Kto wie, broń Boże, paskudny wypadek jaki może się człowiekowi przytrafić!

Świat jest... pełen zasadzek.

Pewnego razu, mówi w pamiętnikach swoich Beniamin, pewnego razu, pamiętam to jak dziś, w miesiącu Tamuz, (w Czerwcu) dzień był strasznie gorący. Nasz Rabin, z jednym ze swych ludzi, szedł do rzeczki, aby się w niej ochłodzić i wykapać. Wówczas ja, [z kilkoma młodzieńcami, towarzyszami moimi, udałem się także ku rzece. Naturalnie, szliśmy w przyzwoitej odległości, z wielkim uszanowaniem, ale też zarazem i z ufnością, że pod osłoną takiej silnej tarczy, nie spotka nas żaden wypadek i że cało i zdrowo powrócimy do domu.

Rabin przecież to niezartem „osoba“! Cały świat oddaje mu cześć należną jako najgodniejszemu, a same tytuły rabina nie mieszczą się na jednym arkuszu papieru! Rabin, puklerz nasz i ochrona, kroczył powoli, z godnością, a stanawszy wreszcie nad brzegiem rzeczki, zaczął zdejmować z siebie szaty... My, trzymając się zawsze w przyzwoitem oddaleniu, czyniliśmy toż samo.

Tymczasem stało się nieszczęście! nadszedł albowiem jakiś „szajec“ z psem...

Nasz „puklerz obronny i tarcza mocna“, ledwie żywy ze strachu, trzymając w prawicy dolną część garderoby, a w lewicy dużą aksamitną czapkę, zaczął uciekać ile mu sił starczyło... Ach! gdy sam Lewiatan złapał się na wędkę, cóż mieliśmy uczynić my, biedne płotki? Przepasaliśmy jako tako biodra nasze i uciekaliśmy jak jelenie, z krzykiem, z gwałtem, dobywając sił ostatnich. Gdy wpadliśmy nareszcie do miasta z wrzaskiem, zrobiło się ogromne larum.

— Pali się! rzną! zabijają!—krzyczano, a nikt nie wiedział o co chodzi...

Gdy Beniamin powziął postanowienie odbycia wielkiej



podróży, zajął się przedewszystkiem pracą nad ukrzepieniem ducha swego i wyrobieniem w sobie mężstwa i rycerskiej odwagi. Ażeby pokonać tchórzostwo, mąż ten poddawał się ciężkim eksperymentom.

Włóczył się w nocy po ulicach, sypiał sam w stancyi, a niekiedy puszczał się na kilka godzin za miasto. Próby te przyplącał zdrowiem. Nadzwyczajna jego bladość, częste zamyslanie się, postępowanie wogóle niezwykle, oraz wycieczki po za miasto, zaczęły zwracać uwagę mieszkańców. W Tuniejadówce zaczęto mówić o Beniaminie, gawędy szły z domu do domu, i zwykłym trybem, zatoczyły się wreszcie do „bejshamidraszu“ pod piec.

W komitecie zasiadającym pod piecem zdania o Beniaminie były podzielone.

— Nic innego, mówiono, tylko to jest waryat, człowiek pozbawiony rozumu. Dotychczas był trochę głupowaty (abiseł szejtewate) i zdawało się iż mu brakuje „kleпки“, teraz widzimy że jest całkiem waryat. Jest przysłowie że każde miasto posiada swoich uczonych i swoich waryatów; w Tuniejadówce wszakże od lat kilku już waryata nie było—a to przecież miasto nie gorsze od innych; przytem obecnie panują straszne upały, a więc... Beniamin jest waryat!

Inna partya, a na jej czele, wielki uczony Rebe Ajzyk Dowid reb Aron Jejselis Sore Złates, twierdziła że jest inaczej.

— Ot! głupstwo! i jeszcze raz głupstwo! Powiedziawszy prawdę, Beniamin jest trochę „szejtewate“, ztąd wszakże nie należy wnioskować że jest waryatem; zachodzi bowiem pytanie, dla czego miałby zwaryować teraz, kiedy nie zwaryował przed dwoma, lub trzema laty? Dlaczegoż nie był waryatem zeszłego lata, gdy upały były o wiele większe? a to co powiadacie, że Tuniejadówka nie jest gorszym miastem od innych i że powinna mieć swego waryata—to

także nie stanowi żadnego dowodu. O naszej rzece powiadają, że co rok pochłania jednego człowieka, tymczasem już od lat kilku nie mieliśmy topielca, a w dodatku i sama rzeka tak dalece wyschła, że ją w niektórych miejscach suchą nogą przejść można. Co się tyczy Beniamina, i tego co się obecnie z nim wyrabia—to kwestya nierozstrzygnięta.

Kobiety, oraz ludzie nie należący do składu „komitetu podpiecowego“ twierdzili, że Beniamin musi mieć do czynienia z... nim, ma się rozumieć ze złym duchem. Gdyby tak nie było, to nie włóczyłby się on w ciemności po ulicach, nie sypiał sam w spiżarni, i nie wymykał się z miasta, coraz na parę godzin...

Gdy kwestya Beniamina, według praktykowanej w Tuniejadówce procedury, doszła do ostatniej instancji, do „pełne sobranje“, na najwyższej ławce w łaźni, zdania szanownych mężów co do ocenienia psychicznego stanu przyszłego podróżnika były podzielone. Pomimo tego postanowiono „wysadzić“ komisję, złożoną z kilku „pięknych żydków“ (szejne juden) i „sejfera“ \*), w celu obejścia wszystkich domów i zrewidowania kartek w „mzuzie“. Ponieważ zaś członkowie owego „sobranie“ postanowienie swoje uważali za pewnego rodzaju akt użyteczności publicznej,, za czyn mający przynieść miastu znakomitą korzyść—i ponieważ, biorąc znowu rzecz z drugiej strony, członkowie komi-

---

\*) Na futrynach od drzwi, w mieszkaniach konserwatywnych żydów, przybite są rurki blaszane spłaszczone, a w nich znajdują się kawałki pergaminu z odpowiedniami napisami. To się nazywa „mzuzie“. Do pisania ich są specyjalni pisarze „sejfer“, umiejący bardzo kaligraficznie pisać po hebrajsku. Od czasu do czasu „mzuzie“ powinno ulegać rewizyi, dla sprawdzenia czy pergamin nie został czasem uszkodzony. W wypadkach większej wagi, naprzykład chorób epidemicznych, ukazywania się strachów, nieboszczyków etc. robi się generalna rewizya „mzuzie“ w całym miasteczku.

syi i „sejfer“ powinni byli za swą czynność otrzymać wynagrodzenie z funduszków ogólnych, przeto postanowiono nałożyć nowy podatek na mięso.

Powiadają w Tuniejadówce, że wszystkie zabiegi ludzkie kończą się śmiercią, a wszystkie rozprawy w żydowskim kahale muszą ostatecznie kończyć się ustanowieniem nowej taksy. I to jest bardzo naturalne, a nawet nie może być inaczej. Od śmierci nie wywinie się żaden człowiek w ogóle—od taksy na mięso żaden żyd w szczególności. Śmierć i taksa to są dwie konieczności nieuniknione. Tak już urządzony został świat, i godzić się tem musimy.

Zmian żądają tylko heretycy! (apikorsim).

Abramowicz, stając zawsze w obronie ludności biednej i uciśnionej, ze szczególnem upodobaniem wyszydza postępowanie możniejszych, którzy zazwyczaj w ten sposób rządzą gminami, iż największa część ciężarów spada na barki ubogich. Jestto ulubiony jego temat i często też do niego powraca. Pod tym względem postępuje on stale jako „adwokat ludu“.

Beniamin, nie wiedząc że był powodem wielkiej sesyi kahału i podrożenia mięsa w miasteczku, w samo południe powędrował do lasu znajdującego się o trzy „miary szabasowe“ \*) od miasta. Wziął też z sobą kilka ksiąg, z którymi nie rozstawał się nigdy. Usiadłszy w lesie, pod drzewem, czytał—a później oparł głowę na dłoniach i długo, długo dumał. W myśli zawędrował już daleko, do stron odległych, na koniec świata. Przechodził przez góry, rzeki, pustynie i wszystkie miejscowości opisane w książkach... Wędrował śladami Aleksandra macedońskiego, szedł obok „Ałdod Hadoni“ i tym podobnych bohaterów; widział stra-

---

\*) W szabas wolno jest żydom iść—ale tylko pewną oznaczoną ilość kroków. Tę liczbę kroków nazywają „miarą szabasową“.

szliwego zwierza „Pipernotera“..., okropnego robaka który się zwie „Lindeworim“, widział olbrzymie węże, jaszczurki...

Przebudziwszy się z marzeń, spostrzegł że jest już późno i że czas wracać do domu. Wstał więc i poszedł. Szedł godzinę, dwie, trzy, cztery godziny—i w żaden sposób nie mógł wyjść z lasu... Włosy powstały mu na głowie z przerażenia, gdyż zapadła noc ponura, czarna jak smoła—las szumiał groźnie... i otaczał biednego wędrowca drzewami, niby milionową armią olbrzymów.

Duch w Beniaminie zamierał...

Nagle zerwał się straszny wichur, otworzyły się upusty niebieskie i ulewny deszcz siekł biednego wędrowca. Błyskawice przebiegały po niebie jak węże ogniste, co chwila uderzał piorun, a drzewa, ledwie mogąc się oprzeć naporowi wiatru, straszliwie trzeszczały...

Beniamin zatrzymał się. Stał wobec rozszalałej burzy, przerażony, drżący... Grube krople deszczu były go po twarzy, błyskawice oślepiały—to też trząsał się jak w febrze i dzwonił zębami z rozpacz i strachu.

— Oto wnet, myślał sobie, wyskoczą dzikie zwierzęta: niedźwiedź, lew, „lempert“ i wszelkie okropne potwory opisane w księdze „Ceł Ejlom“.

Prócz tego, głód trapił straszliwie wielkiego podróżnika, oprócz kawałka gryczanego placka (a reczenkicheł) przez cały dzień nie miał nic w ustach... a tu już noc tak dawno... Beniamin w smutku i przerażeniu swoim, zaczął się modlić gorąco, z całego serca i tak długo się modlił, aż Bóg zmiłował się nad nim, zatrzymał burzę i ulewę, rozproszył ciemności i kazał jutrzence, aby oświetliła drogę podróżnika...

Beniamin poszedł. Szedł, szedł, godzinę, drugą, aż nareszcie zdawało mu się że słyszy w oddaleniu głos ludzki.

Głos ten, zamiast ucieszyć Beniamina, przeraził go tyl-

ko—zdawało mu się bowiem, że oprócz rozbójników (gazłen) nikt nie mógł znajdować się w tym lesie. Nie namyślając się długo, Beniamin począł uciekać z rączością jelenia, jak wówczas, gdy za lat młodych, czynił z Rabinem pamiętny odwrót z ponad rzeczki.

Nagle wstrzymał się w biegu i rzekł sam do siebie z wyrzutem:

— Pfe! Beniaminie! to jest bardzo pfe! Jakto? chcesz iść w taką podróż! na oceany i puszcze! między dzikie zwierzęta, góry i przepaście, a drżysz na myśl że cię „gazłen“ spotka?! Pfe! pfe! Beniaminie, powinieneś wstydzić się takiego interesu. Czy „Aleksander Mugden“ uciekał kiedy tak jak ty? Czy tak drżał jak ty? Czy Aleksander Mugden, kiedy jechał na wielkim orle w powietrzu, trzymając na końcu miecza kawał mięsa, do którego orzeł rwąc się, szybował coraz wyżej; czy Aleksander Mugden drżał wówczas, tak jak ty Beniaminie? Nie—Aleksander Mugden nie drżał i nie uciekał nigdy. Przeciwnie,—więc ukrzep się Beniaminie, wzmocnij, gdyż Bóg probuje twych sił. Wszak idziesz do czerwonych żydków! do dzieci Mojżesza i wsławisz twą podróżą cały nasz żydowski zakątek. Idź więc prost naprzeciw głosu, który słyszysz; zwycięż strach i trwogę a za to zyskasz wdzięczność, ściągniesz zaszczyt na całą Tuniejadówkę! Będą wówczas dwie strony najślawniejsze w świecie, to jest Macedonia i Tuniejadówka, i stanie się, że ludzie mięszać będą imiona dwóch największych bohaterów i mówić: Aleksander Tuniejadowski i Beniamin Macedoński!.. („Aleksander Tuniejadowker un Beniamin Mugden“).

Tedy Beniamin ukrzepiwszy ducha swego i uczuwszy ogarniające go nagle męztwo, poszedł wprost przed siebie i spotkał się twarz w twarz z „rozbójnikiem“.

Był to chłop, jadący na wozie z workami, ciągnionym przez dwa siwe woły.

— Dzień dobril—zawołał Beniamin, dziwnym, niezwykłym głosem. Ileż odcieni było w tym wykrzykniku! krzyk, przerażenie, prośba, rezygnacya! Okrzyk ten zdawał się mówić:—Masz mnie rozbójniku, rób ze mną co chcesz! ale miej litość nademną! nad moją żoną i dziećmi!

Powiedziawszy, a raczej krzyknąwszy w ten sposób „Dobri dzień“—Beniamin oniemiał z przerażenia, głowa opadła mu na piersi, w oczach zrobiło się ciemno, nogi wypowiedziały posłuszeństwo—i wielki podróżnik zemdlony upadł na ziemię, jak kłoda...

Skoro otworzył oczy i spojrział dokoła, zobaczył że leży na wozie, na wielkim worku kartofli, przykryty grubą, chłopską sukmaną. Blisko głowy Beniamina leżał związany kogut, który przypatrywał się wielkiemu mężowi jednym okiem i od czasu do czasu drapał go po brodzie pazurami. U nóg swych widział Beniamin powiązane pęczki czosnku, cebuli i innych smakowitych owoców.

Chłop siedział też na wozie, palił spokojnie „di lulkele“ (fajkę) i co chwila pokrzykiwał na woły: „ksob! hejta! ksob!“ Koła wozu przeraźliwie skrzypiały, a każde innym głosem. Był to pewien rodzaj skrzypcowego koncertu, który widocznie drażnił koguta, gdyż ten trzepotał skrzydłami, jakby zrywając się do lotu, drapał pazurami twarz wielkiego wędrowca, a od czasu do czasu, z wielkim impetem i gniewem (mit kas, mit impet) zapał mu w samo ucho: „kuku-ryku“!!

Przez jakiś czas Beniamin leżał na wozie prawie bez życia i nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co się z nim dzieje; strach, głód, zmęczenie i zimno zgnębiły go i złamały. Zdawało mu się, że go rozbójnicy pojмали na pustyni...

— Niechby chociaż, — myślał z westchnieniem, — ten

zbójca w którego mocy jestem, ten ludokupca, sprzedał mnie przynajmniej żydowi—to mógłbym chociaż żyć jak Bóg przykazał i pełnić obowiązki mej wiary; lecz jeżeli się, broń Boże, dostanę do rąk jakiego pogańskiego księcia, lub co gorzej księżniczki, a ta zechce mnie zmuszać do takich czynów, do jakich żona Putyfarowa zniewalała czystego Józefa!... Cóż pocznę wtenczas nieszczęśliwy? cóż pocznę!—jęczał Beniamin.

Chłop widząc że się jego pasażer rusza, odezwał się:  
— Nu żydku... a szczo, trozku lepsze tebe?

Beniamin podniósł głowę weselej i przypomniał sobie co się z nim dzieje. Znalazł się jednak w bardzo przykrem położeniu. Nie umiał prawie ani słowa po chłopsku, nie wiedział co mu odpowiedzieć, nie mógł spytać gdzie jest i dokąd go wiozą.

Beniamin próbował podnieść się i usiąść na wozie, nogi jednak wymawiały mu posłuszeństwo, ruszać się nie mógł.

— Lepsze tebe trozki?—powtórzył zapytanie chłop i nie czekając odpowiedzi krzyknął na woły: hejta he! ksob! ksob, byciu...

Beniamin tymczasem wyjęczał odpowiedź:

— Lepsze, oj waj lepsze, raki ryby moi, oj! oj! oj! (miało to znaczyć, że ani ręką ani nogą ruszyć nie może).

— A widki ty żydku? (zkađ ty żydku)—zapytał chłop znowuż.

— Widki-ty-żydki? — wyjęczał zdumiony Beniamin... nie rozumiejąc pytania... i dodał: — ja nijamke bniamke uw Tuniejadówke...

— Ty iz Tuniejadowki każys. Szczoż ty na mene wytaraszczył oczi jak szalony?... ale może ty taki i szalony, trascia twoi materi... ksob, ksob, hajta byciu, kso!...

Beniamin usiłował porozumieć się z chłopem:

— Ja, szteitsz... ja nijamke, bnijamke uw Tuniejadowke!—mówił wielki podróżnik, robiąc rękami gest taki, jak gdyby błagał o litość — uw Tuniejadowke! żyńka tebe dać czarke wodka i szabasowy bułka i tebe dobre denkujet.

Chłop z obojętnością przedziwną słuchał tej mowy, paląc fajkę, po chwili dopiero odrzekł:

— Dobre żydku... ksob... byciu... ksoo!

W kilka godzin potem, wóz skrzypiąc przeraźliwie wtoczył się na rynek pięknego miasta Tnniejadówki.

Natychmiast gromada żydówek zbiegła się ze wszystkich stron, zasypując chłopca pytaniami.

Jedna krzyczała:

— Czujesz! skilki chcesz za tego piweń?(za koguta), za cybuli?

Druga pytała:

— Może majesz kartofli?

Inna wreszcie odezwała się:

— Czujesz? a może ty bacził na dorogi żydka? U nas jeden żydka, Beniamka... wczoraj propał jak uw wody!

Zanim chłop zdążył podrapać się w głowę, swoim zwyczajem, i dać odpowiedź, ktoś chcąc zobaczyć co się więcej na wozie znajduje, podniósł sukmanę, którą był przykryty Beniamin.

Tłum kobiet jednym głosem zawołał: Beniamin!!

Zrobił się gwałt, rejwach, zamieszanie. Ostre głosy kobiet mieszały się w chóralnych dyssonansach, tak że ledwie można było dosłyszeć oderwane wyrazy:

— „Cipe krejne“!(Cipo-korono) „Bas-szewe Brajndle!“ (imię kobiece), lećcie prędzej do Zełdy, nieście jej radosną nowinę... Zguba się znalazła!

Wielki podróżnik leżał bezwładny na wozie i wystraszonymi oczami spoglądał na ludzi...



Biedny Beniamin, zmęczony, głodny, zbolący, zdjęty został z woza i przeniesiony do domu. Niebawem przybył wielki „mumcho“, uczony cyrulik, największa powaga medyczna w całej Tuniejadówce; obstawił Beniamina pijawkami, bańkami, ogolił mu głowę, wysmarował maścią, słowem użył wszelkich środków, aby znakomitemu podróżnikowi utracone zdrowie przywrócić.

Na szczęście, usiłowania cyrulika, o tyle o ile przynajmniej, odniosły pożądany skutek.

Streszczając pracę Abramowicza, a wybitniejsze ustępy z niej tłómacząc dosłownie, staram się przedstawić czytelnikom wszelkie zalety tego autora, którego istotnie warto dać poznać szerszemu ogółowi.

Scena w lesie, monolog Beniamina, spotkanie się z chłopem, napisane są wybornie. Jakież tu doskonały rysunek tchórzostwa i trwogi, z którą napróżno walczył Beniamin! jak trafnie, w kilku pociągnięciach pióra, skreślona sylwetka chłoparusa, flegmatyka, małomównego... a poczciwego w gruncie.

U Abramowicza, chłop znalazłszy zemdlonego żyda na drodze, bierze go na wóz i odstawia do domu, jednym słowem dźwiga go w nieszczęściu, podaje mu rękę. I tak też bywa w rzeczywistości najczęściej.

Gdyby jednak podobną scenę opisywał autor inny, z obozu pisarzy lubiących poświęcać prawdę dla zasady, dla wywyższenia jednej warstwy ludzi, kosztem poniżenia drugiej—to ta scena wyglądałaby zupełnie inaczej. Chłop, jeżeliby nie zabił zemdlonego żyda, toby go przynajmniej obdarł z ostatniej kapoty, kopnął nogą i powiedział: „zmarnij żydzie“!

Mamy w naszej literaturze dość podobnego rodzaju przykładów, dowodzących niesumienności w traktowa-

niu przedmiotu i tendencyjnie fałszywego przedstawiania rzeczy.

Możnaby o tem wiele i bardzo wiele powiedzieć, ale tu nie miejsce potemu... idźmy więc dalej za Abramowiczem i jego, rwącym się do odległych pustyń, Beniaminem...

---

#### IV.

Niepowodzenie nie zraża wielkich ludzi, a geniusz im więcej napotyka przeszkód, tem bardziej rwie się do czynów. Tak samo i Benjamin. Smutny rezultat pierwszej wycieczki, gorąca rozprawa z małżonką, choroba, plotki miejskie i wielkie posiedzenia w „bejshamidraszu“ pod piecem, zamiast osłabić w nim rycerskiego ducha, wywarły skutek wprost przeciwny.

Benjamin, przyszedłszy do zdrowia, znowuż zaczął marzyć o wielkiej podróży, której pragnął całe życie swoje poświęcić. Myśl ta stała się dla niego dziesięć razy droższą niż poprzednio. Czuł on że w pierwszej wyprawie złożył już dowody bohaterstwa i siły, i że może śmiało rzucić się na nowe rycerskie przedsięwzięcia. Uważał się za bohatera i za myśliciela, filozofa („a hakren“) zarazem i mniemał że dwie te cnoty, to jest uczoność i męztwo, doprowadzą go do zamierzonego celu. Z księgi „Ceł Ejłom“ wiedział co się dzieje na całym świecie, z tego też powodu było mu przykro że on, taki człowiek, powołany do wielkich i bohaterkich czynów, traci czas napróżno i gnuśniej w takiej podłej mieścinie—jak Tuniejadówka.

— Do dzieła! do czynu! — mówił ciągle do siebie Be-

niamin i dusza jego wyrwała się do pustyń, do krajów nieznanymi... do ideału!

Jak róża między kolcami, wyglądał wielki Beniamin pomiędzy mieszkańcami Tuniejadówki, i marnował się prosto, w takim kącie nędznym, między prostymi, niewykształconymi ludźmi, którzy nie rozumieli nawet po co żyją na świecie. Gawędki ludzkie, dowcipkowania, bawienie się jego kosztem, nie wywierały na Beniaminie żadnego wrażenia,—przeciwnie umacniały go niejako w powziętym zamiarze.

Ale jak ten zamiar wykonać? Zkąd wziąć funduszków na tak wielkie przedsięwzięcie? Przepędzając całe życie w „bejshamidrasz“ Beniamin nie miał nigdy ani grosza w kieszeni. Środki do mizernego życia zdobywała swoim przemysłem Zełda, jego żona, istna „lic mulier“, która na barkach swoich dźwigała cały ciężar utrzymania domu. Miała ona małą kletkę z łakociami—ale cóż ten cały kram był wart! Gdyby nie to, że trudniła się robieniem pończoch i darcie pierzy, gdyby nie to, że czasem od znajomych chłopów kupiła tanio jakiś produkt i sprzedawała go z zarobkiem—to nie miałyby co w usta włożyć... W domu również nie było nic takiego coby można sprzedać. Para miesięcznych lichtarzy była nie do zbycia, Zełda otrzymała je bowiem w sukcesji po rodzicach, czyściła je zawsze z pewną dumą—i co piątek przed szabasem zapalała w nich świeczki łojowe.

Są kosztowności rodzinne, których nie godzi się pozbywać! Prócz lichtarzy, Zełda miała jeszcze srebrny pierścionek z perełką, lecz ten należał również do rodzinnych klejnotów. .

W osobistym swym majątku Beniamin miał tylko szabasową kapotę i kożuch. Kapota była atlasowa, błyszcząca, lecz zarazem podarta z przodu i z tyłu, zabłocona, zni-

szczona i niemająca wysokiej wartości. Była to jeszcze weselna kapota Beniamina.

Kożuch również miał kilka felerów. Przedewszystkiem futro się w nim już dobrze wytarło, a powtórnie nie posiadał on kołnierza, tylko kawał podszewki.

Należy powiedzieć kilka słów o tym kożuchu, a właściwie o samym kołnierzu. Gdy Benjamin miał się żenić z Zeldą, teść jego przyszedł, jak wszyscy zazwyczaj teściowie bajecznie hojny przed ślubem, radził Benjaminowi aby sobie sporządził kożuch obszerny, dostatni i ciepły, co też posłuszny zięć uczynił swoim kosztem... Teść chcąc się przyczynić do uświetnienia owego futra, darował zięciowi kawał żółtej podszewki z własnej starej kapoty—i kazał urządzić z niej podkładkę pod kołnierz.

— Kazał to pięknie wystebnować,—mówił do Beniamina,— i nie żałuj cennego materiału, chciałbym albowiem żebyś miał kołnierz szeroki, imponujący, porządny i żeby każdy spojrzawszy na ten kołnierz, widział odrazu że jesteś zięciem człowieka, który ci nie nie szczędzi. Tymczasem, mój drogi, będziesz nosił samą podszewkę, ale masz moje słowo, że jak ci wypłacę resztę posagu, to ci zarazem kupię skórek z tchórzów i będziesz miał ubranie, którego ci świat pozazdrości!

Teść, człowiek honorowy, dotrzymał słowa—i skutkiem tego Benjamin nosił ciągle kożuch z kołnierzem ze starej żółtej podszewki.

Może to się czytelnikowi wyda dziwnem, lecz teść był w najzupełniejszym porządku—słowa dotrzymał; gdyż zadeklarował sprawić kołnierz, zaraz po wypłacie posagu— a ponieważ posagu nie wypłacił, więc... termin kupienia tchórzowych skórek jeszcze nie nadszedł...

Benjamin chciał się koniecznie wyrwać z Tuniejadówki—ale jak? Powiedzieć żonie nie sposób, narobi awantur

i krzyku, nie zrozumie wzniesłego celu podróży; bo kobieta, chociażby najmądrzejsza, zawsze jest tylko kobietą i w głębi duszy wielkiej spojrzeć nie potrafi. Uciec zaś od Zeldy tak, potajemnie, nie powiedziawszy jej nawet „do widzenia“ to także głupi interes. To trochę przykro (is epis prykre, abiseł majse litwak) \*).

Pozostać zaś w domu i wyrzec się wielkich podróży niepodobna! to to samo co wyrzec się życia.

Jak żyd trzy razy dziennie modlić się musi, tak Benjamin trzy razy dziennie musiał o swej podróży rozmyślać.

Marzył o niej we śnie i na jawie, a nawet do rozmowy wtrącał nieustannie takie wyrazy jak: „hindyje“ (Indye), „Sambatye“, „pipernoter“, „ajzeł i mojlajzleł“ (osiół i muł), „bokseren“ (chleb świętojański), „kicipihis“ (placek z miodem), „tejger“ (turek), „toter“ (tatar)...

Rozmyślając wciąż nad wielkiem przedsięwzięciem, Benjamin przyszedł do wniosku, iż musi sobie przedewszystkiem wyszukać towarzysza podróży.

Był onego czasu w Tuniejadówce mąż niektóry, imieniem Senderił, wnuk starego rebe Senderił, człowiek dziwnej prostoty ducha i słodczy charakteru. W „bejshamidrasz“ nie wtrącał się do rozpraw i wogóle odzywał się bardzo rzadko. Nie należał on do tuniejadowskich „fajneberye“ i do tamtejszych „cymesów“ (arystokracji). Wszelkich rozpraw podpiecowego komitetu słuchał spokojnie, jak

---

\*) Pomiedzy zydami z południowych gubernij, a litewskimi zydami, istnieje dziwny antagonizm, od którego zresztą nie są wolni także i żydzi warszawscy... „Litwak“ nie cieszy się wielką sympatyą ze strony swych współbraci z nad Dniepru i z nad Wisły... Zdarzyło mi się samemu od warszawskiego żyda słyszeć takie zdanie: „te „litwaki“ mają dobre głowy, oni są nawet w naszych księgach bardzo uczeni, ale są „gałgany“, każdy z nich nosi krzyż na piersiach.“ Miało to znaczyć, że żyd litewski, łatwiej poddaje się wpływowi cywilizacji nieżydowskiej.

człowiek zupełnie obcy; kiedy zaś pewnego razu wtrącił do rozmowy jakieś słowo, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Senderił wszakże nie zmieszał się tym objawem wesołości, przeciwnie—śmiał się wraz z innymi.

— Śmieją się—rzekł—i owszem, niech się śmieją, kiedy im to sprawia przyjemność.

Senderił, jak powiedzieliśmy, był człowiek cichy i dobrego usposobienia; lubił się bawić z dziećmi i nie gniewał się, gdy go darły za brodę.

Zdawało się że człowiek ten nie miał żółci, a przytem potrafił się do wszystkiego stosować. Między młodymi był Senderił młodzieńcem, wśród dzieci dzieckiem. Umiał się również stosować do wymagań swej małżonki i spełniał wszystkie jej rozkazy. Miał on też od niej gorzką dołę, („a bittere dolie“), trzymała go albowiem w ciągłym strachu i obarczała różnemi pracami, nie wchodzącemi w zakres zwykłych zatrudnień pana domu i głowy rodziny. Musiał on szorować podłogę, myć garnki, obierać kartofle, zagniatać i krajać „łokszen“ (makaron), oporządzać ryby, przynosić drwa i palić w piecu, akurat jak kobieta, i ztąd też dano mu w miasteczku przydomek „Senderił di judene“ (Sender—żydówka).

Na tego to człowieka, o zadziwiająco łagodnym i spokojnym charakterze, padł wzrok Beniamina i wielki podróżnik pomyślał, że nawet, w samo południe z latarnią szukając, lepszego towarzysza wędrówki nie znajdzie.

I stało się, że gdy Beniamin przyszedł do mieszkania jego, zastał go zajętego skrobaniem kartofli, siedzącego na „ławce mlecznej“ \*). Jeden policzek Senderiła był nieco

---

\*) „Milchedige bank“. Przepis religijny nie pozwala żydom mięszyć pokarmów mlecznych z mięsnymi. Ztąd też każda gospodyni posiada dwa oddzielne garnitury naczyń kuchennych i stołowych; jeden

obrzęknięty i czerwony, a pod okiem sina plama świadczyła o jakimś delikatnem nieporozumieniu małżeńskim. Znać było także na owem obliczu jakieś rysy, niby ślady paznogi. Senderił skrobał kartofle, w smutnem zamysleniu, małżonka jego zaś nie była w domu obecna.

— „Git morgen“ Senderił (dzień dobry)—rzekł Beniamin wchodząc — cóżeś tak zbiedzony dziś, moje serce?... gdzie się obraca twoja żona?

— Jest na targu.

— Doskonale—zawołał Beniamin—doskonale! porzuć duszo moja, kartofle i chodź zemną do alkierza, tam zapewne nie ma nikogo. Chcę przed tobą otworzyć moje serce... Chodź, chodź, prędzej Senderił.

— Prędzej? chcesz prędzej? niech będzie prędzej, kiedy chcesz—rzekł Senderił wstając.

— Senderił! — rzekł Beniamin tajemniczo, gdy się wraz z przyjacielem zamknęli w alkierzu—Senderił, czy ty wiesz co jest za Tuniejadówką.. tam, w tamtej stronie?

— Wiem—odpowiedział poważnie Senderił,—za miastem w tamtej stronie jest „a priczepe“ (rogatka) i tam można dostać bardzo dobrej wódki.

— Głupi jesteś... ja myślę co jest dalej... daleko dalej po za „priczepe“.

— Dalej za Tuniejadówką?! za „priczepe“? — zapytał Senderił zdziwiony—z kąd ja mam wiedzieć czy tam jest co dalej? a ty, Beniaminie czy wiesz?

— Ja!!? czy ja wiem? to mi dopiero pytanie! — rzekł

---

wylącznie do mlecznych, drugi do mięsnych potraw. W wykonaniu tego przepisu konserwatywni żydzi są tak drobiazgowi, że mają nawet oddzielne ławki, na których tylko takie lub owakie naczynia postawić im wolno. Na „milhediger bank“ naprzykład, nie można postawić garnka, w którym zwykłe gotuje się mięso.



z takim entuzjazmem Beniamin, jak gdyby odkrył nową Amerykę—tam.. tam jest dopiero świat!—dodał przyciszonym, lecz dobitnym głosem.

— A cóż tam jest?

— Tam? tam jest... „pipernoter“... „lindeworim“.

— Lindeworim? Jakto? ten wielki, straszny robak, który przegryzał zębami kamienie na budowę wielkiej naszej świątyni, za czasów króla Salomona! \*)—zapytał Senderil z nadzwyczajnym zdumieniem.

— Tak, moja duszo, ten sam... Za Tuniejadówką, daleko jest „ziemia Izraela“. Czy chciałbyś tam być kiedy, Senderil?

— A ty?

— Także pytanie! ja tam właśnie chcę iść i to nie za długo.

— Zazdroszczę ci, Beniaminie, zakosztujesz bowiem słodczy daktyli i chleba świętojańskiego...

— I ty mógłbyś mieć to samo gdybyś chciał. Wszak cząstka „Ziemi Izraela“ należy także do ciebie.

— Ale jak się dostać do niej? przecież tam siedzi „tejger“! (turek).

— I na to można znaleźć lekarstwo — powiedz-no mi serce, czyś ty kiedy słyszał o „czerwonych żydkach“?

— Oj, oj, nasłuchałem się o nich dosyć w bóżnicy pod piecem, ale gdzie oni mieszkają i w jaki sposób dostać się do nich, to nic a nic nie wiem.

— Ha! ha... a ja wiem! Księga „O przymiotach Je-

\*) Skarbnica legend żydowskich jest niewyczerpaną. Fantazja, właściwa wszystkim wogóle ludom wschodnim, wytworzyła u nich mnóstwo podań dziwnych, wymarzyła cały świat aniołów i złych duchów, najdziwaczniejszych bestyj i olbrzymów. Przy sposobności pomówimy o tem obszerniej

rozolimy“ powiada o tem dość wyraźnie. Jeżeli chcesz to przeczytam ci co w niej stoi, słuchaj:

Powiedziawszy te słowa, Benjamin otworzył książkę, z którą nie rozstawał się nigdy i rzekł:

— A gdy przybyłem tam, tak stoi napisane, spotkałem czterech żydów z Babilonu. Zacząłem mówić z jednym z nich, który rozumiał „mowę świętą“ i nazywał się rebe Mejsze. Ten mi opowiedział wiele prawdziwych szczegółów o rzece „Sambatyi“, o której nasłuchiwał się od ludzi bardzo godnych, którzy wiedzieli że po za tą rzeką mieszkają dzieci Mojżesza“. A oto dalej stoi tak: I opowiedział mi ów bogacz, jako przed laty trzydziestu, stanął przed obliczem jego człowiek z pokolenia Symeona i ten mówił, że w jego mieście są jeszcze żydzi z pokolenia Issahar, którzy zajmują się tylko czytaniem ksiąg świętych i mają własnego króla nad sobą. Oprócz tego stoją jeszcze w „Księdze Podróży Beniamina“ takie słowa: Ztąd o dwadzieścia dni drogi jest góra „Gisbejn“ nad rzeką „Gejzon“. Na owej górze mieszkają cztery pokolenia: „Dan, Zebulon, Aszer i Neftali“. Ci mają w swem posiadaniu całe kraje, stolice i góry... Z jednej strony otacza ich rzeka „Gejzon“. Ci nie mają nad sobą jarzma obcych narodów i rządzi nimi jeden król a imię jego jest „Jejsef Amarkło-ha-lewi“. Prócz tego stoi tam jeszcze wiele ciekawych słów o „bni rejchow“ w kraju „tejmo“, którzy mają nad sobą żydowskiego króla, a poszczą i płaczą często nad rozproszeniem żydów.—I cóż ty myślisz Senderił, jakby to było, żebym ja, ich brat, Benjamin z Tuniejadówki, poszedł ich odwiedzić?! Co, Senderił?

— Sprawiliś im niesłychaną radość, Benjaminie, bo czyż to żarty?! Taki gość! taki gość?! Każdy zapraszałby cię na ucztę, ja myślę że nawet sam król Amarkło posadziłby cię przy swym stole. Ach! Benjaminie, kiedy będziesz

ich widział, kłaniaj się im odemnie i powiedz, że gdybym tylko mógł, odwiedziłbym ich bardzo chętnie.

— A któż ci broni? kochany Senderuniu?

— Kto broni?

— Senderi! ja mam świetną myśl! Idźmy my razem: Gdy ja zostanę królem w tamtych stronach, zrobię cię nacychmiast kanclerzem, prawą ręką królewską... ty będziesz u mnie pierwszym dygnitarzem! Co się zaś tyczy jej... twojej żony, nie zważaj na nią, jest ona zła, swarliwa i zatrzuwa ci życie. Spójrz na twoje policzki, do czego one podobne, spuchnięte, obdrapane, sine!.. Ty, Senderi! masz od niej ciężkie życie, otrząśnij się z tego, chodź zemną, będziesz żył sobie w radości i chwale... Kanclerzem u mnie zostaniesz!

— Ha! — odrzekł Senderi!, — kiedy już koniecznie chcesz tak, niechże będzie tak. A ona? niech sobie zostanie tutaj, co mnie to obchodzi?

— Duszo moja! niechże cię uściskam—zawołał w uniesieniu Beniamin.—Tyś mi rozwiązał kwestyę, kwestyę ciężką jak kłoc! (a kasze, a kłoc-kasze“). I ja teraz mogę powiedzieć jak ty: a co się jej tyczy, co mnie to obchodzi? Pozostaje tylko jeszcze jedna kwestya, zkaąd wziąć środków na takie przedsięwzięcie?

— Środków? jakich środków? Beniaminie. Czy masz zamiar oporządzać się na tę podróż? Czy chcesz może kazać przenicować starą kapotę? Dalibóg to niepotrzebne. Do podróży najlepsze jest stare odzienie, a jak przyjdziemy do króla „Amarkło“, to on nam każe porobić nowe, bardzo porządne kapoty.

— To prawda... ale zawsze potrzeba trochę pieniędzy, chociaż na jedzenie.

— Co to znaczy, na jedzenie? Jak to rozumieć? Czy myślisz Beniaminie brać z sobą całą kuchnię? Po co? Czy to po drodze mało jest karczem, mało domów?

— Nie rozumiem co myślisz, Senderił.

— To prosta rzecz, aby tylko były domy po drodze, to już dobrze... będziemy szli od domu do domu, czyż wszyscy żydzi nie postępują tak samo? To będzie tylko wzajemność. Wszak chodzić po domach to jest żydowska rzecz!

— Dalibóg masz rację, Senderił. W tej chwili dopiero zrobiło mi się jasno w oczach i, Bogu dzięki, jestem już całkiem gotów do odbycia wielkiej podróży... Więc jutro raniutko, do dnia, kiedy cały świat spać jeszcze będzie, puszczaemy się w drogę. Grzechem byłoby tracić czas na próżno! Czy gotów jesteś pójść jutro? Senderił.

— Kiedy chcesz koniecznie jutro, niech będzie jutro, co mnie to obchodzi?

— Jutro i to bardzo raniutko, słyszysz Senderił? Ja pocichutku wymknę się z domu i oczekiwać cię będę za miastem—pod pustym wiatrakiem. Ty tam nadejdz i puścimy się w drogę, Pamiętaj-że przyjdz.

— Czekał-no Beniaminie, czekał trochę — rzekł Senderił, dobywając z bocznej kieszeni swego „lajbika“ woreczek irchowy, brudny porządnie, zawiązany sznurkiem na trzydzieści węzłów;—patrzaj tu jest trochę pieniędzy, które udało mi się zaoszczędzić w sekrecie przed żoną. To nam wystarczy w najgwałtowniejszej potrzebie.

— O Senderił, teraz widzę coś wart, teraz przyznaję że trzeba cię ucałować stokrotnie! — zawołał Beniamin, chwytając przyjaciela za szyję.

— Żeby was wszyscy djabli schwycili!...jako się czuła i całują! patrzcie co za przyjaźń między nimi! —a tymczasem koza weszła do izby i zjada kartofle aż miło!!

Taką tyradę wypowiedziała na progu magnifika Senderiła, która właśnie przed chwilą powróciła z miasta. Była groźną i straszną w oburzeniu i gniewie;—jedną ręką wska-

zywała na kozę, drugą zaś dawała mężowi znak aby się przybliżył.

Senderił, wiedząc co go czeka, przysuwał się powoli, jak dziecko, które wie że je kara ma spotkać.

— Ukrzep się i bądź mężnym, duszo moja — szepnął mu do ucha Benjamin—pomyśl że to już ostatni raz... a pamiętaj o jutrze...

Z temi słowy, wielki podróżnik wymknął się ostrożnie z domowego ogniska swego giermka.

---

## V.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zanim jeszcze pastuch wypędził krowy miejskie na trawę, Beniamin z tłomoczkiem pod pachą, już znajdował się koło pustego wiatraka, na umówionem miejscu.

W tłomoczku znajdowało się wszystko co może być potrzebnem w długiej i pełnej niebezpieczeństw podróży, a mianowicie: „tales“, „tefilim“ i pełne mądrości księgi. Znajdowała się tam również szabasowa kapota, by w świecie dalekim pokazać się ludziom porządnie i elegancko. W kieszeni miał Beniamin piętnaście groszy, które wyciągnął żonie z pod poduszki. Tak więc był już, dzięki Bogu, zaopatrzony we wszystko—i mógł wędrować bezpiecznie choćby na kraj świata!

Tymczasem słońce weszło i ukazało światu swą jasną, promienną twarz. Krople rosy drgały jeszcze na trawie i na listkach—a ziemia podobną była do dziecka, które nagle ze smutku do radości przechodząc, śmieje się, mając w oczach łzy wielkie jak groch.

Ptaszki unosiły się w powietrzu nad głową Beniamina, przelatywały nad nim, spoglądały z góry i zdawały się mówić do innych ptasząt:

— Patrzcie! patrzcie oto Beniamin, Beniamin z Tuniejadówki, „Aleksander Mugden“ swego czasu! ten sam, który oto opuszcza kraj ojczysty, żonę, dzieci i idzie w świat daleki... Patrzcie, oto słońce oświeśla bohatera, który wnet rzuci się na niebezpieczeństwa, z tłumokiem swoim pod pachą! Mocny on jest jako „lempert“ i śmiały jako orzeł, ten Beniamin... Spiewajcie więc ptaszki! śpiewajcie swoje „trilili“! rozradujcie serce bohatera!

Istotnie Beniamin doznawał rozkosznego wrażenia.— Jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie, — mówił sam do siebie—idę już w drogę. Żona moja zabezpieczona, gdyż z łaski Bożej ma środki do życia... ja sam zaś wolny jestem jak ptak! Cały świat otwarty jest przedemną, a z mojem doświadczeniem, męstwem, odwagą, z moją uczonością wreszcie, nie przepadnę!...

Beniamin wpadł w tak dobry humor, że zaczął śpiewać marsza i wędrować dla wprawy koło pustego wiatraka.

Upłynęła chwila dość długa, a na drodze nie było widać nikogo. Senderił opóźnił swe przybycie. Czyżby żona kazała mu skrobać kartofle, w chwili gdy cała Tuniejadówka pogrążona jest we śnie?

Beniamin zaczynał się niepokoić i sam nie wiedział co czynić. Wrócić się? pfeł brzydkol., „Aleksander Mugden“ nigdy nie wracał z drogi. Iść samemu? to przykro znów, bardzo przykro... a nawet dziwnie poniekąd. Któż bo widział okręt bez rudla, króla bez ministra?

Gdy tak Beniamin smutnie rozmyślał, na drodze ukazała się jakaś postać, w cycowem ubraniu, z głową owiniętą w chustkę. Wielki podróżnik zadrżał.. Zdawało mu się, że pozna je w tej osobie małżonkę swoją Zełdę...

Tego tylko nieszczęścia brakowało! Będzie lament, płacz, gwałt („a jomer, a kłog, a gwałt“), będą sceny

okropne! Ta kobieta nie idzie, ale leci, pędzi jak uragan, jak burza...

Beniamin postanowił mężnie odeprzeć atak i w tym celu ukrył się w pustym wiatraku. Gdy tak, dzwoniąc zębami ze strachu, walecznie stawiał czoło niebezpieczeństwu—nagle z piersi jego wydobył się okrzyk radości.

Osobą pędzącą ku wiatrakowi była nie Zeldą, lecz oczekiwany Senderi! Ale jakże zmieniony!!

Ubrany w długi kitel cycowy, twarz miał podwiązaną chustką, pod oczami zaś i na policzkach siniaki. Widocznym było że biedny Senderi! ciężko odpokutował za żarłoczność kozy, która zjadła kartofle... Pomimo tego ów żydek wydał się w oczach Beniamina tak zachwycającym, jak wystrojona oblubienica w oczach szczęśliwego kochanka, tak rozkosznym jak zdrój świeżej wody źródlanej, dla wędrowca w pustyni.

— Co się stało z tobą, Senderi!, że dałeś mi czekać tak długo?

— Chodziłem do ciebie do domu, sądząc że cię tam zastanę. Zacząłem stukać do okna, zbudziłem Zeldę i spytałem ją o ciebie.

— Senderi! jesteśmy obadwaj zgubieni. Ona nas gonić będzie!

— Nie bój się, Beniaminie, nie będzie nas ona goniła; powiem ci nawet w sekrecie, że była bardzo zła gdy się o ciebie pytał i odesłała nas obu do wszystkich djabłów! (cy alde szwarce joren). Skoro rzekła takie słowo brzydkie i zamknęła mi drzwi przed nosem, domyśliłem się że już czekasz pod wiatrakami i przybiegłem coprędzej... Twoja Zeldą pewnie teraz śpi doskonale.

— A więc, Senderi!, stawiaj naprzód prawą nogę i marsz!!

Raptem ruszyli nasi podróżnicy z miejsca i szli bardzo



szybko, jak gdyby wyrwać się chcieli coprędzej z tego kąta, jak gdyby ich kto z tyłu biczem popędzał. Wiatr rozwiewał ich poły szerokie, tak że wyglądali obaj jak okręty, płynące po morzu z rozpiętymi żaglami. Sroki i wrony, które szukały pożywienia przy drodze, uciekały spłoszone widokiem tych niezwykłych wędrowców. Żadne pióro nie opisze radości i szczęścia Beniamina. Senderił również był uradowany, czuł że spadło z niego ciężkie brzemię, że go już nie dosięgnie ręka małżonki—że zakończyła się jego niewola. Wczorajszy dzień był dla niego ostatnim już dniem utrapienia i smutku... Już teraz nie będzie drżał o całość swej bródki, nie będzie miewał siniaków pod oczami...

Przez długi czas nasi wędrowcy pędzili tak bez wytchnienia, nie mówiąc ani słowa. Zmęczeni się też dobrze, oddech mieli utrudniony i grube krople potu spadały im z czoła. Senderił zaczął potroszę zwalniać kroku i sapał jak gęś.

— Prędzej! prędzej Senderił!—wołał Beniamin, pędząc z coraz większym impetem, jak bohater, który przepasawszy biodra swoje, z wielkim oszczepem rzuca się w odmet bitwy.

— Gwałt! Beniaminku, miej litość nad moją duszą... już nie mam siły tak lecieć!... Nie każdy tak potrafi... Oh! Beniaminie, ty skaczesz jako jeleń w górach, lub jako cap przed stadem... oj, oj, miej ty litość nademną!

— Prędzej, prędzej!—wołał nieubłagany Beniamin—widzisz jak ja pędzę i tak biedz będę ciągle, aż na koniec świata.

— Ale powiedz mi po co tak rwiesz jak szalony? co ci z tego przyjdzie? Czy przyjdziemy nad brzeg Sambatyi o dzień później, czy dniem wcześniej, to nam żadnem niebez-

pieczeństwem nie grozi, przecież do końca świata jeszcze kilkaset lat, zdążymy przed tym terminem.

— Nie pytaj Senderił—pośpieszaj!—pomyśl tylko że tam, dokąd idziemy, jest lepiej. Zabolą cię kości to nie szkodzi... Doszedłszy do kresu podróży rozprostujesz członki swe i użyjesz wszelkiego smaku i rozkoszy!...

— Masz zupełną rację, Beniaminie, chcesz prędeż, niech będzie prędeż... osobiście zgadzam się na to, ale moje nogi!... moje nogi wcale nie chcą mnie słuchać, powiedz mi co mam z nimi zrobić? jak zmusić je do marszu?

Przekonany tym argumentem Beniamin, zwolnił trochę kroku. Gdy słońce wzbilo się wyżej i zaczęło nie żartem dopiekać jasnemi promieniami swemi, nasi wędrowcy zeszedli z drogi i schronili się do poblizkiego lasu. Pokładli się w cieniu i zaczęli mocno sapać. Gdy odpoczęli już nieco, włożyli na siebie „tales i tefilim“ i zaczęli się modlić. Oba dwaj modlili się bardzo gorąco.

Po skończonej modlitwie znowuż legli na trawie, ale Beniamin dziwnie jakoś posmutniał. Nie mówił nic, tylko z wyrazem pewnego niepokoju, spoglądał przed siebie, nucąc pod nosem.

— Ty musisz cierpieć, Beniaminie — rzekł po chwili Senderił—mnie się zdaje że głodny jesteś... bo jakoś śpiewać zaczynasz...

— Ja głodny? istotnie głodny jestem, ale cóż będę jadł?

— Ja to zaraz zgadłem. Jest chłopskie przysłowie, które mówi: „Żyd śpiwaje, koli gołodaje“; chcesz sobie śpiewać Beniaminie, śpiewaj. Któż ci broni, ja tymczasem zrobię co innego...

Z temi słowy Senderił rozwiązał swój tłumok i wydobyl z niego torbę.

— Et—rzekł—ty nie nie wiesz, ty nie masz żadnego wyobrażenia o tem co się tu znajduje!

Gdy Beniamin rzucił okiem na torbę, uczuł rozkoszne drżenie we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu członkach \*)... W torbie znajdował się porządny kawał chały pozostałej z szabasasu, były ogórki, rzodkiew, cebula i czosnek. Senderił zaopatrzył się we wszystko i jak porządna gospodyni, przedewszystkiem pomyślał o spiżarni. Widząc to Beniamin, uradował się w duchu, że Bóg dał mu tak zanego towarzysza podróży. Torba jego była istotnie tem, czem manna na puszczy dla żydów... onego czasu.

Rozłożywszy prowizję na trawie, rzekł Senderił:

— Nie bój się Beniaminie, wziąłem ja z sobą tę torbę, w drodze chodzić będę od domu do domu i torba zawsze się jakoś napełni..

Torba Senderiła miała być tem, czem ów cudowny obrus w powieści arabskiej, któremu dość było powiedzieć: Obrusie! daj mi jeść, daj mi to, daj mi owo—i życzenie wnet zostawało spełnionem. Wierzcie mi państwo, że torba żydowska jest to cudowny wynalazek!

Torba w żydowskim życiu gra bardzo ważną rolę, chociaż nie zawsze widzimy ją w postaci zwykłej torby płóciennej.

Prości ludzie używają takiej ordynaryjnej torby, zaś wyższy świat nadaje jej inne formy jak np. skarbonki, kasy, skrzynki kahalne, ale w rzeczywistości nie jest to nic innego jak tylko torba, torba! prawdziwa torba żydowska! („torbe, torbe, echte judische torbe“).

---

\*) Żydzi twierdzą że organizm człowieka składa się z 248 członków. Czy tak jest, mogą sprawdzić anatomowie.

— Senderił!—zawołał Beniamin, patrząc na pożywie-  
nie z radością;—my dwaj jesteśmy doskonale dobrani, my  
dwaj jesteśmy jako ciało i dusza. Tyś biegły w sprawach  
jadła i napoju—jam biegły w rzeczach duchowych. Oba-  
dwaj dopełniać się będziemy nawzajem.

— Oddaję też w twe ręce wszystkie sprawy naukowe  
i duchowe — rzekł z pokorą Senderił — zapewne będziesz  
wiedział jak masz postępować, dokąd iść, albowiem głęboko  
pograżałeś się w twych książkach. Ufam ci zupełnie i nie  
pytam nawet którędy idziemy — idę za tobą jak cielę za  
krową...

Beniamin uczuł dziwną radość, widząc człowieka tak  
ufającego w jego mądrość. Zdawało mu się że jest kapita-  
nem okrętu, mającym kierować wielkim korabiem na głę-  
biach oceanu...

Ufny tedy w swą mądrość, puścił się dalej w drogę,  
uszedłszy jednak kilkaset kroków, odezwał się do swego  
przyjaciela:

— Słuchaj-no Senderił — oto naprzeciw nas jedzie  
chłop, bądź co bądź, nie zawadzi go zapytać o drogę. Za-  
gadaj-no do niego po chłopsku.

Senderił, ponieważ towarzyszył niekiedy małżonce swej  
na targ, posiadał niejaki wiadomości z filologii słowiańskiej,  
zbliżył się więc do chłopca i zapytał:

— Dobri dzień! Kazi no czełowicze kudy dorogi ojf  
„erec isroil“? (do ziemi Izraela).

Chłop wytrzeszczył oczy na niego i odrzekł:

— Szczo? jakij Sruil? ne bacził ja Sruila.

Beniamin nie mógł wytrzymać — i wtrącił się do roz-  
mowy:

— Ni! ni!—wołał,—eto ni Sruł, a win „lehawdil“ (nie-  
przymierzając) „erec isroil“ kazaty win!! Senderił powiedz

mu to jeszcze raz, tylko jasno, on ma chłopską głowę, więc mu wytłomacz.

— Ojf „erec isroił“ kudy dorogi?!— krzyknął Senderił głośno.

— Pies was żydy znaje! szczo wy mene moroczite gołowu?! eto doroga do Pijawki, a win wsio każe „eresroił! eresroił!...

Rzekłszy to chłop splunął, machnął biczem nad końmi i pojechał.

Znajomość filologii słowiańskiej niewiele pomogła.

Nasi podróżni puścili się znów w drogę. Beniamin uczuwał jakiś ból w łydkach—zdawało mu się przytem, że mu ktoś nogi podciął. Jak koń podbity, wielki podróżnik kulał i podskakiwał pociesznie, panował jednak nad sobą i nie położył się na drodze, lecz szedł wytrwale.

Tak szli długo, długo, do samego wieczora, aż przyszli do wsi Pijawki, gdzie łatwo odnaleźli karcznię.

Wszedłszy do karczmy, Beniamin rzucił się na podłogę w sam kąt, ażeby rozprostować kości i cokolwiek odechnąć. Senderił zaś, jak stara i doświadczona gospodyni, zakręcił się po izbie, ażeby wyspekulować kolację.

Arendarz, nie bez pewnego zdziwienia, przypatrywał się dwom podróżnym, zgoła niepodobnym do stałych pasażerów przejeżdżających i wstępujących do karczmy. Naturalnie, że pragnął zaspokoić swą ciekawość, co mu przyszło z łatwością, gdy zabiegliwy Senderił, pomimo spuchniętej gęby, bardzo do gawędki był chętny.

Zamieniwszy zwykle „Szołem ałejchem“, szynkarz zarzucił gościa pytaniami: zkađ jest? jak się nazywa? dokąd idzie? jaki ma interes?

Senderił odpowiedział, że jest „a sztikel erec isroił jud“, czyli że jest troszeczkę z ziemi świętej,—że jest „szamesz“ (służącym) wielkiego rebe Beniamina, który oto te-

raz, wraz ze swoim honorem, spoczywa sobie w kącie, na podłodze.

Arendarz usłyszawszy to, zrobił bardzo nabożną minę, poprosił Senderiła siedzieć i przyrzekł mu zrobić wszelkie ułatwienia co do kolacyi.

Porzucmy jednak „basmalkę“ (księżniczkę), to jest praktycznego Senderiła i zajmijmy się natomiast samym księciem, to jest Beniaminem. Obaczmy co się z nim dzieje?

Nasz wielki podróżnik, rzuciwszy się na ziemię, leżał jak kamień i nie wiedział na którym świecie się znajduje. Czuł okropny ból w nogach, senność i zdawało mu się że mrówki po nim chodzą. W skroniach krew biła jak młotem. Przed oczami widział jakieś ognie, błyskawice, rakiety i fajerwerki, żółte, zielone, niebieskie, czerwone, pąsowe i inne, w nieskończonej liczbie kolorów. Nagle wszystkie fajerwerki zagasły, w oczach zrobiło mu się ciemno, a w uszach powstał turkot jak we młynie...

Dość długi czas leżał Beniamin jak bez duszy, potem zdawało mu się że słyszy jakby odgłos dzwonek, jakby muzykę—i że jakiś wóz zatrzymał się przed drzwiami. Na wozie odzywały się różne głosy: barytony, gardlane, głuche, ochryple, tenory, fistuły, dyszkanty, jak gdyby całe miasteczko zbiegło się tutaj i chórem śpiewać zaczęło... Wrzeszczeli wszyscy, jak koty na dachu, nie można było rozróżnić kto śpiewa i co śpiewa. Było to „połne sobranie“ kotów!

Nagle drzwi się otwarły i wielka gromada ludzi wpadła do stancyi, z krzykiem i z impetem. Beniamin wystraszony, tulił się coraz więcej w kąt, coraz silniej przyciskał się do ściany. Nagle w stancyi zrobiło się bardzo widno; jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zajaśniało mnóstwieczek w mosiężnych szabasowych lichtarzach. W dali na dużym stole dębowym, zasiedli muzykanci i stroili instru-

menta, szczypiąc co chwila struny palcami. Jeden pociągał smyczkiem, drugi dmuchał we flet, cymbalista bił pałeczkami w cymbały... — Grajcie wesoło i z życiem!—odezwał się głos jakiś, a wnet muzyka zagrała skocznie. Kobiety pochwyciły się za ręce i zaczęły skakać tak gwałtownie, że aż tatarakany i inne robactwo powychodziło ze szpar, aby się tej uciecze przypatrzeć.

Weselnicy hulając, zapędzili się w kąt, gdzie leżał nasz wielki podróżnik, jeden z tańczących nastąpił na niego zawołał:—Ach! Beniamin! mamy cię, chwała Bogu! znalazła się kosztowna zguba! On jest tutaj! tu leży pod ścianą!

Na ten krzyk, wszyscy zbiegli się do kąta i Beniamin poznał między nimi tuniejadowskich „fajneberje“ i tamtejszego rabina... Wszyscy krzyczeli jednym głosem: —Chodź tańczyć Beniaminie, chodź tańczyć!—Nie mogę, dalibóg nie mogę, jęczał Beniamin, niemogę się ruszyć z miejsca...—Nic nie szkodzi! nie szkodzi, wstawaj, bo opowiemy wszystko, wiesz komu opowiemy? Zełdzie!—Miejcie litość ludzie, płakał podróżnik, nie mówcie nic Zełdzie, nie gubcie człowieka!—A rusz-że się, bydlę, ryknął jakiś zapalony tancerz, rusz się, stań na nogi!—Zmiłujcie się „judische kinder“! błagał Beniamin, ja, ja się ruszyć się mogę... o rabi! miej litość nademną!

Z temi słowy Beniamin pochwycił rabina za kolana rękami—a jednocześnie uczuł silne uderzenie w nos, drugie między oczy, czemś twardem, jak gdyby kopytem—i w najwyższym przerażeniu i trwodze, zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Za nim gonił zwierz jakiś, którego w ciemności rozpoznać było trudno... Beniamin był pewny, że to „Pipernoter“... „Pipernoter“ zląkł się także Beniamina i uciekając obadwaj jeden przed drugim, wpadli nagle w jakiś wielki ceber napełniony niezbyt czystą wodą...

Wyjaśnijmy bliżej ten okropny wypadek.

Przedewszystkiem zachodzi pytanie z kąd się wzięło ciele? Wprawdzie Beniamina życzliwi przyjaciele nazywali niekiedy krową („a behejme“); przypuściwszy nawet że w tem była część prawdy, widzimy znowuż pewną niekonsekwencyę: Beniamin albowiem był krową dwunożną, a ciele, które go nabawiło takiego strachu, miało cztery nogi... Jest i to prawda, że pomiędzy naszymi żydkami, zwłaszcza w tak zwanych porządnych domach („in lajtisze hajzer“), znajduje się wiele, nawet bardzo okazałych cieląt—lecz te są cielętami w ludzkiej postaci; ciele zaś, którego kopyta ścisnął wzruszony Beniamin, było najzwyczajniejszym czworonożnem cieleciem.

Był-że to więc cud? Czy może ciele spadło z nieba?

Nie panowie! nie był to cud, ani też żadne nadzwyczajne zdarzenie—lecz bardzo prosty interes. Gdy Beniamin, ledwie żywy, rzucił się na podłogę, w kąt izby karczemnej, nie zauważył że w tymże kącie leżało ciele. Podczas snu, gdy trapiiony okropnemi złudzeniami, które opisaliśmy powyżej, Beniamin tulił się w kąt, więc osobą swoją przygniatał biednego cielaka coraz bardziej — a gdy nareszcie sądząc że wypowiada rabinowi najskrytsze zamiary co do swej wielkiej podróży, pochwyił ciele za nogi—cierpliwość głupiego zwierzęcia wyczerpała się... i wzamian za zwierzenia, Beniamin otrzymał silne uderzenie w nos kopytami.

Hałas jaki się zrobił przez przewrócenie wielkiej stągwi, plusk wody i krzyk Beniamina, obudził mieszkańców karczmy. Arendarz i Senderik przybiegli ze światłem—i ujrzeli wielkiego podróżnika nurzającego się w kałuży wody, przemokłego i wystraszonego... obok cielęcia.

Jaka szkoda że przy tym wypadku nie było jakiego poety!?



Gdyby poeta był przy katastrofie obecnym, zaśpiewałby niezawodnie: „O pełni miłości i słodyczy! i w kącie i w kałuży—pozostaliście zawsze nierozdzielni“! Niestety, w karczmie w Pijawkach nie nocował żaden poeta, tylko prozaiczny arendarz i Senderił. Mężowie ci wypchnęli ciełę za drzwi, do obory—a wielkiego podróżnika do alkierza, gdzie ułożyli go na kilku snopach słomy—i dali mu poduszkę pod głowę...

Na drugi dzień po tej „mikwie“ Beniamin uczuł się znacznie rzeświejszym, zimna kąpiel nadała członkom jego nieco świeżości. Wielki podróżnik, w przypadku jaki mu się w nocy przytrafił, widział wyraźny cud i poczytywał to sobie za dobrą wróżbę. Miał też z tego powodu przemowę do swego towarzysza, mniej więcej takiej treści:

— Widzisz, kochany Senderił, jak ludzie są źli i grzeszni, uskarżając się na różne przypadki i nieszczęścia, gdy tymczasem w nieszczęściu zadatek szczęścia się mieści. Albowiem Opatrzność wybiera na posłanników swoich rozmaite stworzenia, nawet bydłęta... Wszak w wypadku wczorajszym na moje cierpienie lekarzem było ciełę... Nie należy lekceważyć stworzeń, chociażby najdrobniejszych. W starych, starych czasach, nędzny komar przewiercał czaszkę „Tytusowi złemu“ (który zburzył Jerozolimę), a drobnem żądlekiem sprawiał mu ból okropny...

— Masz rację,—odrzekł Senderił, ten wypadek z wodą dobrym jest znakiem; pocytujemy sobie albowiem za szczęście, gdy nam przejdzie drogę nosiwoda z pełnem wiaderkiem, tu będzie większe szczęście, gdyż się cała stągiew na ciebie wylała!

Odпочąwszy przez dzień cały w karczmie, podróżni nasi puścili się w dalszą drogę. Przez długi czas szli milcząc i Beniamin dziwnie był zamysłony i smutny.

Nareszcie odezwał się z westchnieniem:

— Ach! Senderi! zapomniałem jednej bardzo ważnej rzeczy!

— Co zapomniałeś? — zapytał Senderi!, machinalnie chwytając się za torbę.

— W domu, Senderi!, w domu zapomniałem...

— Eh, Beniaminie! głupstwo! coś ty mógł zapomnieć? co tobie brakuje? Wszak, Bogu dzięki, mamy wszystko, co w podróży potrzebnem być może... Mamy torbę... ta!es i tefilim też mamy.. szabasowe kapoty także są... Czegóż chcesz więcej? co mogłeś jeszcze zapomnieć?...

— Zapomniałem odmówić pewnej modlitwy, która bardzo skutecznie strzeże ludzi podczas podróży, od wszelkich sztuczek djabelskich...

— Więc jeżeli chcesz, to możemy powrócić do domu i zmówić tę modlitwę...

— Zwaryowałeś, Senderi! straciłeś rozum!... Jakto? powracać do domu? Uszedłszy już taką ogromną przestrzeń, zwalczywszy tyle niebezpieczeństw, wracać?! a cóż świat powie na to? co świat powie, Senderi!!

— A cóż cię świat obchodzi? mój kochany. Czy świat kazał ci odbywać tę podróż? Czy zrobił z tobą kontrakt? czy dał ci zadatek?

— Pleciesz głupstwa! Czy świat robił z „Aleksandrem Mugden“ kontrakt i kazał mu iść do „hindye“, czy świat kazał sławnym podróżnikom żydowskim iść od miasta do miasta i odkrywać kraje nieznanne? A jednak szli i odkrywali...

— Albo ja wiem... po co oni szli? — rzekł Senderi! z uśmiechem—alboż ja wiem? Według mego zdania, zrobiłoby daleko lepiej gdyby siedzieli w domu, gdzie dobrze jest i ciepło... Oj! „nare!e, nare!e“ (oj! głupi, głupi) jesteś mój Aleksander Mugden! Masz w domu wszystkiego po same uszy, mógłbyś sobie siedzieć spokojnie, jeść, pić i klepać się

po brzuchu, zamiast jak waryat lecieć do „hindyel“ „Sidi doma, ne ruchajsia“ powiada chłopskie przysłowie, a przysłowie ludu znaczy tyle co „Gemara“ (talmud). Że zresztą Aleksander Mugden lata po hindyach, to jego fantazja, tak mu się podoba; — ale dziwniejsza rzecz, że nasze żydki, zamiast siedzieć spokojnie w domu i czytać talmud — latają tu i tam, tracąc zdrowie i życie i drą buty napróżno — to doprawdy dziwniejsza rzecz! Jak jestem żyd, Beniaminie, tak nie mogę sobie tego wytłómaczyć!

Tak samo w Donkiszocie, Sanszo niejednokrotnie rycerzowi swemu prawi nauki i dowodzi mu, że wszelkie awanturnicze włóczęgostwa są głupstwem wierutnem i że porządni rycerze nie opuszczają ognisk domowych...

Długi czas trwała sprzeczka. Senderił rzucał pytania, na które wielki podróżnik odpowiadał mnóstwem wymownych argumentów poczerpniętych ze swej kieszonkowej biblioteki. Senderił jednak uparcie trwał przy swoim i nieodrazu dał się przekonać. Zwycięstwo uczoności nad prostactwem nie przyszło łatwo...

W końcu jednakże, Senderił został pokonany.

— Jeżeli chcesz koniecznie — rzekł — żeby było tak, niech będzie tak!... cóż mnie to nareszcie obchodzi?

## V.

Przeszedłszy wiele dróg głównych i bocznych, nasi wędrowcy dotarli nareszcie do miasta Teteriwki.

Było to pierwsze większe miasto jakie w swoim życiu widzieli. Z niezmiernem podziwieniem też spoglądali na równe brukowane ulice, na domy wysokie i napatrzeć się tym dziwom nie mogli.

Po trotuarach szli ostrożnie, na palcach, z obawy żeby nie zrobić szkody i nie popsuć gładkich kamieni. Cóż dziwnego? całe życie chodzili tylko po błocie, a nawet w domach nie mieli podłogi.

Senderił trzymał się poły kapoty Beniamina i tak szli obadwaj, podrygując w sposób arcy-komiczny — nie mogąc się z nikim minąć jak należy.

Senderił wyprawiał prosto tańce z przechodniami idącymi z przeciwnej strony. Przechodzień zwraca na prawo i Senderił na prawo, przechodzień na lewo i ten na lewo; aż nareszcie trafił na jakiegoś jegomościa, który wcale nie miał ochoty do tańca i zepchnął biednego Senderiła w rynsztok tak, aż mu wszystkie zęby zadzwoniły...

Wszystko dla naszych wędrowców było nowem. Ruch powozów, dorożek, krzyk, rwetes. Zdawało im się, że

wszyscy ludzie na nich patrzą, że każdy ich wysmiewa, po kazuje palcami i mówi:—patrzcie, patrzcie! oto prowincjonalni żydzi! oto małomiasteczkowi kapcany!!

— Wiesz co Beniaminie — rzekł przestraszony Senderił, — wiesz co Beniaminie, mnie się zdaje że to miasto jest... Stambuł!

— Zkąd znów? głupczel gdzież to podobne do Stambułu!—i tu Beniamin zaczął opowiadać szeroko o Stambule, z takimi szczegółami, jak gdyby urodził się i wychował w tem mieście.—Ha! ha! Stambuł! czy ty wiesz jak wygląda Stambuł? Tam jest pięćset razy po pięćset ulic! a na każdej ulicy pięćset razy po pięćset, piętnasto, dwudziesto, a nawet trzydziesto-piętrowych domów, w każdym zaś domu mieszka pięćset razy po pięćset ludzi! Ty myślisz żeś już gotów, żeś przyszedł do Stambułu? poczekaj-no jeszcze kochanku!... Wymieniłem ci tylko główne ulice, a przedmieść! przedmieść masz tam jak piasku w morzu!

— Aj! aj! — rzekł Senderił zdumiony — to musi być bardzo straszno w takim ogromnem mieście?! Jaby się bał! Powiedz mi jednak Beniaminie i wytłómacz, jako człowiek uczony, zkąd się biorą takie wielkie miasta? Dlaczego ludzie gnieżdżą się jedni nad drugimi, jak gdyby ziemia była zamała? Musi przecież coś w tem być, że ludzie chcą się koniecznie wznosić ponad ziemię i przybliżać kn niebu, pnać się na coraz wyższe piętra. Może to dla tego, że dusza ludzka pochodzi z nieba? Ty, Beniaminie, jako bardzo mądry, mógłbyś mi wyjaśnić te wątpliwości, gdyż bezwątpienia musiałeś coś czytać o tem w twoich filozoficznych księgach....

Beniamin zamyślił się głęboko i rzekł po chwili:

— Logicznie i filozoficznie rzecz biorąc, były już w tym przedmiocie nader obszerne rozprawy; ja sam zabierałem głos w tej materji w „bejshamidraszu“ pod piecem,

skutkiem czego nawet wyjaśnioną została pewna niedokładność w wersyi o „dziesięciu garnkach niedoli“, które, według Talmudu, zesłane zostały na świat. Chcę cię jednak objaśnić co do twego pytania, na podstawie świętej naszej „Thory“. („Pięcioksiąg“ Mojżesza). Zapewne czytałeś w „humesz“ (biblia), że nasi przodkowie pierwiastkowo mieszkali pod namiotami, lecz przy „hafłoge“ (budowaniu wieży Babel) zaczęli się gromadzić na jednym miejscu, wyrabiać cegłę i budować miasto z murami wysokimi aż pod niebo. Wtenczas stało się pomieszanie języków, tak że jeden drugiego nie rozumiał wcale. Wówczas ludzie rozproszyli się po świecie i zaczęli żyć trochę porządniej, ale zawsze ten grzech „hafłoge“ (budowania wieży Babel) pozostał w ich naturze. Stoi w piśmie, jako Abraham powiedział do Lota:—Dla czego moi ludzie mają się bić z twoimi o marny kawałeczek ziemi? Cały świat przed tobą jest wolny, idź więc ztąd gdzie chcesz i daj mi spokój“. Z tych słów widzisz Senderił, jako ludzie...

— Na bok! na bok! łapserdaki! — krzyknął nadjeżdżający dorożkarz i przerwał uczony traktat Beniamina w najciekawszem miejscu. Senderił odskoczył i runął jak długi pod ścianą, Beniamin zaś z wielkiego impetu wpadł na żydówkę niosącą kosz jaj i tak nieszczęśliwie ugodził głową w ów kosz, że rozbił wszystkie jaja na miazgę i zawałał sobie myślącą fizyognomię żółtkami...

Zrobiło się całe piekło! pisk, wrzask, gwałt, przekleństwa!... Baby chciały pobić wielkiego podróżnika i podobno go nawet pobiły, a kto wie czyby mu się nie dostało lepiej, gdyby nie to że uciekł w jakąś boczną uliczkę, gdzie go dogonił wkrótce zadyszany Senderił.

— Otóż masz wielkie miasto!—rzekł Senderił, obcierając spoconą fizygnomię połą.—Nie idź, nie stań, nie odpocznij! Djabli wiedzą jak tu żyć?...

— To wszystko jest dalszym ciągiem grzechu budowania—rzekł poważnie Beniamin, sapiąc jak gęś—to wszystko co tu widzisz to grzech budowania i pomięszania języków, a co zatem idzie złodziejstwa, napaści, rozboje...

— Niech oni idą w ziemię! — zaklął energicznie Senderik.—Wiesz Beniaminie że wyglądasz strasznie, uspokój się trochę i umyj odrobinę, twarz ci się mocno czerwieni, a ta bezczelna przekupka, żeby djabeł wszedł w ojca tej szkaradnicy! (a ruach in der heufen taten arajnl) oblepiła ci całą brodę żółtkami!!

Teraz znowuż wprowadza nas Abramowicz do małej prywatnej bóżniczki (klojzel), w której członkowie nieustającej komisji „pod piecem“ zajmują się gorąco polityką europejską. Sceny w tym rozdziale skreślone są z przedziwnym humorem i obawiam się że w streszczeniu zatrze się wiele efektów, żaden z języków bowiem nie jest tak trudnym do przetłómaczenia jak żargon, gdyż posiada on swoje właściwości, niepodobne do naśladowania.

W jednej z bóżniczek w Teteriwce, powiada Abramowicz, gotowało się silnie z powodu dyskusji o wojnie krymskiej. Pod piecem utworzyły się różne partje, a każda miała swego prezydenta i swój „gang“ (metodę) w polityce.

Chajkiel „beł a mejach“ (dosłownie pan mózgu, sprytny) wraz ze swoją kompanią, silnie trzymał stronę „mume witten“ cioci Wikci, czyli królowej Wiktoryi. Wykładał on jak na talerzu rozmaite hipotezy co do jej przyszłości — bo też co prawda, łączyło go z Anglią pewne powinowactwo duchowe. Trzeba wiedzieć, że Chajkiel był to kawałek zegarmistrza i miał dziwne zdolności do mechaniki. Posiadał szczególnie lekką rękę do robienia deseni na macach, nikt tak jak on nie potrafił postawić „kuczki“, zrobić stolnicy do

„łokszyny“, łopaty, ławki mlecznej („milchegige bank), deški do zatykania pieca w szabas \*)...

Ilekroć była mowa o mechanice, lub szczególnych jakich maszynach, zawsze zwracano się do Chajkiela. — To już do niego należy, mówiono, on jest pod tym względem pierwszy znawca! I Chajkiel też opowiadał cuda o dzikich, niezwykłych angielskich maszynach („wilde mszune englisze maszines“) aż włosy powstawały na głowach słuchaczom, a jeśli mu kto przerwał pytaniem, na czym się jaka maszyna zasadza, i co w niej głównie działa? odpowiadał krótko i węzłowato, że są w niej „a sołche sprenzinkies“ (takie sprężynki) i uśmiechał się tryumfująco, jak gdyby rozwiązał jakieś najtrudniejsze zagadnienie... Za pomocą „sprenzinkies“ Chajkiel objaśniał tajemnice zegarów, telegrafu, tabakierek grających („a szpilpuszkele“) i innych cudów mechaniki.

Naturalnie, że taki wielki mechanik, trzymał z urzędu niejako, stronę Anglii, jako kraju w którym maszyny i „sprenzinkies“ w ogóle, stoją na bardzo wysokim stopniu rozwoju.

Zagorzałym przeciwnikiem Chajkiela był Icek Pasztan, prosty człowieczysko, który nie wierzył w żadne sprężynki i dopatrywał w nich herezyi.

— Pfe! pfe! Chajkiele—mówił zazwyczaj Icek,—całe twoje dowodzenia nic są niewarte. To poprostu błazeństwo! głupstwa!

Icek Pasztan w polityce trzymał znów stronę „mume rusje“ (ciotki Rosyi).

---

\*) „Czołenbretel“. Ponieważ żydom w szabas niewolno gotować, więc chcąc mieć na cały dzień ciepłe potrawy, umieszczają je w gorącym piecu chlebowym, którego otwór zatykają deską. Otóż właśnie w fabrykacji takich desek do zatykania pieca, celował wielki mechanik Chajkiel.



Każdy z tych dwóch przeciwników starał się przeciągnąć na swoją stronę resztę kompanii. I tak naprzykład, gdy Chajkiel wszedł do pewnego stopnia w przymierze ze Szmulkim Bokser, prezydentem partii trzymającej stronę „wujaszka Izmaela“ (Turcyi) i potrosze skombinował się z Berkiem Francuz, gorącym hassydem Napoleona; zaraz Icek Pasztan zrobił wielki harmider i przyciągnął do siebie „Tojwią Maka, stronnika polityki... Cyrusa. Poczty latały na wszystkie strony, każdy przedstawiał swoje racje i świat się przewracał do góry nogami, aż się bóżnica trzęsła...

W takich to gorących czasach, nasi podróżni przybyli do owej bóżniczki i w niej obrali sobie czasowe miejsce zamieszkania.

Senderił ze swoim zgodnym charakterem, ponieważ każdemu potakiwał i wogóle sprzeczek nie lubił, od pierwszego „szołem ałejchem“ podobał się każdemu. Mówiono zaraz o nim że to człowiek bez żółci i bez uporu. Gdy tak Senderił wkradł się w łaski wszystkich, Beniamin zbliżył się tylko do Szmulka Bokser, z którym się zaprzyjaźnił. Jemu przedewszystkiem opowiedział plan swojej wielkiej podróży, który się Szmulkowi bardzo a bardzo podobał. Szmulik opowiedział to sławnemu mechanikowi Chajkielowi, a ten, wzięwszy rzecz na bystry swój rozum, orzekł, że aczkolwiek jestto przedsięwzięcie trudne, jednak nie niemożliwe...

Zrobiono zaraz sesyę z Berkiem Francuzem i Tojwią Mak, którzy zostali tą nowiną niepomiernie zdziwieni.

— Beniamin, — orzekli zgodnie, — nie wygląda jak zwykły człowiek, często zamyśla się, nie odpowiada na pytania, postępuje jakoś dziwnie. Oczywiście jest on istotą niezwykłą, a zresztą, któż wie... czy ten Beniamin jest naprawdę Beniamin?

To jeszcze wielka, a wielka kwestya!!

Gdy po przygodzie z żydówką niosącą kosz jaj, Benjamin i Senderil weszli do „klojzel“ (bózniczka) zastali tam straszliwy harmider. Sesya tamtejszych polityków była niezmiernie burzliwa, a Icek Pasztan darł się na całe gardło, starając się przekrzyczyć obecnych.

— Patrzcie tylko, patrzcie! — wołał — co pisze nasz „Jejsef“ (zdaje się że to będzie Józef Żydowin), patrzcie co tu stoi! — wołał Icek wskazując palcem odpowiedni wiersz w książce... — „gdy Aleksander Mugden chciał pójść do „jenodow ben rejchow“, przyszedł do „gór ciemności“, ale tu stanął wraz z rycerzami swymi i już nie mógł posunąć się dalej, nogi ich albowiem zapadały w błoto aż po same kolana, ponieważ słońce nie przyświeca tam nigdy i przez to ziemia jest grzęzka i rozmokła“... Teraz zrozumiecie zapewne co ja mówię, że kiedy Aleksander Mugden, wielki Aleksander Mugden, który jeździł na orle i dotarł aż do drzwi raju („gan ejden“), nie mógł dać sobie rady z górami ciemności, cóż dopiero mówić o takich łapserdakach, jak wasz Benjamin i Senderil! Ha! ha! nie pomoże im nawet nasz mądry Chajkiel, „mit alle zajne sprenzinkies“!

— O ciemna głowo! o łbie zakuty! — wrzasnął Chajkiel, tykając Icka grubym palcem—gdzie ty masz oczy, nieuku? Zobacz-że, baranie, co tam stoi dalej w tej książce... patrz! czytaj! Oto co pisze Jejsef: „Stanąwszy pod „górami ciemności“, Aleksander Mugden słyszał w ich wnętrzu głos drobiu domowego i ptaków, które gadały po grecku i jeden ptak przemówił do bohatera temi słowy: Daremnym jest twój trud Aleksandrze, nie wejdiesz tutaj nigdy, albowiem to jest przybytek Boga i wiernych jego sług, synów Abrahama, Izaaka i Jakóba“... Rozumiesz-że teraz zakuta palko, dla czego Aleksander Mugden nie mógł tam wejść— a Benjamin może? Rozumiesz koźle uparty!

— Mój ty wielce rozumny człowiecze, czemu cię

przekonam że jesteś głupi?! Przypuśćmy nawet że Beniamin przejdzie po za „góry ciemności“ przypuśćmy że je nawet przeszedł, to jeszcze wypadnie mu szukać kraju, w którym mieszkają „czerwone żydki“. Niech go szuka! ha! ha! znajdzie go on „morgen, nachen kalten kugel“!... \*).

— Pfe! Icku! dalibóg pfe! głustwa pleciesz...

— Czeka-j-no, czeka-j mądralo... jest tam przecie jeszcze rzeka Sambaty! no, ciekawy jestem, jak on sobie poradzi z Sambaty! Przypuśćmy że już wszystko przeszedł— i pustynie i „góry ciemności“, że już jest nawet blisko dzieci Mojżesza... tymczasem staje nad brzegiem Sambaty i... ptru! stój! Kamienny deszcz pada aż huczy, zbliżyć się nie można... Na to już nie poradzi nawet twoja „witten“ (Wiktorya), chociażby stanęła, z całym przeproszeniem, głową na ziemi, a nogami do góry!

— He! he, kochanku, czepiasz się Wiktoryi—widzisz go gdzie on to zaszedł!

— Pfe! Icku, co to znowuż za „gang“ (metoda dyskusji). Czego się czepiasz królowej?—wtrącił ze złością Berek Francuz—wymyślaj na Beniamina, jeżeli chcesz, ale królowej nie zaczepiaj... bardzo cię proszę.

— Za co wymyślać na Beniamina? — krzyknął Toj-wie Mak. — On sobie idzie swoją drogą, nikomu nie przeszkadza, a w przyszłości może jeszcze położyć wielkie zasługi dla żydów.

— Oj, Mak! Mak!—rzekł Icek z wyrzutem, — żebym tak dobre życie miał, jak się tego po tobie nie spodziewałem Makuniu... Ty trzymasz także stronę Beniamina? Powiedz mi coś w nim takiego zobaczył?

— Czeka-j-no, czeka-j, proszę cię mój Icku, powiedz

---

\* ) Dosłownie: „jutro po zimnym kuglu“. Przysłowie to przypomina nasze „jak rak świśnie“.

lepiej coś ty sobie do Beniamina upatrzył? — wtrącił Szmulik Bokser, — co ty chcesz od tego człowieka? Doprawdy chybaś zwaryował, Icku! Przypatrz się tylko Beniaminowi, jego zaniedbanie, jego zamyślanie się, jego sposób mówienia, dowodzą jasno że to nie jest człowiek zwyczajny. Przecież fizyonomia jest najprawdziwszem zwierciadłem duszy. Spójrz na niego Icku, przypatrz mu się tylko...

Icek Pasztan zbliżył się do Beniamina, obejrzał go od stóp do głów, plunął i odszedł zagniewany.

Od tej pamiętnej chwili w polityce bóżnicznej zrobił się ogromny przewrót. Szmulik Bokser i Berek Francuz zawarli przymierze z Chajkielelem. „Mume Witten“ w tej chwili wysłała na morze „tojzend okrentes, mit szreklich wilde maszines“ (tysiąc okrętów ze straszniemi dzikimi maszynami). Szmulik Bokser przeprowił się przez Prut, a Napoleon i Berek Francuz zasypali cały Sewastopol „mit bombes“! (bombami). Jeden tylko Tojwie Mak, reprezentant polityki Cyrusa, stał jakby na rozdrożu i wahał się — nie należąc, do czasu, ani tu ani tam. Icek Pasztan został zupełnie odosobniony. Rzucał się, miotał, chciał jednać się z tym i owym, ale napróżno. Położenie nie do zazdrości, bo czyżto żart, gdy jeden Icek miał przeciw sobie całe „so-branje“!

Za to odosobnienie Icek mścił się na Beniaminie, który był mimowolną przyczyną tego gwałtownego przewrotu w polityce.

„Bóg moim świadkiem, pisze w pamiętnikach swoich Beniamin, że wcale a wcale nie mięszałem się do polityki, bo pytam do czego to prowadzi? a powtóre co z niej za pożytek dla żydów? Dla mnie czy tak jest w polityce, czy owak, to zupełnie wszystko jedno, i mój Senderił również się w takie interesa nie mięsza. Tymczasem Icek Pasztan nie dawał mi ani chwili pokoju, tak że nie miałem od niego,

jak to mówią, ani dnia, ani nocy. On obsypywał mnie piezrami, rzucał na mnie poduszką, czasem w nocy schował mi but, tak że nazajutrz o mało nie zwaryował szukając;— albo też kiedym mocno zasnął, puszczał mi w nos „a pompe“ (finfę), po której długo dusiłem się i kaszlałem... Ciężkie życie miałem od tego Icka, a Bóg mi świadkiem, że się wcale a wcale do polityki nie wtrącał...“

Większą część dnia nasi podróżni poświęcali na zdobywanie sobie środków do życia. Wizytowali z kolei wszystkie domy w Teteriwce i w krótkim czasie zjednali sobie taką popularność, że nie było „bachora“, któryby ich nie znał. Pokazywano ich palcami, witano dowcipkami, przymówkami różnemi i śmiechem.

Kto inny na ich miejscu, możeby wbił się w dumę i w pychę od takiego honoru—ale nasi podróżnicy byli to ludzie prości i nie robili sobie z tego wielkich rzeczy. Owacye jakie im czyniono przyjmowali z filozoficznym spokojem, Beniamin marzył wciąż o wyższych celach, a Senderił dbał tylko o to aby torba była pełna i ażeby w kieszeni znalazło się zawsze parę groszy, na jakieś gwałtowne a nieprzewidziane wydatki... Czy kto z uśmiechem dawał, czy z niechęcią, to było im wszystko jedno: byle tylko dał!

„Hajnt is purym, morgen is ojs

„Gib mir a groszen, un trajb mich arojs“ \*).

Oto znana żydowska piosneczka, malująca dokładnie obyczaj chodzenia po domach i zebrania. Senderił, chodząc od domu do domu, często ją sobie przyśpiewywał półgłosem...

— „Git morgen, Gott helf“ (dzień dobry, Boże dopomóż)—mawiał zwykle Senderił wchodząc do stancy i wciąż

---

\* ) Dzisiaj jest Purym —jutro także jest; daj mi grosz i wyrzuć mnie za drzwi

gając Beniamina za połę od kapoty, poczem wysuwał wielkiego podróżnika na plan pierwszy, a sam stawał z uszanowaniem na boku...

Wędrując w ten sposób od domu do domu, pewnego razu nasi podróżnicy weszli do izby, w której zastali gospodarza, zajętego żywą dysputą z jakimś młodym człowiekiem.

Gospodarz kręcił się niecierpliwie, jak gdyby pragnął jak najprędzej pozbyć się swego gościa, młody człowiek zaś, z zapalem i energiczną gestykulacją, starał się gospodarza przekonać, pokazywał mu jakieś papiery i coś mu proponował...

Zobaczywszy Beniamina i Senderiła, gospodarz uczepił się ich rozpaczliwie, jak człowiek tonący czepia się słomki.

Zbliżył się do nich szybko, w przekonaniu, że przyszli do niego z jakimś ważnym interesem i że uwolnią go tym sposobem od towarzystwa gościa, widocznie niezbyt przyjemnego. Usłyszawszy jednak o co naszym podróżnym chodzi, gospodarz się strapił i rzekł z nieukontentowaniem do młodego człowieka:

— Otóż masz! to są także podróżni!! Ci żydzi, widzisz pan, także przedsięwzięli podróż! Widocznie już taki czas, żeby nam sami podróżnicy na głowę spadali!

Młody człowiek i nasi wędrowcy spoglądali na siebie wzajemnie, z pewnem niedowierzaniem.

— Słyszysz Beniamin—rzekł Senderił cicho, ciągnąc uczonego towarzysza za połę—być może że ten młody człowiek wędruje również tam... Może nas jeszcze, broń Boże, wyprzedzić i potem oszukać nas po turecku...

— Być może, że wszyscy trzej należycie do jednej kompanii? — zapytał dalej gospodarz.

— Broń Boże! broń Boże! — zawołali razem Beniamin i Senderił,—my idziemy sobie zupełnie oddzielnie!

— Idźcie wy sobie zdrowi oddzielnie — rzekł gospodarz,—ale dla mnie jesteście jedna kompania.

To mówiąc wydobył monetę z kieszeni.

— Nam! nam!—wołał Senderił—nam proszę dać, my wydzielimy młodemu człowiekowi należną mu częśćkę... Chodź młodzieńcze, dostaniesz! mamy, Bogu dzięki, trochę drobnych.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi od kuchni i dał się słyszeć głos straszny i dziki:

— To on! to on! to ten sam rozbójnik, który stoi przy tym drugim żydzie! To on! i wtenczas wlekli się oba razem, gałgany! Poznają tę słiczną gębę, z żółtą bródką, żeby mu ją co do włosa wyrwali! żeby go djabli żywcem wzięli ze świata! żeby się mordował! żeby się tarzał po ziemi! żeby mu szpik wyłaził po kropli z jego trefnych kości! \*).

---

\*) Przekleństwa żydowskie są rzeczywiście straszne i pełne piekielnych conceptów. W miotaniu ich celuje przedewszystkiem pleć piękna, a zwłaszcza ta jej część, która zasiada za straganami i w kramach. Wobec przekleństw miotanych przez przekupki żydowskie, wszelkie „pomsty i nagłe śmierci“, przywoływane przez nasze „panie Maciejowe“ ze Starego Miasta, są zaledwie delikatnymi przymówkami.

Najgorszem wszakże i najbardziej krzywdzącem jest przekleństwo zwrócone nie do żyjącego człowieka, lecz do jego przodków nieżyjących; wpędzanie djabła w „taten, taten, taten“, w ojca-ojca-ojca przeklinanego. Im więcej razy wymówić to nieszczęsne „taten“ lub „mamen“ tem gorsza, bo odleglejszego pokolenia sięgająca, krzywda. Przekleństwo rzeczone nabiera tem większej wagi, że żydzi mają wielką cześć dla zmarłych. Syn za zmarłego ojca odmawia specjalną modlitwę („a kadisz“) w rocznicę śmierci zapalają światło, cmentarz nazywany przez

— Chodź Beniaminie ztąd, chodź prędzej!—rzekł Senderił zatykając uszy. — Uciekajmy ztąd, niech djabeł wejdzie w ojca-ojca-ojca tej bezecnicy, która dotychczas nie może zapomnieć owych stłuczonych jaj.

---

---

nich „domem wiecznym“ (bejs ejłom) jest miejscem szanowanem i czczonem. Wobec tego przekleństwo zwrócone do zmarłych, jest najcięższem przekleństwem jakie można rzucić żydowi.

W przystępie złości jednak, nie żałują go sobie nawzajem.



## VI.

Och! och! Płakać, wzdychać i jęczyć należy, czytając opisy o wielkich, sławnych, uczonych ludziach, którzy poświęcili dla drugich całe swoje życie, którzy dla świata właśnie zrobili ofiarę z dni swoich i lat—i uszczęśliwili ludzkość pożytecznymi rzeczami, do których doszli siłą swego rozumu.

Świat, z natury swej jest głupi, i podobny do dziecka, które żyje szczęśliwie i wesoło, trzymając się fartucha swej matki i nie odchodząc od niej ani na krok. Za całą naukę starczą mu bajki, które niańki, lub babki stare opowiadają mu, powtarzając toż samo sto razy na dzień. W tem świat, jak małe dziecko, widzi najwyższą mądrość i naukę i innej nie chce znać. Kiedy zaś „belfer“ przychodzi go zabrać do „chederu“ \*) ażeby go czegoś nauczyć, drze się, wrzeszczy „gwałt“! jak gdyby zarzynać go chcieli... Świat lubi tak żyć jak przed tysiącem lat, wszystko co nowe wydaje mu się

---

\*) „Belfer“ z niemieckiego „behelfer“, pomocnik „małamedy“, czyli nauczyciela. „Cheder“ (dosłownie izba, stancya) jest to szkółka, do której każdy żydziak już od piątego roku życia uczęszczać musi.

dziwnem, dzikiem; więc też nowością poniewiera, bezczęści, z błotem mięsza.

Taki to zwykle bywa los wielkich ludzi, którzy świat wprowadzają na nowe tory. Dopiero później, później, gdy już wielkie dzieło dojrzeje, gdy przynosi obfite owoce, przypomina sobie ludzkość o wielkim wynalazcy i stawia mu wtenczas pomniki!

Oto naprzykład dzisiaj; miliony ludzi żyje swobodnie w Ameryce, w szczęściu, spokoju, w dobrych interesach— a wielki Kolumbus, który Amerykę odkrył, za życia był prześladowany przez ludzi, uważany prawie za waryata.

Podobny los stał się także udziałem naszego wielkiego Beniamina z Tuniejadówki. Patrząc na niego, każdy myślał że ma do czynienia z waryatem, a słuchając tego co mówił, ludzie ledwie mogli powstrzymać się od śmiechu. Pozwalano sobie niesmacznych żartów względem niego. Gdyby Beniamin miał inne usposobienie, rozgniewałby się na głupotę ludzką i plunął na całą tę podróż, która jak dotychczas, same mu tylko przyczyniała przykrości.

Robimy w tem miejscu przeskok i opuszczamy mnóstwo figlów i żartów, które Beniaminowi czyniono—nie chcielibyśmy albowiem rzucać na nasze społeczeństwo szpetnej plamy, za którą nawet przyszłe pokolenia musiałyby się rumienić.

Nie chcemy nawet wiedzieć o tych niesmacznych wybrykach; zapuszczamy na nie zasłonę i staramy się nawiązać na nowo przerwany wątek opowiadania.

„W Teteriwce, pisze w swoich foliantach Beniamin, jest wielkie zgromadzenie żydów (oby się szczęśliwie mnożyli i rośli!). Zkąd się oni wzięli? jakiego są pochodzenia? jaki był ich początek? na to żaden z mieszkańców Teteriwki, choćby „pod chajrem“ spytany odpowiedzieć nie potrafi. Mają oni tylko w tradycyi od ojców swoich, dziadków i pra-

dziadków przekazane jako pochodzą z żydów. Rzeczywiście sądząc z ich zwyczajów, ubioru, języka, handlu i geszeftów, zdają się oni być istotnie żydami. Trzeba przypuszczać jednak że muszą być rozdrobnionemi, oderwanemi szczątkami z wielu rozmaitych pokoleń, gdyż nie masz pomiędzy nimi żadnej spójni, żadnej łączności... Może naprzykład jeden z nich upaść na ulicy, zachorować, nagle umrzeć, a żaden się do niego nie ruszy...

Znają się oni trochę na języku cygańskim, wierzą w zamawiania, wróżby z ręki i poniekąd sami się tem trudnią.

Bądź co bądź, powiada dalej łagodny w swych sądach Beniamin, są to uczciwi ludzie, porządny naród. Przyjmowali mnie zawsze z uśmiechem i znajdowali dziwną przyjemność w rozmawianiu ze mną, byłem też z nich zupełnie kontent i życzę im z całego serca, aby i Bóg i ludzie byli z nich równie jak ja zadowoleni. Amen“.

Dziwna nowość! powiada dalej Beniamin, że w okolicy można spotkać osoby, które są „a bisel chazirewate“ (podobne do mieszkańców chlewa), poznać je zaraz można na pierwszy rzut oka.

Pewna część uczonych twierdzi, że taka już jest uroda tych ludzi, inni zaś przypisują to wpływom klimatu. Beniamin nie chce wyjawić osobistego swego zdania w tym względzie i pozostawia rozstrzygnięcie sporu uczonym. Ci powinni rzecz stanowczo wyjaśnić i powiedzieć co mamy myśleć o tem.

Tak czy owak, mówi Beniamin, fakt jest i fakt niejedyny w swoim rodzaju, jeszcze albowiem stary „Matias Delikarte“, het, het! w bardzo dawnych czasach, podaje w swojej księdze „Ceł-Ejłom“ taki opis: „W Brytanii jest naród mający ogony z tyłu jak bydło, są tam także kobiety wielkie, wysokie jak olbrzymy—i porośnięte szczecina jak

wieprze... We Francyi znajduje się naród z rogami; na górach tamtych zaś gnieźdzą się krzywe kobiety, a im która z nich krzywsza, tem piękniejsza“.

Zupełnie to samo spotykamy w dzisiejszych czasach, wiele kobiet przyprawia sobie garb znacznie niżej niż to bywa u ludzi ułomnych z natury, lub też nosi szkaradne ogony, które się wloką po ziemi.

Słusznie też powiada mądrość pisma „że wszystko co jest, to już było—i że nie masz nic nowego pod słońcem“.

Teteriwka na pierwszy rzut oka robi dobre wrażenie, wydaje się miastem wielkiem i pięknie zabudowanym. Gdy ktoś wjeżdża do tego miasta po raz pierwszy, zdaje mu się że tam jest ruch, że życie wre i kipi. Przypatrzwszy się jednak bliżej, można się przekonać że to jest nic innego, jak Tuniejadówka, tylko trochę większa.

Mieszkańcy tego miasta jedzą, kładą się spać i znów jedzą—i czynią to w ściśle oznaczonych godzinach. Od śniadania czekają do obiadu, od obiadu do kolacyi i znów do śniadania i w taki sposób upływa im życie. Śniadanie, obiad i kolacya, są to niby karczmy na drodze ich życia, karczmy, do których nieustannie zdążają na popas i wytchnienie po nieustannem próżnowaniu.

Patrząc się na życie tych ludzi można przypuszczać, że samo już powietrze Teteriwki usposabia do lenistwa i ospałości.

Gdy wśród mieszkańców Teteriwki znajdzie się człowiek z energią, z inicjatywą i z chęcią do pracy, do zrobienia czegoś... bardzo prędko zleniwieje, zgnuśnieje i ze wszystkich dobrych chęci pozostanie w nim tylko chęć... do jedzenia i spania.

Beniamin widział w Teteriwce stancje prowincjonalnych „zborniczaków“ i plenipotentów miasteczkowych. Ci

wyjeżdżając z domu okazywali więcej kurażu i energii aniżeli było potrzeba.

— Jechać! jechać koniecznie! — krzyczeli oni do naczelników kahału—my tam wszystko zrobimy jak należy, tylko dajcie nam pieniędzy na drogę.

Dano im pieniędzy—a oni, przyjechawszy do Teteriwki, ciągle jedli i spali, a jedyną ich czynnością było pisywanie od czasu do czasu listów do rodzinnego miasteczka, z żądaniem aby im jeszcze pieniędzy przysłano.

Gdzież się podziała ta świeżość, ta chęć, ta energia? Zniknęła. Delegaci i plenipotenci śpią tylko snem sprawiedliwych, a budzą się po to jedynie żeby jeść.

Siedzieliby tak do końca świata, a przynajmniej do końca swego życia—gdyby tylko mocodawcy zechcieli przysłać pieniądze.

Wszyscy tu śpią jak zaczarowani królewieta w bajce, śpią, śpią i śpią...

Beniaminowi przyszła, bardzo naturalna zresztą, myśl zapoznania się ze sławnymi uczonymi i autorami z Teteriwki. W tych rzeczach przecież Beniamin był znawcą. Uważał się za filozofa, umiał czytać choćby najdrobniejsze literki i miał wyobrażenie o książkach, w których mieści się filozofia żydowska. Tacy mężowie mogli ocenić jego erudycję, jego znajomość siedmiu mądrości świata, bo i któż mógł lepiej zgłębić rzecz taką, jak ów właśnie gatunek ludzi? Prócz tego pragnął Beniamin zasięgnąć światłej rady uczonych, co do zamierzonej podróży. Ludzie tego kalibru powinni się poznać przecież na wartości śmiałego przedsięwzięcia, mądrymi radami i wskazówkami dopomóc do jego wykonania. Przytem spodziewał się Beniamin że otrzyma od nich świadectwo z odbytej dysputy (haskomejs), z którym będzie mógł pokazać się między ludźmi, jako mąż, którego uczoność przeszła już próbę ogniovą...

Naturalnie, do takiej rzeczy uczeni zerwą się galopem, galopem jak konie... gdy jednak Beniamin przyszedł do którego z nich, nie mógł się nigdy porozumieć. To uczony śpi—to je—to znów po jedzeniu odpoczywa.

Pewnego razu jednak udało się Beniaminowi złapać takiego mistrza. Był to „a wiłder szrajber“ (dziki pisarz) „a berimte berie“! (sławna osoba). Siedział on sobie na kanapie, w osobnym pokoju i ziewał.

— Git morgen (dzień dobry) — rzekł wchodząc Beniamin.

— Git jor (dobrego roku) — odrzekł uczony, — a co chcesz żydku?

— Et... nic, tak przyszedłem, porozmawiać trochę o tem, o owem...

Osoba zaczęła przeciągać się i ziewać.

Beniamin ożywił się, zaczął mówić jak mógł i jak umiał, lecz wszystko napróżno, albowiem uczony był wciąż zimny jak lód i nic a nic nie zapalał się do dyskusji.

Przez chwilę tylko w źrenicach mędrca błysnął jakiś żywszy blask, przez jedną chwilę...

— Dajcie mi obiad! — zawołał on wówczas — dajcie obiad, gdyż zjadłszy położę się trochę spać...

Krótko mówiąc, Teteriwka, jest to jedna wielka sypialnia. Śpi w niej wszystko: i handel i kredyt i procesa i wszelkiego rodzaju geszefta... śpi, śpi, jak zabite.

Sam Beniamin, będąc jakiś czas w Teteriwce, czuwać zaczął dziwną senność—i chęć odbycia wielkiej podróży znacznie w nim osłabła. Stał on się podobnym do wielkiego okrętu, stojącego nieruchomo podczas ciszy morskiej, i Bóg wie jak długo stałby tak beczynnym, gdyby nie wypadek pewien, który pchnął naszego wędrowca w dalszą drogę, z siłą uraganu...

Nienawiść jaką Icek Pasztan żywił do Beniamina

wzrastała z każdym dniem. W ostatnich czasach szczególnie, Icek przyczepił się do wielkiego podróżnika jak pijawka, a niedość na tem że mu sam osobiście dokuczał, namówił jeszcze łobuzów miejskich, którzy spotkawszy Beniamina rzucali na niego kamieniami i krzyczeli: — Pipernoter! Lindenworim! Sambatyall

Pewnego wieczoru, Beniamin ze swym wiernym towarzyszem, prześladowani przez uliczników, uciekli w ustronną uliczkę i znaleźli się nad wąską kładką rzuconą przez rów. Na samym środku kładki, oko w oko, spotkali się z uczonym rebe Ajzyk Dowid reb Aron Jejselis Sore Zlates z Tuniejadówki!

— Szolem ałejchem, Beniamin — rzekł Ajzyk Dowid ze złośliwym uśmiechem — takie szczęśliwe spotkanie! tem bardziej że upragnione...

— „Szolem ałejchem, ałejchem szolem“ reb Ajzyk Dowid—odpowiedział Beniamin nie swoim głosem.

— Śliczni ludzie, śliczni z was ludzie!— mówił uczony z przekąsem,—odjeżdżają sobie z domu bez żadnego powodu, bez przyczyny... ot, tak sobie! Za co? po co? czyż ja wiem? ot, poprostu tak sobie! Przecież musi w tem być jakaś metoda... jakaś przyczyna naturalna!? Co to jest opuścić swoje żony? dzieci? co to jest? alboż ja wiem? przeciwnie, odłożywszy wszystko na stronę, pytam się co wy tu robicie? Szczególniej zaś ciebie o to pytam Senderik, gdyż widzę cię, chociaż starasz się ukryć za kapotę Beniamina. Twoja małżonka, mój kochany, potrafi się z tobą rozmówić, ona cię posieka na kawałeczki, jak śledzia!

— Ha! on jest tutaj!—wrzasnęła żydówka z po za pleców rebe Ajzyka Dowida—on jest tu!? Dawajcie mi go prędzej, tego łobuza!

Po głosie Senderik poznał swoją najmilszą żoneczkę i twarz jego pobladła natychmiast ze strachu, jak ściana.

Schwycił się obudwoma rękami poły kapoty Beniamina aby nie spaść z kładki, gdyż uczuł że dostaje zawrotu głowy z przerażenia...

— Chodź-no tu duszo! chodź bliżej piękna duszyczko! żebyście obadwaj zmarnieli! żeby wam wyszło na „kapores“! chodź-że! chodź, żeby twoje imię zginęło!... Puście-no mnie do tego gałgana! puście mnie! już ja będę wiedziała co mam z nim zrobić? ja mu pokażę jakiego Boga my mamy!

— Bardzo cię proszę, kobieto, bez krzyku! bez złości!— rzekł poważnie uczony rebe Ajzyk Dowid reb Aron Jejselis Sore Złates—bez krzyku! bez gwałtu... Jeszcze mamy czas, możemy tę rzecz roztrząsać wszechstronnie. Poczekaj-że trochę, kobieto, nie unos się tak! „Aguną“ (opuszczoną przez męża) już, Bogu dzięki, nie jesteś, gdyż Senderił znalazł się i jest w naszej mocy. Teraz pomówmy dalej o tym interesie. Aj, aj, tylko nie krzyczyć, nie robić hałasów! pfe! Bądź co bądź, żydówka zawsze jest tylko żydówką... więc powtarzam jeszcze raz pytanie: po co krzyk? na co ten krzyk? co komu przyjdzie z krzyczenia?

Rebe Ajzyk Dowid chciał kwestyę zbadać do gruntu i omówić ją należycie; przedstawić całą rzecz tak i odwrotnie i jeszcze raz naodwrot, dodać do niej, jak to mówią, pieprzu i cebuli, jednym słowem, rozstrząsać ją w sposób godny wielkiego filozofa i myśliciela z Tuniejadówki.

Tymczasem z obu stron kładki, gromadzić się zaczęli ludzie, chcący przejść na drugi brzeg rowu. Ludzie ci objawiali głośno swe niezadowolenie, z powodu że bohaterowie nasi obrali sobie sam środek kładki za miejsce do dysputy i zatamowali zupełnie jedyną drogę przechodniom, gdyż kładka była tak wąską, że dwie osoby w żaden sposób minąć się na niej nie mogły.

Z tego powodu, wobec wzmagającego się niezadowolenia publiczności, dysputa została przerwana. Rebe Ajzyk



Dowid z małżonką Senderiła cofnęli się na jeden brzeg rowu, nasi zaś podróżni, przerażeni i drżący, na drugi. Tymczasem ci, którzy oczekiwali wolnego przejścia, rzucili się na kładkę i rozdzielili obie walczące strony.

— Proszę cię, Senderił—rzekł Beniamin— dla czego my tu stoimy? Na co mamy czekać? Korzystajmy z czasu, Senderił, gdyż co nas tu czeka dobrego?

— Jak żydem jestem, Beniaminie, powiedziałaś naj-mądrzejsze słowo. To prawda! na co my tu mamy czekać?—zawołał Senderił radośnie, jak więzień w chwili oswobodzenia.—Prędzej! prędzej Beniaminie! zmykajmy!!

Nasi podróżnicy puścili się co tchu, wpadli do bóżniczki po swoje tłumoki—i w kilka minut później opuścili piękną Teteriwkę.

---

## VI.

— Hetta! wio! wio!—wołał furman, siedzący na wielkim wasągu i rozdzielił dyszlem dwie kobiety, które na samym środku ulicy oddawały się miłej konwersacyi.

Działo się to na ulicy najbardziej ruchliwej i ożywionej. Rozmawiające z sobą kobiety, trzymały w rękach koszyki pełne prowizyi: było w nich mięso, czarna rzodkiew, czosnek, cebula i tym podobne prowianty. Obie przyjaciołki, wrzeszcząc na cały głos, powierzały sobie nawzajem najskrytsze tajemnice swych serc, tak szczerze, że rozmowę ich z odległości mili można było słyszeć. Gdy wóz nadjechał i rozdzielił je forsownie, uciekła każda na inną stronę ulicy i rozmawiały z sobą dalej z przeciwnych trotuarów, nie zważając na przejeżdżające fury, dorożki, bryczki.

— Chasie Bajle!—wrzeszczała jedna — a pamiętaj-że przyjsć tam dziś przed wieczorem, do „kartenworferin“ (kobiety wróżącej z kart), i mój tam będzie... Widziałam się także z twoim (domyślać się należy kawalerem) i on przyjdzie... prosił mnie żebym ci o tem powiedziała... Oj, będzie tam wesoło, żebym tak szczęście miała! Przyjdz, przyjdz głupia! zobaczysz że ucieszysz się i zabawisz... No, Chasie Bajle, jak myślisz? przyjdiesz?

— Moja gospodyni (żeby się ona spaliła!) chce mnie dziś poczęstować rozcynianiem chleba... jednak chciałabym się wyrwać i przyjść. Tylko proszę cię, moja droga— wrzeszczała na cały głos Chasia Bajła — niech to będzie w największym sekrecie, nie mów tego nikomu—nikomu!

— Czekał-no, czekał jeszcze Chasie Bajło. Djabeł nie weźmie twojej gospodyni, jeśli dasz jej obiad o godzinę później niż zwykle... Chce się obżerać! niech poczeka trochę... Ale, ale, zapomniałam ci powiedzieć, po jakiemu ty mąkę wysiewasz? mączarka skarżyła się że jej najgorsze wysiewki sprzedajesz... Wiele ci się dzisiaj zostało od sprawunków?

— Szajgec! szajgec! łapajcie szajgeca! Co to za moda hapać komu z ręki? (żeby cię hapnęło, gałganiel).

— Co się stało, Chasie Bajło, czego tak krzyczysz?

— Złodziej był, o mały włos nie ukradł mi całego koszyka ze sprawunkami! Szczęście że się w porę spostrzegła.

— Patrz-no, patrz! co tam tak ludzie lecą? co się stało? czy się znów pali? to już dziś drugi pożar! do nocy będzie się jeszcze kilka razy paliło!

— Nie słysząc żeby dzwonili, a jak się pali to przecież dzwonią zwykle.

— Szał! szal! czekaj, idzie faktorka, ona wszystko wie, ja jej się zapytam! Syme Dwosiel! Syme Dwosiel! po co ludzie biegną w tamtą stronę?

— Oj, nie wiem sama, żebym tak smutku nie miała, jak nie wiem. Może tamta wie, spytajcie jej. Co tam za zbiegowisko Name Gise? co tam jest serce? Twoje kaczkę tak krzyczą, że nic nie można rozumieć. Moszkowa dziś zaśląbla... pewnie ona kupi od ciebie te kaczki. Może masz także i kury? Oj, te kaczki twoje to bardzo tłuste kaczki,

Jaj dziś nie można się było dokupić... ale co tam za hałas?... co za zbiegowisko tam jest?

— Albo ja wiem? jakieś „czerwone żydki“ podobno... słyszałam jak krzyczeli „czerwone żydki“, „czerwone żydki“!

— Co? co? czerwone żydki przyjechali?! aj-aj-aj! trzeba lecieć zobaczyć dziwo!

— Dziwo! dziwo!—krzyczały różnemi głosy żydówki i „hendum pendum“ jak stado gęsi, pobiegły gromadnie w tę stronę gdzie się zebrał tłum ludzi...

— Hura „Pipernoter“! hura „Lindeworim“! hura a rojte judełach! (czerwone żydki) — krzyczeli ulicznicy w tłumie.

„Czerwoni żydkowie“, którym ulicznicy czynili taką owacyę, byli to dobrzy nasi znajomi, wielcy podróżnicy z Tuniejadówki, Beniamin i Senderił. Działo się to w niedługim czasie po pamiętnym wypadku na kładce.. Postanowiwszy wówczas opuścić Teteriwkę, Beniamin ze swym przyjacielem i nieodstępnym giermkim, pędzili wprost przed siebie, co tchu, aż dotarli nareszcie do miasta Głupska.

Wejście podróżnych do Głupska odbyło się wśród bardzo szczęśliwych okoliczności—należy albowiem wiedzieć że w mieście tem mieszkały dwie stare i bardzo nabożne żydówki, Tołce i Trejne, czyste dusze... Te niewiasty, co piątek przed szabasem, ustroiwszy się w odświętne „jupe i „szterentichel“ \*) wychodziły kawałek drogi za miasto

\*) „Jupe“ jestto paradna, zwykle jedwabna spódnica, noszona tylko w święta, lub w uroczystych chwilach życia. „Szterentichel“ przepaska noszona na czole przez kobiety zamężne, które w konserwatywnej sierze żydowskiej gołą sodie włosy na głowie. Dziś ten strój wychodzi już z mody i ustępuje miejsca perukom i kapeluszm. Dawniej „szterentichel“ bywały bardzo ozdobne, naszywane perłami i kamieniami drogiemi. Podobne egzemplarze można jeszcze spotkać w miasteczkach prowincjonalnych.

w nadziei że może spotkają Messyasa. Otóż pewnego przedszabasowego wieczoru, dwie owe zacne kobiety, wystrojone w racimory i atłasy, wyszedłszy jak zwykle za miasto, miały szczęście spotkać i powitać naszych znakomitych wędrowców, przy rogatce.

Zaraz po pierwszym spotkaniu, obie „jupy“ dowiedziały się o celu podróży Beniamina. Niepotrzeba dodawać że były jakby w zachwyceniu i że spotkanie takich dwóch mężów uważały za nader szczęśliwy wypadek.

Patrzyły z podziwem na odważnych wędrowców, kiwały, głowami i trącając się nawzajem, szeptały do siebie:

— Nu... Tołce?

— Nu! Trejne?

W tych krótkich wykrzyknikach mieścił się najwyższy zachwyt, gdyż nabożne niewiasty zmiarkowały zaraz, że nie mają przed sobą zwyczajnych ludzi..

Tołce i Trejne zajęły się natychmiast reperacją garderoby znakomitych wędrowców, garderoby i bielizny, która pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Oddając się tej pracy, obie zacne i nabożne żydówki były szczęśliwe, nad wszelki wyraz szczęśliwe, akurat jak oblubienice przed ślubem...

Jednem słowem w Głupsku podróżni nasi zostali zrozumiani i ocenieni jak należy. Istotnie! takich ludzi w Głupsku tylko szanować umieją i zdołają poznać się na cennej ich wartości.

Do Głupska więc, do Głupska spieszcie dzieci żydowskie! Do Głupska „cy alde szwarce joren“! Tam albowiem znajdziecie równych sobie, tam znajdziecie swoje Tołce, Trejne i tysiące godnych ludzi, rzetelnych żydów, czyste dusze! Tam będziecie mogli rosnąć, tam możecie być czczeni i szanowani, tam znajdziecie honor i poważanie u ludzi!

Do Głupska więc żydzi! do Głupska!

Po tej apostrofie, Abramowicz przystępuje do dalszego ciągu narracji i powołuje się na pamiętniki Beniamina.

Skoro się wchodzi do Głupska, przez „Teteriwker-gass“, trzeba się pofatygować i przeskoczyć jedno błoto... nieco dalej zaś przez drugie i jeszcze dalej przez trzecie, największe, do którego wpada wiele rynsztoków. Codziennie rynsztoki te mają inną powierzchność, kolor i z przeproszeniem, zapach.

Jeżeli dostrzeżecie w nich piasek, którym szorują podłogi, rybie łuski, kurze głowy, ogonki od śledzi, możecie wiedzieć napewno że w Głupsku jest piątek, że gospodynie oprzątnęły nieco brudne izby i przygotowały szabasową kolację.

Każdy dzień nadaje tym kałużom inną powierzchność, tak że można zgadnąć kiedy jest poniedziałek, wtorek etc.

Szczegółowy opis owych rynsztoczków pomijam, chcąc oszczędzić czytelnikom niezbyt estetycznych wrażeń. Dla ścisłości sprawozdawczej, muszę wszakże nadmienić, że skreślony on jest z realizmem niezmiernym. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać tak dokładnej fotografii... błota.

Lecz zagłębmy się dalej w uliczki wielce sławetnego miasta Głupska—i zanotujmy jego pomniki historyczne uwiecznione w rękopiśmie wielkiego Beniamina.

Kiedy już przejdziecie panowie wszystkie błota szczęśliwie, znajdziecie się niebawem na „śmięciowej górze“, znajdującej się w miejscu, na którym ongi stało jakieś domostwo. Zazwyczaj na tej górze stoi krowa, poważna jak wędrowny „magid“ (kaznodzieja), przeżuwa ona obojętnie, spokojnie, rusza głową i patrzy głupowato na cały światek żydowski, który u stóp górci biega i kręci się, z laskami i parasolami w rękach. Krowa żuje, sapi i stęka, niewiadomo

nad czym, czy nad owym świątkiem żydowskim? czy też nad własną niedolą, nad tem że się w żydowskie ręce dostała?

Przeszedłszy przez tę górkę, pójdziecie dalej, prosto, prosto... prosto, ciągle prosto i jeżeli (niech was Bóg strzeże) nie upadniecie na ostrych kamieniach, które w obfitości tu leżą, to idźcie dalej, dalej (jeżeli nie połamiecie nóg, chowaj Boże), idźcie wciąż dalej, dopóki nie traficie na plac. Tu na tym placu znajdziecie całą kwintessencję miasta Głupska—i jeżeli można powiedzieć o „Teteriwker gass“ że jest żołądkiem miasta, to co do owego placu należy przyznać że jest sercem Głupska. Tu drga i pulsuje wszystko, tu jest główne ognisko życia. Tu znajdują się klety, kletki i szafki z towarami—i znane kletki do sprzedaży rzeczy kradzionych („ganewo szafkelech“). Tu rzemieślnicy sprzedają różne resztki, kawałki materyi, tasiem, wstążek, aksamitu, oraz kawałki futra. Tu gotuje się, kipi i wre przez dzień cały, tu w żydowskie plecy uderza dyszel telegi, lub bryczki...

Doktorzy utrzymują, że w każdym żydzie z miasta Głupska tkwi kawałek dyszla. Wszakże twierdzeniu głupskich lekarzy nie można przypisywać wielkiej wagi, autoritet ich nie ustalony jeszcze jest tutaj, szanowna publiczność albowiem wierzy więcej w felczerów, którzy grają tu rolę wielkich powag medycznych...

Tutaj to na rynku, w samem sercu Głupska, rozlegają się głosy: „Hajse babkes“! (gorące babki), „hajse reczennikies“! (gorące placki greczane), czosnek, cebula! Tu wieczorem, gdy mrok już zapadnie, gromady żydów modlą się, witając nowy księżyc i do każdego z przechodniów krzyczą „szołem alejchem“! Tu stają tragarze, opasani grubemi postronkami i czekają na robotę, tu tłoczą się dymisyonowani żołnierze chcąc sprzedać stare mundury i podarte szyniele, tu kręcą się tandeciarze częstując przechodniów zni-

szczoną, ale tanią garderobą. Wśród tego tłumu uwijają się złodzieje kieszonkowi, praktykując o ile można swe rzemiosło, tu jakaś obdarta, rozczochrana dziewczyna przeraźliwym głosem woła o jałmużnę i chwytą przechodniów za ubranie. Garstka uliczników goni jakiegoś waryata krzycząc hura! a waryat przyjmuje te krzyki obojętnie i przechodzi dalej w kapeluszu pomiętym, sądząc że ma królewską koronę na głowie.

Tu stoi znów chłopak ze skrzynką; ciekawa publiczność patrzy w otwór, a on piskliwym głosem udziela objaśnienia:

— Patrzcie i podziwiajcie—mówi,—oto jest Londyn, papież w czerwonym mundurze jedzie na koniu, wszyscy stoją z odkrytymi głowami... a teraz patrzcie znowuż, oto Napoleon ze swymi francuzami bije prusaków, prusacy uciekają w popłochu, jak karaluchy! A oto dama jedzie z sultaniem w karecie, wielki wezyr siedzi na koźle i powozi; tymczasem konie się spłoszyły, wywróciły karete, turek upadł na bruk i mocno się potłukł, a ona szuka kogo żeby im przyszedł na pomoc. No odchodźcie, odchodźcie, dość już napatrzyliście się cudownych rzeczy! Cóż wy myślicie, że za jeden grosz cały świat oglądać będziecie?!

Tu na rynku, usadowiły się rzędem przekupki z nieckami pełnemi owoców, warzyw, ogórków, wisien, gruszek i tym podobnych przysmaków.

Nieco na boku, stoi budka na kurzych nóżkach, wykrzywiona, stara, bez drzwi i bez okien. Starzy, posiwali żydzi opowiadają, że w tej budzie niegdyś stawał policyant, i że kiedy ją postawiono całe miasto zbiegło się jak na wielkie dziwowisko. Obok budki, z której Głupsk pyszni się słusznie, jak ze starej fortecy, pod daszkiem ze starych, przegniłych tarcic, poczerniałej słomy i rogożek, wspartym na czterech wykrzywionych słupach, siedzi dzierżawczyni



ogrodu i sprzedaje owoce. Otoczona ze wszystkich stron nieckami, w których są wiśnie i gruszki, rozsiadła się ona jak kwoka i przez cały dzień nieustannie mówi.

O mieszkańcach Głupska jest podanie, że pochodzą oni od owych żydów, których król Salomon wysłał ongi na okrętach do Epiru, po złoto i inne kosztowne towary potrzebne do ozdoby Świątyni... Ci żydzi, w skutek rozmaitych okoliczności, nie powrócili już do Jerozolimy, lecz dostali się z czasem do „hindye“, gdzie dorobili się bardzo pięknych sklepów i wielkich kantorów bankierskich. Zjednali oni sobie u „indyjskich niemców“ bardzo rozległy kredyt i przez długi bardzo czas prowadzili różne interesa komisowe, nader akuratnie. Później wszakże owym szczęśliwym kupcom i komisantom powinęła się noga, tak, że musieli z „hindye“ uciekać...

Pewna ich część zmarnowała się i przepadła w pustyni, część zaś zdołała szczęśliwie przeszwarcować się przez granicę, wsiadła na okręty i żeglowała dotąd, aż się znalazła na wodach rzeki Gniłki, która w owym czasie wpadała wprost do oceanu. Tak owi żydzi żeglowali, żeglowali, aż zerwała się okropna burza, bałwany podnosiły się aż pod obłoki, uragan porozbijał okręty i żeglarzy powyrzucał na brzeg...

Wyrzuceni na ląd rozbitkowie, osiedlili się nad brzegiem rzeki Gniłki, zbudowali miasto i nazwali je Głupsk.

Uczeni badacze starożytności, którzy z najmniejszych cząstek potrafią odtwarzać największą całość, snuli o założeniu Głupska najrozmaitsze hipotezy i popierali je licznymi dowodami i komentarzami.

Indyjskie pochodzenie miasta Głupska, wykazane zostało jak na dłoni... Dowodów na to jest niezmierna obfitość: przedewszystkiem sam fason domów, dziwaczny i dziki, noszący na sobie cechy bardzo odległej starożytności.

Patrząc na owe domostwa, zdaje się że zostały one zbudowane przynajmniej przed tysiącem lat, w epoce kiedy ludzie mieszkali jeszcze pod namiotami, w jaskiniach, lub pieczarach.

Domy te są ze sobą w nieustannej kłótni.

— Ty stoisz prosto, ja na złość stanę krzywo! ty pochyliłeś się w tył, ja naprzód! ty na prawo, ja na lewo, ty masz schodki krzywe, ja jeszcze krzywszą drabinę!

Tak zdają się kłócić ze sobą domy w Głupsku i robić sobie na złość, co przyczynia się mocno do upiększenia tego wielce szanownego miasta.

Drugim wymownym dowodem indyjskiego pochodzenia Głupska są zwyczaje i obyczaje jego mieszkańców. Jest w tych zwyczajach coś pogańskiego, przechowanego z dawnych, bardzo dawnych czasów. Sztuka pisania oraz matematyka nie kwitnie w tem mieście, jak również i inne umiejętności, a główni kierownicy interesów kahalnych, obywają się wygodnie bez wszelkich ksiąg i rachunków.

Ludzie, jak w głębokiej starożytności, dzielą się tu na kasty, zupełnie jak u indyan. Jest naprzykład kasta „hapłaperów“ możnych, samych „cymesów“, która nad wszystkimi innymi przewodzi silną ręką... Są prowodyry mocni jak stal i żelazo. Ci trzymają stale stronę „hapłaperów“, za co dostają hononarya w pieniądzach, bądź też w naturze. Jest również partya „gładkich“ umięjących się zręcznie ślizgać wśród swego otoczenia i nigdy się nie potknąć, a po za tem partya biedaków („głupo-truso-bezjazyke-kapcaner“) \*), prosty, biedny lud, który od wszystkich partyj ma za swoje.

Jeszcze jeden dowód. Gdy kopano ziemię, przy bu-

---

\*) „Sekta biedaków, głupich, bojaźliwych, bezjęzycznych“, nie-umięjących upomnieć się o swoje prawa.

dowaniu grobli, znaleziono bardzo starą, wytartą monetę. Gdy zaczęto jej się pilnie przyglądać, dostrzeżono na jednej stronie rysunek wyobrażający coś w rodzaju koryta, albo niecki, z której wychylały się głowy. Na jednym końcu koryta osadzony był jakiś kij, a do niego przyczepiony fartuch.

Z drugiej strony pieniążka znajdował się jakiś napis bardzo niewyraźny; dopiero po starannem oczyszczeniu monety i przy użyciu silnych szkieł, uczeni się przekonali że napis jest hebrajski, i że zawiera w sobie litery: „jod, alef, szin, lamed, gimeł—wow, ajen, nun i pej“.

Uczeni, zobaczywszy taki napis, potracili głowy, gubiąc się w tysiącznych przypuszczeniach i kombinacjach i natychmiast rozdzielili się na dwa wrogie obozy, z których każdy miał swoją metodę i według niej starał się napis wytłumaczyć.

Jedna partya twierdziła, że w pierwszym wyrazie początkowa litera „jod“ i końcowa „gimeł“, cokolwiek zatarte, nie są właściwie literami, lecz szczytkami kresiek dla ozdoby napisu zrobionych, że zatem wypisany wyraz z opuszczeniem tych liter, należy rozumieć: „drzewo i gałąź“.

Druga znów część uczonych dowodziła zupełnie czego innego i z pojedynczych liter napisu ułożyła kilka wyrazów, które miały mówić: „żydzi z Epiru (lub też z Indyj) tu wyładowali i miasto Głupsk nad rzeką Gniłką założyli \*\*).

Kij z przyczepionym na końcu fartuchem, koryto i wyglądające z niego głowy, wyobrażają okręt, z rozwiniętymi żaglami, pełen marynarzy.

O tem wytłumaczeniu rzeczonoego napisu i rysunku na

---

\*\*) Dowcipna kombinacya ułożona z liter hebrajskich, a będąca złośliwą parodią wywodów archeologicznych, nie da się dosłownie przełożyć na język polski—zachowałem więc tylko główną myśl autora, naddawszy jej formę dla czytelników zrozumiałą.

znalezionej monecie uczeni napisali bardzo grubą księgę—i rzucili projekt ażeby oczyścić rzekę i zbadać gruntownie jej dno, gdyż prawdopodobnie znajdzie się tam mnóstwo rzeczy, mogących rzucić światło na całą historję żydów zamieszkujących Głupsk.

Mieszkańcy Głupska wszakże obawiają się poruszyć błota i tego wszystkiego co się w niem może znajdować— a skutkiem tego ważne odkrycia archeologiczne stracone zostały dla świata, może na zawsze...

---

## VII.

Zdarzyło się, że podczas pobytu swego w Głupsku wśród ludzi zacnych i ze wszech miar przyjemnych, udało się Beniaminowi zrobić niezmiernie ważne odkrycie, które ostatecznie dowiodło słuszności hipotezy o indyjskiem pochodzeniu mieszkańców tego miasta.

Zanim jednak przystąpimy do opisanego tego faktu, który będzie miał niesłychaną w dziejach ważnych odkryć doniosłość, musimy przedtem opisać poprzednie wydarzenia chronologicznym porządkiem. Zaletą każdego szanującego się kronikarza jest przede wszystkim ścisłość i wierne trzymanie się historycznych faktów. Należy o maksymie tej pamiętać.

Znakomici nasi podróżnicy, podczas pobytu w Głupsku, urozmaicali sobie wolne chwile wycieczkami za miasto. Kiedy po raz pierwszy ujrzeni przed sobą rzekę Gniłkę, leniwie toczącą swe fale, zadziwili się mocno i zlekli zarazem, albowiem nigdy jeszcze w swem życiu nie widzieli takiej masy wody, nagromadzonej na jednym miejscu.

Senderik zauważył, że bezwątpienia musi to być największa rzeka w świecie. I nic dziwnego, albowiem Senderik był człowiek prosty.

Donkiszot żydowski.

Zresztą taka rzeka! to nie żarty, rzeka może sto razy większa od tej, która płynie pod rodzinnem jego miastem Tuniejadówką!

Senderil, jak to już rzekliśmy wyżej, był człowiek prosty, oprócz Tuniejadówki więcej świata nie znał, drobnego druku czytać nie umiał, wszystko więc co po za rodzinnem swem miastem spotkał, wydawało mu się niesłychanie wielkiem, dziwnem i prawie cudownem.

Beniamin znowuż co innego! Beniamin był człowiek uczoności wielkiej, nałykał się dość różnych wiadomości ze swych filozoficznych ksiązek, znał się na drobnym druku i pełną gębą spijał miód „siedmiu mądrości“. On znał opis podziemnego raju, znał dziwne, niezwykle stworzenia zamieszkujące „bindye“ i różne tym podobne osobliwości—to też na widok tak olbrzymiej rzeki jak Gniłka, aczkolwiek zdumiony został niezmiernie, jednak nie pokazał tego po sobie.

Oświadczył on towarzyszowi swemu, że taka rzeka to wcale nie rzeka... to poprostu błoto! kałuża marna w porównaniu z Jordanem.... Taką rzekę jak Gniłka, wielki byk „Szejr habar“ \*) wypił by odrazu i nie ugasił pragnienia.

— Co taka rzeczka znaczy wobec Jordanu — mówił zapalając się Beniamin—jedna kropla! marność! a Jordan! wiesz ty co znaczy Jordan?! Jordan znaczy massa! wielkość! Jordan znaczy Jordan!

Po chwili przyszła Beniaminowi do głowy myśl genialna...

---

\*) „Szejr habar“. Wśród konserwatywnych mass żydowskich krąży podanie, że po skończeniu świata, żydzi będą mieli wspaniałą ucztę. Na tę uroczystość zabite zostaną dwa olbrzymie potwory: „Szejr habar“ byk niesłychanych rozmiarów i „lewioson“, ogromna ryba dźwigająca na sobie całą kulę ziemską.

— Wiesz co, Senderik! — zawołał z radością — postanowiłem żebyśmy w dalszą podróż puścili się wodą!!

— Bóg z tobą Beniaminie! — krzyknął wystraszony Senderik — co ty mówisz!

— Dla czegożby nie?

— Aj, aj, Beniaminie, pomyśl tylko, jeśli taka mała rzeczka jak nasza, pod Tuniejadówką, pochłania corocznie jednego człowieka — ileż ta, taka ogromna, musi ludzi połykać! Zmiłuj się człowieku, miej litość nad naszym życiem, nad twoją żoną i dziećmi, Beniaminie!

— Ufać, ufać trzeba, mój kochany — ufność jest rzeczą żydowską. Z ufnością przodkowie nasi, mając tylko kij w rękę, przechodzili Jordan — na ufności zbudowane są wielkie sklepy żydowskie!

— Dobrze to jest, ale dla czego chcesz koniecznie płynąć po wodzie, kiedy łądem można wędrować spokojniej i bezpieczniej?

— Mam wiele racyj po temu — odpowiedział Beniamin, — przedewszystkiem wyprawa wodą trwać będzie znacznie krócej, ponieważ droga wodna jest zwykle najbliższa. Dla czego najbliższa? to już moja rzecz, to ja wiem. Tu, tu, — rzekł, stukając się palcem w głowę, — tkwi już oddawna myśl, świetna myśl, aby do zamierzonego celu przylecieć lotem ptaka! Za podróżą wodną przemawia jeszcze i to, że kiedy wielki Beniamin, znakomity uczoney „fun Tudeło“ (z Toledo w Hiszpanii) puścił się w podróż, to zaraz z samego początku popłynął na falach rzeki „Ebro“, co jest najwyraźniej w jego dziełach opisane. Zapewne, skoro taki podróżnik puścił się w drogę wodą, nie zaś łądem, przeto droga wodna musi być daleko lepszą. Tamten Beniamin wiedział bardzo dobrze co robił, gdyż był on od nas obu dwóch o wiele mądrzejszym, żebym tak zdrów był, Senderuniu. Rabi Beniamin był to człowiek dawnej daty, żył

od nas o wiele wcześniej, dla tego też powinniśmy go naśladować bez pytania, bez roztrząsań.

— Kiedy tak, to masz Beniaminie zupełną słuszność. Na moje żydowstwo! nieinaczej jak wodą! Gdyby nawet, w dawniejszych czasach, wielki Beniamin podróżował wierzchem na kociubie („ojf a koczere“) to i my powinniśmy siać na kociuby i puszczać się w drogę natychmiast!!

— Potrzebie—przerwał Beniamin, nic nie zaszkodzi jak odbędziemy kilka prób, w celu przyzwyczajenia się do niebezpiecznych podróży morskich; nie będzie więc źle, jeżeli zrobimy kilkakrotnie wycieczkę wodną, przy czyjejś pomocy, zanim wyrobimy w sobie dość siły do samodzielnej żeglugi. Widzisz Senderi!ł, zdaje mi się, że tam, niedaleko, stoi łódka; gdybyśmy dali coś chłopu, do którego ona należy, toby, bezwątpienia, przewiózł nas trochę po wodzie. Pogadaj ty z nim Senderi!ł, gdyż wiadomo ci, że ja nie jestem bardzo biegły w chłopskim języku.

W kilka minut później wędrowcy nasi, ukrzepiwszy się na duchu, siedzieli już w łódce i płynęli po grzbiecie Gniłki, leniwie toczącej swe fale. Z początku obadwaj byli bardzo przerażeni, szczególnież zas Senderi!ł, który doznał dziwnego zawrotu głowy i wyrabiał dziwaczne gesta rękami i nogami przy każdym pochyleniu się łódki.—Ot, ot, myślał sobie, lada chwila statek się przewróci i ja wpadnę w niezmierzone głębiny otchłani... Oto już koniec mojego żywota, żona moja pozostanie wieczną „aguną“ a dzieci sierotami!..

Przestrach nie trwał jednak zbyt długo, po niejkiej chwili Senderi!ł uczuł polepszenie, nie doznawał już tak silnego zawrotu głowy i z mniejszą obawą spoglądał na wodę.

— Nic to, Senderi!ł, nic to nie szkodzi — pocieszał go Beniamin, kiedy już wyszli na brzeg. — Niech cię to wcale nie martwi, że dostałeś zawrotu głowy i że nie czułeś się



dobrze. Są to zwykle przypadłości, nieodłączne od wszelkich wodnych podróży; to się nazywa choroba morska, każdy ją musi przejść, gdy się po raz pierwszy znajdzie na falach oceanu. Przekonasz się, że za drugim razem będzie ci znacznie lepiej i że uczajesz się daleko swobodniejszym i zdrowszym na okręcie, aniżeli dziś.

Od owego czasu, od pierwszej wyprawy żeglarskiej, podróżnicy nasi często odbywali wycieczki wodne i te sprawiały im wielką przyjemność. Czuli się przytem tak oswojonymi z wodą, tak silnymi, że przeprawa przez prawdziwe morze nie tylko nie trwożyła ich, lecz wydawała im się dziecianną zabawką.

Nawet Senderił zrobił się bardzo śmiałym do wody i nie obawiał się już wahań i pochyłeń czółna.

Beniamin, za pośrednictwem swego towarzysza, koniecznie pragnął wdać się w rozmowę z rybakiem, właścicielem łódki, i zarzucić go gradem zapytań, jak naprzykład:

— Spytaj-no Senderił tego chłopca, albo, spytaj naszego kapitana okrętu, ile mil mamy ztąd do morza? Spytaj go czy na tej rzece są jakie wyspy? Jaki rodzaj ludzi te wyspy zamieszkuje? Czy są pomiędzy nimi żydzi? Czy opłacają oni jakie daniny i czy wiedzą o rozproszeniu żydów po świecie?

Albo też Beniamin mówił tak:

— Mój Senderił, spytaj też, tak sobie dla ciekawości, czy ten chłop wie co o górze „Gisbejn“? czy wiadomo mu o dziesięciu zaginionych pokoleniach? Czy może zdarzyło mu się słyszeć coś o nich?

Te pytania były dla Beniamina paląciami kwestyami, lecz odrobina znajomości chłopskiego języka, którą zdobył Senderił, towarzysząc swej małżonce w wycieczkach na targ, nie była wystarczającą do porozumienia się w tak wysokich przedmiotach. Targować się o kartofle, cebulę, kurę

Senderił jeszcze jako tako potrafił, lecz prowadzić rozmowy z kapitanem okrętu, o rzeczach ściśle naukowych, stanowczo nie mógł.

Litość brała patrzeć na męczarnie, przez jakie biedny Senderił przechodził, pragnąc wytłómaczyć chłopu o co idzie... Mówił on nietylko głosem, lecz i mimiką, rękami, nogami, pracował wszelkimi siłami, aż pot oblewał mu twarz—wszystko nadaremnie...

Chłop nie rozumiał, splunął, spojrział na niego ze złością—a Beniamin znowuż gniewał się i ciągle żądał nowych pytań, nowych objaśnień; szturchał Senderiła, trącał, gniewał się i sam wtrącał wyrazy do rozmowy.

— Win, czerwone żidki win pitaje! — krzyczał chłopu w samo ucho Senderił.

— Iz czerwone żydki ja znam Lejbku, Szmulka, bohate żydki i czerwone—odpowiedział kapitan okrętu.

— Ni Lejbka! ni! ni! win czerwone żidki pitaje, wi zogt men epes (jakby to powiedzieć), win tamoczke, leben bergele Gisbejn, (tam, tam około góry Gisbejn).

— Gisbona? żydka Gisbona?

— Powiedz-żeż mu — krzyczał Beniamin — że się pytasz o górę, pokaż mu rękami że to idzie o górę! Pokaż jak umiesz...

Senderił podniósł wysoko obie ręce, złożył je i krzyczał:

— Ot! het! het, wisoko! dużo wisoko!

— Tfu!—splunął chłop rozgniewany, i zaczął po swemu wymyślać—i odsyłać Senderiła do wszystkich djabłów, pomst, piorunów i nieszczęść.

Wędrowcy nasi przyjmowali te wybuchy chłopskiego gniewu z filozoficznym spokojem i obojętnością przedziwną.

O podróżach wodnych po rzece Gniłce, opowiada Beniamin w swych księgach cudowne i zadziwiające rzeczy,

które narobiły w całym świecie hałasu... Pragniemy podać niektóre z nich w krótkości.

Płynąc pewnego razu po Gniłce, Beniamin dostrzegł bardzo piękne miejsce, pokryte zielenią tak słiczną, że oczu od niej oderwać było trudno. Sądził on że jestto mała zielona wyspa, porośnięta trawą i różnemi pachnącemi ziołami.

Skoro już wyciągnął jedną nogę i chciał wskoczyć na wyspę, kapitan kierujący łódką, pochwycił go nagle z tyłu za kołnierz, i z krzykiem rzucił na dno statku, z całą siłą, tak, że Beniamin przez długi czas leżał nieruchomo, jak oszołomiony, i nic nie słyszał, prócz tego, że statek tarł się o coś, przepychał i że koło niego coś szumiało. Widocznie łódź natrafiła na jakąś przeszkodę i torowała sobie drogę z wielką trudnością.

Gdy Beniamin przyszedł do siebie, chłop opowiedział mu, że owa zwodnicza zieleń wcale nie jest wyspą, jak się wielkiemu podróżnikowi zdawało, lecz rzęsą pokrywającą wodę — i że rzeka Gniłka corocznie się taką rzęsą pokrywa.

„Ja wszakże, pisze w swych księgach Beniamin, nie dałem się oszukać i podobne tłómaczenie nie wprowadziło mnie w błąd. Nie była to żadna rzęsa, ani jak chłop twierdził, woda kwitnąca, gdyż jak żyję nie słyszałem żeby woda kwitnęła, zresztą gdyby kwitnęła to miałyby także owoce, czego wszakże dotychczas żaden człowiek nie widział. Wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska, to jest owej zdradliwej wyspy, znalazłem w moich nieoszacowanych księgach, które każdą rzecz, jaka jest tylko na świecie, mądrze i pięknie wytłómaczyć potrafią.

Nie mnie, uczonego człowieka, można złapać na takie plewy! Wiem ja dobrze że to, co chłop nazywa jakąś rzęsą, czy kwiatem, to jest nic innego jak tylko olbrzymia ry-

ba morska „Chilejno“, której bardzo ciekawy opis znajduje się w księdze „Ceł ejłom“.

Księga opisuje owego potwora temi słowy: Straszliwa, wielka ryba „Chilejno“ pokryta jest ziemią i trawą i wygląda niby duża zielona wyspa. Zdarzało się, że żeglarze ujrzawszy tę rybę i sądząc że mają przed sobą piękną górę, wysiadali z okrętów i chodzili po niej jak po lądzie, nie wiedząc jaka zdrada ich czeka... Gdy żeglarze, pragnąc ugotować sobie pożywienie rozniecili ognisko, ryba, sparzona w grzbiet, pogrążyła się w otchłanie morskie, a znajdujący się na niej ludzie znajdowali śmierć w głębinach“.

Dla mnie, powiada Beniamin, jestto jeden jeszcze dowód, stwierdzający przypuszczenie uczonych i filozofów, co do pochodzenia mieszkańców Głupska. Że z Indyj wywodzą się oni, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, albowiem gdy żeglowali ztamtąd przez ocean i przez rzekę Gniłkę, przyłynął za nimi i „Chilejno“, który pochodzi także z wód indyjskich, a ma taki zwyczaj że płynie za okrętami.

Wyjaśnienie to jest nader proste i zarazem tak przekonywające, że nie potrzebuje dowodzenia.

Pewnego razu, gdy Beniamin żeglował po falach Gniłki i spoglądał w wodę, dostrzegł w niej dziwne jakieś stworzenia, akurat z kształtu podobne do kobiet. Niedawno właśnie, pisze Beniamin, czytałem w mądrych księgach, że w wodach mieszkają „ludzie morscy“ („jam menszen“). Ci ludzie morscy, pochodzą od prawdziwych ludzi, ale dawno już, bardzo dawno, skazani zostali na zamieszkiwanie w głębiach i odmętach. Komedycanci, którzy jeżdżą z budami swemi po miasteczkach i pokazują ludziom różne wesołe hece i osobliwe komedye, miewają także niekiedy ludzi morskich i, podczas jarmarków zwłaszcza, za parę groszy pozwalają ich publiczności oglądać. Beniamin pamięta, że był sam na takim widowisku. Nie przypuszczał jednak

wówczas, że te dziwne stworzenia, które oglądał w budzie komedyantów, ujrzy na własne oczy w głębi wód, podczas swoich znakomitych podróży.

Zdumiony niezmiernie, (pisze Beniamin) pokazałem te morskie kobiety chłopu kierującemu moją łódką, on zaś nie zrozumiał mnie widocznie, gdyż zamiast dziwić się i zachwycić jak ja, wskazał mi grubym palcem kilka bab, które nad brzegiem Gniłki, zanurzone po kolana w wodzie, prały bieleźną.

Ja mu pokazuję osobliwość niewidzianą dotychczas, pokazuję mu istny cud pod wodą, a on każe mi patrzeć na jakieś praniem zajęte baby, na które nawet, co prawda, człowiekowi poważnemu i uczonemu spojrzeń rzucać nie przystoi.

Ponieważ nie znam dobrze chłopskiego języka, a chłop jest znowuż o tyle ciemny że mowy naszej nie rozumie, przeto nie mogłem mu wytłómaczyć jak niezwykłą rzecz może zobaczyć i pozostaliśmy każdy przy swoim, to jest ja podziwiałem osobliwe stworzenia mieszkające w głębi wód, a chłop znów patrzył na piorące baby i, o ile pamiętam, coś do nich mówił...

Niedaleko od brzegu, pod samem miastem, znalazł Beniamin miejsce, w którym woda była szczególnie gęsta, jakby zamrożona. Właśnie w tem miejscu woziwody napełniali beczki, w których dostarczali wodę mieszkańcom miasta. O ile mi wiadomo, z tą gęstą wodą gospodynie w Głupsku mieszały rzadką wodę i gotowały w niej wszelkiego rodzaju potrawy. Sam jadłem obiad przyrządzony na owej wodzie, i (żeby tak kosztował lewiosona!) był wyborny. Muszę przyznać, że ów obiad miał siedm smaków, a każdy osobliwszy. Szczególniej „rosołflajsz“ z owej gęstej wody gotowany, wydał mi się królewskiem jedzeniem.

Napełniłem też sobie tą wodą obie kieszenie kapoty i

kazałem memu Senderiłowi, aby wziął całą paczkę tej, co najgęstszej, wody do torby. Podczas podróży przez oceany i pustynie taka rzecz może się przydać.

Właściwie powiedziawszy, znakomici podróżnicy nasi w Głupsku przeszli jakby szkołę żeglarstwa i uczynili tak zadziwiające postępy, że nietylko nie lękali się wody, lecz nie zatrważało ich nawet przechylenie się łódki. Przeszli już morską chorobę i, jak starzy doświadczeni marynarze, gotowi byli w każdym czasie puścić się śmiało na głębiny morskie i na grzbietach spienionych fal docierać aż do Indyj i iść śladami wielkiego Aleksandra Macedońskiego.

Pewnego dnia, po obiedzie, Beniamin i nieodstępny jego towarzysz Senderił wyszli trochę za miasto, ażeby użyć ruchu i świeżego powietrza. Obadwaj byli w wyśmienitych humorach, śmieli się, rozmawiali głośno, patrzyli sobie w oczy, jak rozkochana para małżonków po ślubie; jednym słowem, całym postępowaniem zdradzali że w sercach ich zamieszkała wielka radość i wesele...

Podskakiwali oni, śpiewali, zachwycali się każdym swoim słowem, każdym spojrzaniem.

Cóż się stało takiego? Co było przyczyną tak wielkiej radości i uciechy?

Oto postanowili nazajutrz rano opuścić już Głupsk, i w szczęśliwą godzinę, udać się tam!... tam! daleko, przez oceany, pustynie!

Gdy tak wędrowcy nasi, w najlepszym humorze, podskakiwali sobie wesoło, dogoniła ich fura.

W wasągu siedziało dwóch żydów, z których jeden przewoził, a drugi, z czapką na sam tył głowy zsuniętą, siedział, trzymając w zębach słomkę.

Jest to znak niezawodny, że głowa tego żyda pracowała nad jakąś ciężką kwestyą.

Dogoniwszy Beniamina i Senderiła, przejeżdżający ży-

dzi, przypatrzyli im się od stóp do głów i zaczęli z nimi rozmowę, zasypując ich zaraz, jak żydowski zwyczaj wymaga, gradem pytań:—Zkąd żydkowie jesteście? jak się nazywacie? i t. d.

Podróźni nasi natychmiast, z całą otwartością i szczerością, opowiedzieli im historię swego życia, oraz dzieje wielkiej podróży. Co w sercu to na języku! nie skrywali więc nic i zwierzyli się z najdroższych swoich zamiarów.

Żydzi popatrzyli na siebie z uśmiechem, coś szeptali ze sobą przez chwilę—i ten, który miał słomkę w ustach i czapkę na tył głowy zsuniętą, rzekł do swego towarzysza:

— Et, nie bój się, nic nie szkodzi! w najgorszym nawet razie jeszcze znajdziemy sposób....

Po chwili milczenia, tenże sam żyd odezwał się do naszych podróźnych:

— Wiecie co? nasze miasto warto jest dalibóg zaszczytu oglądania was w swych murach, porządne to miasteczko i nabożne, mogę was zapewnić... Prosimy więc was bardzo pięknie, bądźcie tak grzeczni i zróbcie nam ten honor. Na furze jest dość miejsca—siadajcie z nami. Nie targujcie się długo. Ręczymy za to, że w naszym mieście przyjmą was z otwartymi rękami; ugoszczą, nakarmią, napoją i przyjmą wszystkiem, co można...

— Dalibóg, przychylibyśmy się chętnie do waszej prośby—odpowiedział Benjamin,—lecz cóż? oto przed chwilą właśnie postanowiliśmy puścić się w dalszą podróż wodą.

— Niech was to nie obrazi—odpowiedział żyd,—ale to dalibóg wielkie głupstwo! cóż to za woda, którą chcecie się puścić w podróż? Gniłka! ależ to kałuża, zaplesniałe błoto! paskudztwo! Płynąć po takiej wodzie to rzecz niegodna wielkich ludzi, uczonych podróźników!... Jedźcie z nami! pod naszym miastem płynie Dniepr! prawdziwa rzeka, która rzeczywiście wpada do morza! Po tej rzece będziecie

mogli naprawdę żeglować i, z Bożą pomocą, dopłynąć do mórz i do oceanów. Nie sprzeciwiajcie się więc—siadajcie na furę...

— Co myślisz Senderi!—rzekł Beniamin, — może naprawdę wypada zrobić honor tym grzecznym żydom i przyjmąć miejsce na furze?

— A cóż mnie to obchodzi?—odpowiedział Senderi!—jeśli chcesz jechać, to i owszem.

Niedługo trwały pertraktacye; podróżnicy nasi, namówieni przez uprzejmych żydów, wdrapali się na furę, mocno zadowoleni z honoru jaki ich spotkał, że zostali zaproszeni w imieniu całego miasta. Żydzi pilnowali ich bardzo starannie i strzegli prawie na każdym kroku. Trzeba też przyznać że dbali o ich pożywienie i o wszelkie wygody, i tak im dogadzali serdecznie, nie szczędząc kosztów i nakładów, że wędrowcy nasi przyznawali w duchu iż nigdy jeszcze w życiu swoim nie doznawali takich owacyj i takiego pełnego galanteryi obejścia.

Na drugi dzień, przed wieczorem, (przy pomocy Bożej) fura wtoczyła się szczęśliwie w ulice pięknego miasta Dnieprowce. Żydzi, jeszcze bardziej gościnni niż dotychczas, zawieźli wielkich podróżników do zajazdu i postarali się o doskonałą kolacyę.

— Jesteści dziś zmęczeni i znużeni—mówili,—podróż sfatygowała was mocno, dla tego najlepiej będzie jak się pożywiecie, wzmocnicie siły i udacie się na spoczynek, który jest wam tak bardzo potrzebny. Jutro (gdy Bóg zezwoli) kiedy wstaniecie zdrowi i silni, zaprowadzimy was do osób wybitnych, zajmujących w naszym mieście wysokie stanowiska—i powiemy w interesie waszym dobre słowo. Bezwątpienia, ludzie ci dadzą wam znaczny zasiłek na kosztą owej wielkiej podróży i będziecie w możności, prędko i bez trudności, wykonać wasze sławne przedsięwzięcie. Teraz



odpocznijcie sobie i nabierzcie sił, które są wam tak bardzo potrzebne. Dobranoc! reb Beniamin, dobranoc reb Senderi!—dobranoc!

— Dobranoc! dobrego roku (a git jor)—odpowiedzieli nasi podróżnicy, i w najlepszym humorze udali się na spoczynek, weseli, szczęśliwi, a poniekąd i dumni z tego że są przyjmowani tak wspaniale i uhonorowani przez ludzi zupełnie obcych, w mieście, do którego zaproszono ich umyślnie.

---

## VIII.

— Giewałt! giewałt! — wrzeszczał jak opętany Senderil,—dajcie mi chociaż pomodlić się przed śmiercią, chociaż westchnąć do Boga! giewałt! giewałt!

Przerażony tym krzykiem Beniamin, ledwie żywy ze strachu, zerwał się ze swego posłania, prędko obmył palce wodą (a negelwasser) \*) i przybiegł zobaczyć co się stało z jego wiernym giermkim i przyjacielem.

Na dworze już miało się na dzień i przez okna światło wpadało do izby. W stancyi było spokojnie, wszyscy spali, chrapiąc na rozmaite sposoby. Był to oryginalny koncert, przypominał albowiem najrozmaitsze instrumenta muzyczne. Jeden chrapał przeciągle, jakby grał na bandurze, drugi przypominał flet, inny wydawał jakieś dźwięki krótkie, urywane. Jeden chrapał ze złością, drugi z namysłem, jak gdyby zadawał komuś jakieś bardzo poważne naukowe pytania. Jednem słowem był to oryginalny koncert nosów,

---

\*) Żyd wstając z łóżka, przedewszystkiem obmywa palce, a raczej paznogie, jest albowiem w zacofanej sferze to przekonanie że djabeł najchętniej za paznogciami człowieka w nocy przesiaduje. Ztąd też i woda do tej ablucyi użyta nazywa się „negelwasser“ t. j. woda paznogiowa.

w którym szlachetne te organa pracowały wszystkimi siłami, niby trąby w wielkiej orkiestrze.

— Czego tak krzyczysz Senderi!—zawołał Benjamin, zbliżywszy się do łoża swego giermka,— co ci stało? może cię co ukąsiło? bo tu okrutnie coś kąsa... ja sam przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem i, właściwie powiedziawszy, dopiero teraz zasnąłem, lecz twój krzyk rozpaczliwy obudził mnie.

— Aj! aj!—rzekł prawie z płaczem Senderi!, uciekajmy ztąd coprędzej! na miłość boską uciekajmy! nie traćmy ani chwili czasu, tu będzie jakieś nieszczęście...

— Bóg z tobą Senderi! co wygadujesz?! Wielkie rzeczy że cię coś ukąsiło! cóż to, nie jesteś człowiekiem, żebyś zważał na takie drobnostki?

Senderi! przez jakiś czas spoglądał na Beniamina, jak gdyby pomieszany i sam nie wiedział co się z nim dzieje, po chwili dopiero odezwał się z westchnieniem.

— Och! miałem sen okropny, przerażający, daj Boże żeby się nie sprawdził! do tej pory jeszcze nie mogę ochłonać z przestachu, chociaż widzę że jesteś przy mnie, Beniaminie!

— Et głupstwo, głupstwo i nic więcej — odrzekł Benjamin—czy to raz śnią się człowiekowi różne rzeczy?... I ja także miałem sen! i jaki sen!! a jednak nie przeraziłem się... Widzisz, śniło mi się że przybiegł do mnie „Pipernoter“, spojrział na mnie dzikimi oczami i rzekł: — Wszak wy jesteście sławny rebe Benjamin z Tuniejadówki? Odpowiedziałem że tak, co się mam zapierać? ja jestem sławny rebe Benjamin z Tuniejadówki! Wtenczas „Pipernoter“ rzekł do mnie:—Niech więc rebe Benjamin będzie łaskaw pofatyguje się zemną, tylko prędko, albowiem „Aleksander Mugden“ stoi niedaleko ztąd z wojskiem swoim i mdleje z chęci poznania tak znakomitej osoby. Niechże więc reb Benjamin

pospieszy i nie odmówi mu tej rozkoszy! Naturalnie, pospieszyłem na to wezwanie i pobiegłem natychmiast. „Pipernoter“ wskazywał mi drogę. Pędziłem, jak strzała wypuszczona z łuku, w tem słyszę za sobą jakiś głos grzmiący: — reb Beniamin! reb Beniamin! jesteś chyży jako jelen, dogonić cię nie mogę! Odwracam głowę, a tuż zamną stoi „Aleksander Mugden“ sam we własnej swojej osobie...— „Adejni mejłech“! (królu mój!) zawołałem i pochwyliłem za rękę wielkiego bohatera. Ściskam tę rękę serdecznie, ściskam, ściskam, aż przebudziłem się... Pfe! czy ty wiesz, Senderił, com ja ścisłkał? nawet powiedzieć tego nie chcę... Pfe! co tu za paskudna stancya! pełna jakichś wielkich, czarnych robaków!... Otóż widzisz moj kochany co to jest sen, choćby najpiękniejszy nawet!.. Powiadam ci niebierz sobie tego [do serca, spluń trzy razy i zapomnij o śnie... ale co ci się śniło tak straszego?

Senderił jęknął...

Tfu! tfu! tfu! splunął trzykrotnie i zaczął opowiadać swój sen, którego treść była mniej więcej taka:

— Śniło mi się że szedłem przez ulicę, tak sobie, jak zwyczajnie ludzie chodzą, myśląc o swoich interesach... wtem zupełnie nagle i niespodzianie, ktoś pochwylił mnie z tyłu i wsadził w worek... Zanim mogłem zmiarkować co się zemną dzieje, już byłem zawiązany w worku i ten ktoś ciągnął mnie po ulicy. Ciągnął mnie, tak ciągnął, nie wiem jak długo, aż nareszcie przywłókł do jakiegoś miejsca i zaczął rozwiązywać worek. Wtenczas ja wychyliłem głowę, żeby zobaczyć gdzie jestem, a ta osoba (niech ją nieszczęście spotka!) jak mi wytnie policzek! ale trzeba ci wiedzieć Beniaminie, że to nie był wcale taki sobie zwyczajny policzek, to było coś w lepszym gatunku, bo aż mi dwa zęby wypadły z wielkim impetem! Jednocześnie usłyszałem głos:—To masz tylko na zadatek! na zadatek! a resztę otrzymasz nie-

długo. Spojrzałem, w najwyższym przerażeniu, w stronę z której głos dochodził i ujrzałem... ach Beniaminie! jeszcze mnie dreszcze przechodzą!... ujrzałem moją żonę! Była ona straszna, na głowie miała jarmułkę, w oczach wszystkie ognie piekielne; zgrzytała przeraźliwie zębami i pienila się ze złości....

— Poczekaj-no! poczekaj, ozdobo mojej głowy! — mówiła w strasznym gniewie i z jakimś djabelskim uśmiechem, wezmę ja kociubę i nauczę cię zaraz jakiego Boga my mamy!!

Gdy ona poszła szukać kociuby, która, na moje szczęście, gdzieś się zapodziała, ja tymczasem „złapałem nogi na plecy“ (hapt di fis ojf di plejees) i uciekłem precz, precz, precz! Uciekałem tak, ducha w sobie nie czując, aż przybiegłem wreszcie do jakiejś karczmy. Było w niej ciemno i pusto zupełnie. Położyłem się w kącie, zamknąłem oczy i starałem się usnąć; wtenczas przyszedł do mnie nieboszczyk mój dziadek, rebe Senderił, (niech spoczywa w pokoju) bardzo smutny, z załzawionemi oczami i rzekł: — Senderił, dziecko moje, nie śpij, jeżeli ci Bóg miły, wstawaj Senderił! wstawaj i uciekaj ztąd pókiś cały, uciekaj gdzie cię oczy poniosą, albowiem grozi ci wielkie niebezpieczeństwo! Usłyszawszy te słowa z ust dziadka, który mnie bardzo kochał, chciałem natychmiast pójść za jego radą i uciec, uciec daleko; ale stało się nieszczęście, nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą... Zaczęło mnie to niepokoić... spojrzałem po sobie, bo się już jakoś rozwidniać zaczęło i oniemiałem z rozpaczyl... bo, wiesz Beniaminie, ja już nie byłem Senderił! nie! ktoś mnie oczarował i przemienił, za pozwoleniem, w... żydówkę!

— Dziwny zaprawdę sen — mruknął Beniamin.

— Oj dziwny, dziwny i przykry. Ja sam nie wiedziałem co się zemną dzieje? Oj, do czego ja byłem podobny?

miałem na głowie „a kopke“ (czepek nocny), kaftan i spódnicę... twarz moja zrobiła się gładka, bez brody—ale co gorsza, że czułem się na zdrowiu jakoś dziwnie, szczególnie, i zdawało mi się że mam jakieś osobliwsze kaprysy i zachcenia... Tego już zanadto doprawdy!! przemienić nabożnego człowieka w żydówkę, to widocznie sztuczka szatańska. Chciałem się wyrwać ztamtąd — drzwi zamknięte; próbuję otworzyć, nie sposób. Wreszcie pod silnym naciskiem drzwi ustąpiły i wpadłem do jakiejś pieczary, pełnej zbójców... Jeden z tych morderców z błyszczącym nożem w ręku zbliżył się do mnie—inni powalili mnie na ziemię... widziałem że przyszła ostatnia moja godzina! Gdy uczułem już zimne ostrze na gardle, krzyknąłem strasznie... otworzyłem oczy i, na szczęście, przekonałem się że to był tylko sen, okropny sen. Ty już wtenczas stałeś przy mnie Beniaminie.

— Spluń, Senderił, spluń trzy razy!— poradził swemu przyjacielowi Beniamin—i wyrzucił całkiem z głowy ten sen, a oprócz tego, wstań, ponieważ już widno jest i odmów kilka psalmów, to cię uspokoi.

Senderił, jeszcze pod wrażeniem straszliwych snów i przywidzeń, jęcząc i stękając, podniósł się ze swego posłania, obmył ręce, włożył na siebie hałas i wziął do ręki psalterz przetłumaczony na żargon. Wynałazł psalm dziesiąty i zaczął go odczytywać smutnym i płaczliwym głosem:

„Wi a lejb in zajn nore lejert ojch er  
 „er lejert cuhapen dem ormen aher,  
 „derlangt dem ormen szejn taki a hap,  
 „abi mit zajn nec a ci nor a klap“ \*).

---

\*) Powyższe kilka wierszy przytoczyłem w oryginale, ażeby dać czytelnikom próbkę żargonu żydowskiego. Jest to wyjątek z X psalmu Dawida (w. 9, 1<sup>a</sup>), w którym zawiera się błaganie o pomoc przeciw wrogom. W pięknym, rymowanym przekładzie polskim, Kazimierza Bujnickiego (wydanym w Toruniu w roku 1878) wyjątek ten tak brzmi:

Gdy Senderił odmówił kilka razy psalm, zrobił się już dzień na piękne i wszyscy, którzy nocowali w stancyi, zaczęli wstawać. Wielki, jak kocioł samowar gotował się i buchał kłębami pary, i niedługo też wszyscy zabrali się do picia herbaty. Beniamin i Senderił dostali także po szklance gorącego napoju, który ich rozgrzał i orzeźwił.

Stancya, która była przed chwilą sypialnią, wnet przemieniła się w małą bóżniczkę.. Każdy zawinął rękawy i ukazały się obnażone ręce żydowskie, gładkie, kosmate, tłuste, chude, białe i ciemne. Wszyscy włożyli na siebie „tales i teflim“ i oddali się modlitwie.

Nasi wielcy podróżnicy modlili się ze szczególnym zapalem, z gestykulacją, z westchnieniami, z płaczem, istotnie jak przystoi złamanym, zgnębnym żydom...

Błagali oni Pana świata, wołając:

— „Tatuniu! foteruniu!“ (ojcze) a płakali przytem i modlili się goręcej niż wszyscy.

Po modlitwie, poczęstowano ich kieliszkiem dobrej wódki, z życzeniem zdrowia („lechaim“). Nasi podróżnicy znaleźli się bardzo grzecznie i jak przystoi na delikatnych ludzi, życzyli wszystkim obecnym „lechaim“ i winszowali im, aby Najwyższy zmiłował się już nad całym Izraelem, rozproszonym po świecie. Przytem oczy obecnych zasły łzami, co dowodziło najwymowniej że to nie byli zwyczajni,

- 9) „Jak lew w swojej jamie  
 „Czyha na zdobycz, aż biednego schwyta,  
 „Bo żądza łupu nigdy w nim nie syta  
 „Przemyśla tylko jak biednego złamie.

- 10) „Lecz gdy to w ludzkiej postaci straszycło  
 „Mnóstwo nieszczęśliwych ułowi w swe sidło,  
 „Schyli się, padnie i rzece szalony:  
 „Bóg mnie zapomniał i twarz swą odwrócił!... etc.

Dodaję że przekład Bujnickiego nie jest dosłowny.

ordynaryjni żydzi, lecz nabożni, czyści, piękni synowie Izraela. („frume, koszere, szajne juden“).

Jeden z tych pięknych i nabożnych żydków, poszedł zaraz po modlitwie do miasta i zabawił tam kilka godzin. Gdy powrócił, radość jaśniała na jego twarzy, szepnął coś drugiemu żydowi do ucha i obadwaj widocznie byli bardzo uszczęśliwieni. Kazali nakrywać do stołu, a tymczasem myli ręce, przyjrawszy się przedtem nader uważnie, czy kwarta, z której leli wodę, nie była przypadkiem uszkodzona, lub dziurawa \*). Zaprosili też bardzo grzecznie naszych wędrowców, aby ci również umyli ręce i zasiedli do stołu!

Przy obiedzie było bardzo wesoło, wszyscy jedli z wielkim apetytem i chwalili gospodynię, za to że przyrządza doskonale potrawy. Później puszczono się na obszerniejszą rozmowę: mówiono wogóle o żydach, że już jest wielki czas aby się ich tułactwo skończyło, bo i za cóż taki naród! (taki drogi, wybrany naród!) ma tułać się po świecie i cierpieć rozmaite przykrości? Zaczęli wychwalać pod niebiosa przymioty Izraela, wysokie zdolności głów żydowskich, bo i czegoż to żydzi się nie nauczą, czego dokonać nie potrafią?! Wszystkie przecież mądrości, z których współczesny świat tak bardzo się szczyci, znane już były oddawna, i wynalezione przed wiekami jeszcze przez żydów! a to co dziś widzimy i czemu ludzie dziwią się tak bardzo, to wcale nowością nie jest. Przed potopem jeszcze wszystko to było!...

---

\*) W tych kilku słowach mieści się głęboka ironia; ów żyd bowiem, który tak troskliwie zagląda w kwartę, obawiając się aby przypadkiem nie mył rąk wodą z uszkodzonego naczynia, co wedle przekonań zacofańców czyni ablucyę nieważną—jednocześnie knuje przeciwko Beniaminowi wielką zdradę, co się w dalszym ciągu opowiadania szczegółowo okaże. Zestawienie tak drobiazgowego wykonania obrzędu religijnego z czynem nieszlachetnym, w jaskrawem bardzo świetle maluje charakter człowieka, który nie jest przedstawiony w opowiadaniu jako wyjątek, lecz nosi na sobie cechy charakteru jednostki przeciętnej.



Rozmawiano tam również szeroko i długo o „apikoresach“ (bezbożnikach i heretykach), o różnych modach dzisiejszych, powstawano przeciwko szkołom, zapomocą których rozprzestrzeniają się tylko „trefne“ książki, przeciwko szkołom, w których dzieci siedzą bez czapek i uczą się różnych świeckich rzeczy, nie mających związku z uczonością religijną.

— Aj ładny, ładny teraz świat, nie ma co mówić! — wzdychając rzekł jeden z gości, — niedługo tu, żeby dukata złotem zapłacił, nie znajdzie takiego, któryby potrafił przeczytać porządnie rozdział „Miszne“ (część Talmudu), ale „proszenje“ to ci lada żydziak za dziesiątkę napisze...

— Aj, aj, dalibóg, ładny dziś świat, ładny świat, żeby nasze wrogi we wszystkim taką ładność mieli!...

Tak rozmawiając o różnych przedmiotach, biesiadnicy wzięli się z kolei do kwestyi podróży naszych znakomitych wędrowców.

— Winszujemy wam, kochani bracia — mówili, — żeście podjęli myśl tak znakomitą, której Bóg zapewne pobłogosławi... nie ulega kwestyi, że dojdziecie do celu szczęśliwie i że wam świat wiele, a wiele, zawdzięczać będzie.

Beniamin był w siódmym niebie od takiego honoru, jaki mu w obcym mieście wyświadczone, a że przytem był cokolwieczek cięty, delikatnie powiedziałwszy, przeto stał się niezwykle wymownym i opowiadał o najrozmaitszych kwestyach. Słuchano go z wielką uwagą i nikt nie przerywał tej mowy.

— Wiecie co, rebe Beniamin, rebe Senderi! — odezwał się żyd, który chodził przed obiadem do miasta, — wstańmy już od stołu. Przytem, trzeba wam wiedzieć, że my jesteśmy sobie otwarci ludzie, prości żydzi, bez żadnych fanaberyj, bez figlów; żyjemy tak jak nas nauczyli przodkowie i dla tego mamy zwyczaj zawsze po podróży chodzić do łaźni, wy-

parzyć trochę kości. I was także, reb Beniamin, reb Senderił, zapraszamy ze sobą, tam wam przystrzygą troszkę włosy, ale nie dziwcie się, u nas taka moda; co kraj to obyczaj, moi kochani. Nie dajcie się prosić, wyjdziecie ztamtąd odmłodzeni, odświeżeni, zupełnie jak inni ludzie--a potem, po łaźni, weźmiemy się do interesów. To będzie poprostu, po żydowsku, będzie dobrze. To nie będzie po nowomodnemu, gdyż u „apikoresów“ chodzić do łaźni nie uważa się za rzecz piękną, ale my, my nie jesteśmy wcale „a gebulbete“ \*), my chcemy tak żyć, jak nas dziadkowie nasi nauczyli...

To przemówienie odrazu trafiło naszym podróżnikom do serca, gdyż łaźnia dla żyda jest przedmiotem szczególniej ponętym. Woda dla kaczki, lub gęsi, karczma dla chłopa, mają zawsze urok; lecz sto, tysiąc razy większy urok ma łaźnia dla żyda. Rozkoszy jakiej żyd w łaźni doznaje, niemoże odczuć, ani zrozumieć żaden naród, rozkosze te bowiem są dwojakiej natury, i fizyczne i moralne. Tu czuje on przedsmak szabasu i innych świąt uroczystych, tu krzepi ciało i ducha, tu rozmawia o wyższych zagadnieniach naukowych, o kwestyach filozofii, życia społecznego, polityki całego świata etc.

Proszę widzieć żyda, kiedy w wieczór piątkowy przed szabasem, idzie z łaźni do domu. Jest on rzeświejszy, silniejszy, prawie młodszym się staje. Ryba nadziewana i przypieczony „cymes“ pachną mu wtedy, jak najwonnejsza myrrha i kadzidło. W piersiach jego zamieszkuje radość i wesele, on wtenczas śpiewa, nuci „Szir ha szirim“ (Salomonowa „Pieśń nad pieśniami“), lub też przywołuje do siebie

\*) Naumyślnie przekręcony przez zacofańców niemiecki wyraz „gebildete“ (oświeceni).

dzieci i pieści się z niemi, albo też zamysła się i imaginacya unosi go w inne zupełnie światy.

Do łaźni spieszy żyd, jak do ojczyzny, jak do wolnego kraju, w którym jednakowa para ogarnia wszystkich, w którym każdy ma prawo zasiąść na najwyższym miejscu, wdrapać się na ostatnią ławkę, gdzie „połne sobranje“ odbywa swe posiedzenia. On tam śpieszy i dąży aby wypocząć, wyprostować kości, zrzucić z siebie, na godzinę chociaż, brzemień kłopotów i trosk.

Takie to wielkie znaczenie ma łaźnia dla żyda, taką ważną w życiu jego gra rolę!

Dlatego też zamiar udania się do łaźni, osobiwie przypadł wędrowcom naszym do gustu; nie robili oni wielkich przygotowań, i udali się do miasta w towarzystwie tych dwóch zacnych i gościnnych żydów, którzy z taką serdeczną uprzejmością przyjęli ich na swój wóz, zawieźli do Dnieprowic i na każdym kroku wyprawiali im uczyty i owacye.

Naturalnie, w towarzystwie tak miłych i uprzejmych ludzi—łaźnia jeszcze miłszą się wyda! Beniamin i Senderik szli tedy rozpromienieni, weseli, szczęśliwi jak nigdy. W żadnem jeszcze mieście, nie spotykało ich tyle gościnności, tyle zaszczytów! Ani przez chwilę nie pozostawiono ich samych, zawsze znajdowali się w towarzystwie, w otoczeniu. Zdawało się że grzeczni żydzi dniewprowscy starają się oto, aby tak wielcy podróżnicy mieli obok siebie nieustannie wartę honorową.

Samo też miasto Dnieprowce piękne, błyszczące, wyglądało jakby odświętnie, uroczyscie. Szerokie ulice, wysokie domy, chodniki! Cóż w porównaniu z tem znaczy marna jakaś Tuniejadówka, a choćby nawet Głupsk, przez indyjskich żydów założony, na malowniczych brzegach rzeki Gniłki!

Beniamin i Senderik rzucali ciekawie oczami, chcąc

dojrzeć łaźnię. W prostocie ducha, wyobrażali oni sobie że to będzie zwyczajna łaźnia, jak w małych miasteczkach żydowskich. Zdawało im się, że gdzieś na uboczu, znajdą drewniany budynek, czarny, zakopcony z wierzchu, z ogromną kałużą przed samym progiem, którą trzeba przebywać po niepewnej, trzęsącej się kładce...

Tak sądzili w prostocie ducha, czemu wszakże nie należy się dziwić, gdyż tak w rodzinnem miasteczku, jakoteż i w czasie swych sławnych podróży, nigdy nie spotkali in-szej łaźni. Wszystkie, jakie widzieli, były jednakowo zakopcone, niepozorne i brudne.

Tymczasem, gościnni i nabożni żydzi przyprowadzili ich do wielkiej trzypiętrowej kamienicy, w samym środku miasta—i powiedzieli swym drogim gościom, że to właśnie łaźnia.

Beniamin i Senderił spojrzeli po sobie, zadziwieni niezmiernie.

— To ma być łaźnia żydowska? w tym pałacu?

Powiedziano im że tak jest, — albowiem w tem mieście każda rzecz jest porządniejsza i piękniejsza o wiele aniżeli gdzieindziej.

— Znać, rebe Beniamin—rzekł jeden żyd—że jeszcze jesteś wielki fryc, kiedyś takiej łaźni nie widział; ale pofatygujcie się wejść do środka, tam dopiero zobaczycie coś niezwykle pięknego!

Wszedłszy do przedsionka, ujrzeni ze zdumieniem błyszczącą froterowaną posadzkę, a na niej ścieżki ułożone z wązkich dywaników. Pomysłili, że to musi być jakiś zaczarowany zamek, jeden z tych, które malowniczo są opisane w powieściach arabskich, lub w bajkach z tysiąca jednej nocy... Któż wie? może niedługo otworzą się drzwi skryte i z nich wysunie się cały szereg zaczarowanych królewien i księżniczek, które przywitają wędrowców i zaczną im przy-

grywać na zaczarowanych instrumentach. Nie otwarły się jednak skryte drzwiczki, książniczki przez czarowników uspięne nie przebudziły się jeszcze, natomiast ukazał się żołnierz z bronią w ręku—i kazał się Beniaminowi i towarzyszowi jego rozbierać.

— Rozbierzcie się, reb Beniamin, reb Senderił, bądźcie łaskawi, — mówili nabożni i grzeczni żydzi, — my zaś tymczasem pójdziemy zapłacić za bilety. Tu u nas taki zwyczaj, że się do łaźni bilety kupuje...

— Dobrze, a wy?

— My przyjdziemy do was z biletami. Nie bójcie się, nic nie szkodzi. Ten żołdat zaprowadzi was do samej łaźni. Aj, aj, co to za łaźnia! jaka łaźnia! pewnieście takiej jeszcze nigdy w życiu nie widzieli.

— No, no, będziemy czekać na was...

— Nie czekajcie, idźcie za żołdatem, on was zaprowadzi... Śliczna łaźnia, będziecie się w niej dobrze pocić!...

Gdy Beniamin ze swym towarzyszem rozebrali się, chcieli wziąć z sobą gardorobę i bieliznę, lecz żołnierz był tak grzeczny że nie pozwolił im fatygować się samym, lecz wziął tłomoczek, a zachwyconych tą uprzejmością gości poprosił do sąsiedniego pokoju.

Dziwna to była łaźnia! Na środku stał wielki stół pokryty suknem, dokoła stołu zaś krzesła, na których siedzieli bardzo ładnie ubrani panowie.

Beniamin i Senderił oglądali się na wszystkie strony: cóż to za osobliwsza jakaś łaźnia, bez żydów? Wreszcie obecność tych elegancko ubranych panów żenowała ich nieco; bądź co bądź byli przecież w adamowym stroju.

Beniamin szturchnął swego giermka w bok i polecił mu ażeby, jako znakomity lingwista, zasięgnął języka i dowiedział się nareszcie, któremi drzwiami wchodzi się do łaźni... do prawdziwej łaźni, gdzie jest gorąca para.

Senderił przystąpił do jednego z panów siedzących przy stole i z wielką grzecznością i uszanowaniem, zapytał:

— Cy tut żydowski bania?

Na to zapytanie ów pan wstał i zaczął się przypatrywać obudwom żydkom, których ciała były istotnie godnymi uwagi okazami. Wysehłe i chude, sama skóra i kości... Ów pan wszakże przyglądał im się bardzo szczegółowo, i zapytał o coś po rosyjsku.

— Ha? co on mówi? Senderił! co on takiego mówi?— zapytał Beniamin.

— Co on mówi? albo ja wiem co on mówi? — odpowiedział Senderił wzruszając ramionami. Nie rozumiem ani jednego słowa, słyszę tylko że powtarza ciągle: bilet, bilet! djabli wiedzą jakiego biletu on chce?

— Oj głupi! głupi!—odrzekł Beniamin, — jaki ty jeszcze jesteś głupi mój Senderił! przecież to jasne, on pyta nas czy mamy bilet do łaźni, bo przecież do takiej łaźni to się tak nie przychodzi poprostu, tylko z biletem... Wytłomacz-że mu jasno, że tamci żydzi naprzód już zapłacili za nasze bilety, że zgóry już zapłacili, powiedz mu to Senderił wyraźnie i niech nas już raz wpuszczą do łaźni—po co mamy tu stać?

Senderił zaczął mówić, jękając się:

— Jakże, panie? tyje żydki uże dali za... za... — nie mógł wymówić za co, wyraz bilet w szczególny sposób uwięztał mu w gardle i nie mógł się ztamtąd wydobyć.

Niecierpliwy z natury Beniamin, nie mógł wytrzymać, wtrącił się do rozmowy:

— Za bilet, panie, sztajcz... żydki panie, lehawdił (nieprzymierzając) zapłacił... — rzekł w swoim własnym języku, dobitnie i jasno.

Ów pan popatrzył przez chwilę na naszych sławnych

podróżników, potem skinął ręką i weszło kilku ludzi, którzy zaprowadzili ich do drugiego pokoju.

Żydzi dotrzykali słowa. Biedny Beniamin! biedny Senderi! jeszcze w życiu swoim nie widzieli takiej łaźni i nie przechodzili takich potów śmiertelnych! Posadzono ich na bębnie... zgrzytnęły nożyce, brzytwa ślizgała się po ich namydlonych fizyonomiach...

Bródki i pejsy przepadły!...

Nie bez kozery dziadek Senderiła, reb Senderi! (niech odpoczywa w pokoju) ukazał się wnuczкови swemu we śnie i mówił: uciekaj, uciekaj Senderuniu, gdyż niebezpieczeństwo ci grozi...

Groziło ono istotnie—i oto, niespodzianie, dwaj wielcy wędrowcy, przemienili się w wielkich rycerzy.

Wzięto ich do wojska.

Należy tu wtrącić kilka słów objaśnienia.

Bohaterowie powiastki Abramowicza, puścili się w wielką podróż w epoce, w której odbywała się wojna krymska. Ówczesny system brania rekrutów do wojska był zupełnie inny, aniżeli dzisiejszy, a czas służby wojskowej był dwudziestopięcioletni. Człowiek, którego brano jako rekruta, miał bardzo małą nadzieję powrotu do domu i do stron rodzinnych—to też wyraz „pobór“ przerażał wszystkich. Dla żydów, nieodznaczających się, jak wiadomo, wojowniczym duchem, ewentualność noszenia karabina była jeszcze straszniejszą; wykręcali się też od niej jak piskorze, nie szczędząc na to sprytu, stosunków i pieniędzy. Bywały jednak sytuacje, w których sposoby pomódz nie mogły. Ludność żydowska danego miasta musiała złożyć „podatek krwi“, a obowiązek dostarczenia rekrutów spoczywał na gminach żydowskich, które miały swój odrębny samorząd.

Naturalnie, działały się przytem niemałe nadużycia. Wielcy „fajneberie“ zarządzający sprawami żydowskiemi, członkowie kahałów, oszczędzali bogatszych; w „rekruty“ zaś oddawali biedaków bez dachu i chleba, głupowatych, pozbawionych wszelkich środków egzystencji. Armia nie miała z tych rycerzy wielkiego pożytku, ale literze prawa stało się zadość, żądana ilość rekrutów była dostarczona. Oprócz tego, chwymano się jeszcze innego środka; ażeby ocalić bliższych poświęcano dalszych, i w tym celu odbywały się formalne polowania na żydów obcych, włóczęgów, nie posiadających dowodów legitymacyjnych etc. Skoro udało się żydom pojmać takiego nieposiadającego pasportu współwyznawcę, oddawali go zaraz do wojska, na rachunek swego miasteczka.

W podobnem położeniu znaleźli się też nasi znajomi, panowie Beniamin i Senderił.

Nieszczęście spotkało ich pod miastem Głupskiem, w przeddzień puszczenia się w podróż aż na ocean, po leniwie płynących falach rzeki Gniłki... Jadący na furze żydzi, zamieniwszy tylko kilka słów z naszymi podróżnikami, natychmiast powzięli względem nich plan, wykonany, jak czytelnikom wiadomo, z pewną przebiegłością dyplomatyczną.

Beniamin, uczony Beniamin i jego wierny towarzysz Senderił, ani przypuszczali nawet, że pod płaszczykiem uprzejmości i gościnności niepraktykowanej, kryje się czarna zdrada.

Ufający i łatwowierni wpadli w zasadzkę—a skutkiem tego w podróży ich, przybył jeszcze jeden, nadprogramowy etap, który dostarczył im wiele wrażeń, ale bardzo mało rozkoszy...

Abramowicz nie kusi się nawet o opisanie wrażenia, jakie „łaźnia“ w Dnieprowcach na nich wywarła. Słuchacz musi to sobie w duszy dośpiewać. Przeniesiono ich nagle



w inny świat, w inne otoczenie, pozbawiono przyrodzonych ozdób twarzy, jako to bród i pejsów; zdjęto z nich odświętne kapoty i jarmułki, a natomiast kazano im włożyć grube płaszcze żołnierskie i okrągłe czapki bez daszków, kazano im maszerować w szeregu — im! ludziom mądrym, poważnym, powołanym do wyższych celów!

Ze strony dniewprowieckich żydów była to szpetna zdrada i oszukaństwo, i Beniamin w swoich pamiętnikach szeroko się o tem rozpisuje, traktując ów fakt, jak na uczonego człowieka przystało, to jest: tak i przeciwnie i jeszcze raz przeciwnie, i tak — i znowuż naodwrot. Za pomocą bowiem takiej metody jedynie, kwestya daje się należycie wyjaśnić.

Bądź co bądź, fakt się stał, a Beniamin i Senderił, zupełnie nagle, niespodziewanie, wbrew swoim zamiarom i projektom, pasowani zostali na rycerzy.

Początki stanu rycerskiego nie były rozkoszne, gdy bowiem po kilku godzinach pobytu w fatalnej „łaźni“, wyprowadzono ich na ulicę, byli tak zbiedzeni i smutni, tak zawstydzeni i pogiębieni strasznie, że opisać tego nie sposób. Powierzchność ich również zmieniła się nie do poznania.

Ogoleni, bez bród i pejsów, patrzyli dokoła pełnym przerażenia wzrokiem, a grube krople zimnego potu wystąpiły im na czoła...

Szli smutni, zgiębieni, dreszcz wstrząsał ich ciałem.... Otaczała ich gromadka żołnierzy, z bronią na ramieniu....

Na niebie zaczęły się gromadzić ciężkie, czarne chmury... błyskawice przebiegały po niebie co chwila, pioruny z przerażającym rykiem przerzynały powietrze i przejmowały wszystkich trwogą. Zerwał się wichur, jaki zwykle pa-

nuje przed burzą, zawył, zaskowyczał, zakreślił się w tańcu djabelskim i podnosił słup kurzawy, którym wywijał i kręcił jakby dla zabawki. To znowuż podniesiony słup pyłu opadał, a wichur w szalonym impecie zmiatał z ulic piasek, kawałki słomy, papieru i sypał niemi w oczy przechodniów. Wszystkie śmiecie uliczne wirowały, jak w szalonym tańcu czarownicy, a grzmoty huczały strasznie, coraz straszniej... Z pół uciekało bydło w szalonym pędzie, jakby gnane przez stado zgłodniałych wilków.

Była straszliwa burza, błyskawice, grzmoty i pioruny szalały ponad ziemią, a ludzie drżeli, sądząc że Najwyższy za grzechy ludzkie, chce rozbić na szczerą nędzną ziemską skorupę.

Nareszcie rozległ się grom najstraszniejszy ze wszystkich, a jednocześnie z ciężkich chmur lunął deszcz gruby, kroplisty, który zwiększał się ciągle i zamienił w ulewę.

Z deszczem tym mieszały się krople potu i łzy krwawe naszych biednych, nieszczęśliwych bohaterów („nuzere bidne, umglikliche parszejnen“)...

Dokąd szli teraz? nie wiedzieli zupełnie, patrzyli z przerażeniem na błyskawice i na otaczające ich bagnety żołnierzy, mokli na ulewnym deszczu i z trudnością trzymali się na nogach, które się chwiała pod nimi...

— Och! Beniaminie uczony i mądry! O dobroduszny Senderuniu! nie wiedzieliście jeszcze dotychczas że nie tylko w pustyniach są straszliwe żmije, jaszczurki, „pipernotery“ i inne dzikie drapieżne stworzenia; niewiedzieliście biedacy, że tu w tej okolicy, gdzie was przyjmowano z takim honorem i gościnnością, groziło wam niebezpieczeństwo największe.

Czas, w którym podróżnicy nasi puścili się na wędrówkę, był to ciężki, ciemny, gorzki czas... żyd czaił się aby złapać drugiego żyda:

„wi a lejb in zajn nore gelejert hot ajch er,  
„gelejert cuhapen dem „bezpaspornne“ aher!“

Ścigał i łapał współwyznawcę swego, aby go oddać  
na ofiarę za swoje dziecko, lub za dziecko swych bliższych.

Beniamin i Senderił nie wiedzieli o tem, że znajdują  
się w pustyni, między potwornemi bestyami, zwierzętami  
dzikimi—i że „piękni, nabożni, koszerni żydzi“ są bardziej  
żarłocznymi niżli sam „Pipernoter“!

## IX.

Po dość długiej wędrówce, Beniamin i Senderik przybyli na miejsce przeznaczenia i osiedlili się w koszarach.

Łatwo sobie można wyobrazić, że położenie nowokreowanych wojowników nie było godnem zazdrości.

Uśmiech nie zagościł na ich twarzy, byli posępni i smutni.

W pierwszych szczególniej chwilach pobytu swego w wojsku, chodzili oni jak błędni i niewiedzieli co się z nimi stało? co się dzieje? Wszystko dla nich było nowem, obcem, nieznanem i niezrozumiałem, a zgoła niepodobnem do otoczenia, w którem wychowali się i wzrosli. Obcemi dla nich były koszary i żołnierze i język; obcem i zupełnie niezrozumiałem to, co im robić kazano.

Nawet powierzchowność ich stanowiła rażący kontrast z całym otoczeniem. Szynel wisiał na nich jak torba i wyglądał raczej jak „jupe“ (spódnica), aniżeli jak strój żołnierski, czapka zaś, na ich głowach, podobną była do nocnego czepka.

Wyglądali oni jak komedyanci, którzy przebrali się naumyślnie, ażeby wysmiewać żołnierzy. Biada była także tej broni, która dostała się w ich ręce. Traciła ona zupeł-

nie swój charakter i wyglądała jak kociuba, w ręku mężczyzny uwijającego się koło przypiecka...

Podczas musztry wyrabiali oni takie pocieszne sztuki rękami, nogami i bronią, że patrząc na to trzeba się było pokładać ze śmiechu. Rzecz naturalna, że w takich warunkach obadwaj żydkowie nie mieli szans zrobienia wielkiej kariery w zawodzie militarnym — przeciwnie, spadały na nich częste, bardzo częste kary...

Gdy ptak bujający na swobodzie, wpadnie w sidła i dostanie się do klatki, w pierwszych dniach rzuca się, nie je, nie pije i usiłuje wydobyć się na wolność. Później, zobaczywszy że usiłowania jego są nadaremne, zaczyna godzić się z losem, a jeszcze później, już oswojony z zamknięciem, śpiewa i trzepocze się tak, jak gdyby w klatce na świat przyszedł i po za nią nigdy nic nie widział i nie znał. Takie są zazwyczaj dzieje drobnych ptaszków, zapędzonych przez złe losy w sidła i osadzonych w klatce.

Podobne koleje przechodził także Senderik. Jako człowiek zadziwiająco zgodnego charakteru, po niejakiem czasie oswoił się z myślą że jest żołnierzem; przytem, zmysł praktyczny wskazywał mu, że jeżeli za złe mustrowanie się biją i wsadzają na odwach, to—chcąc uniknąć odwachu i bicia, trzeba się dobrze mustrować.

Odkrycie to, proste, jak wszystkie wogóle wielkie odkrycia na świecie, utkwilo mu głowie, jak gwóźdź w ścianie. Postanowił nauczyć się dokładnie sztuki maszerowania, trzymania się prosto i wyrabiania różnych manewrów ciężkim karabinem, który brał do ręki z niedowierzaniem pewnym i obawą.

Chcąc nabrać umiejętności wymienionych powyżej, Senderik cały swój wolny czas poświęcał odpowiednim ćwiczeniom. Od samego rana wprawiał się w maszerowanie i

robienie bronią, ku wielkiej ucieście żołnierzy, którzy śmieli się do rozpuku, patrząc na jego ciężką pracę...

Istotnie zabawnie było patrzeć, jak wszystkie ruchy i obroty wykonywał na swój sposób.

Wyciągał się i wyprężał jak struna, zadzierał głowę, nadymał policzki jak bohater, podnosił nogi do góry i maszerował poważnie, nadęty jak indyk, komenderując sam sobie donośnym głosem:

— Prawo! lewo! lewo! prawo! mars!.. mars!

Przy tych eksperymentach zdarzały mu się wypadki, nogi wyciągane i wyprężane jak druty, zaplątały mu się nieraz w długich połach szynela—i bohater o nadętych policzkach i zadartej głowie, padał jak długi na piasek, wypuszczając ciężki karabin z dłoni.

Niepowodzenie nie zrażało go wszakże, podnosił się znowuż—i znowuż padał i znowuż maszerował tak zawzięcie, jak gdyby mustra była jego najulubieńszem zajęciem.

— Prawo! lewo! mars! stój! — wykrzykiwał nieustannie, chodząc aż do zupełnego zmęczenia.

Beniamin miał na sprawy militarne całkiem odmienne poglądy i na żaden sposób nie mógł się zaaklimatyzować w koszarach. Nic dziwnego, Senderił był sobie zwyczajny ptaszek i łatwo się z klatką oswajał; Beniamin zaś należał do gatunku wielkich ptaków wędrownych, które co pół roku zmieniają miejsce pobytu i dążą do odległych ciepłych krajów... Gdy taki ptak dostanie się do klatki, to żyć mu nie sposób, przestaje jeść i pić, macha rozpaczliwie skrzydłami i rzuca się na ścianę, szuka szpary, przejścia, przez które mógłby się na świat wydobyć.

Tak też i Beniamin szamotał się rozpaczliwie, myśl o dalszej podróży uczepiła się go jak pijawka i niedawała mu ani chwili pokoju.—W drogę, w drogę! mówił ciągle do

siebie — a we śnie widywał jakieś postacie i słyszał głos wołający:

— Dalej! dalej Beniaminie, wstawaj i idź dalej!

Zima przeszła jeszcze jako tako, ale gdy wiosenne słońce zaświeciło, gdy dni były już jasne i ciepłe, wielki podróżnik o mało nie szalał z rozpacz.

Pewnego razu, w piękny dzień wiosenny, jakoś po uroczystościach pamiątki wyjścia z Egiptu, kiedy Senderił jak zazwyczaj ćwiczył się w maszerowaniu i robieniu bronią, przyszedł do niego Beniamin i rzekł:

— Senderił! Senderił!

— Co? — zapytał zawzięty wojownik, maszerując ciągle.

— Stańże raz! chcę ci coś powiedzieć...

Senderił zakomenderował sobie „stój“ — i zatrzymał się przed swym towarzyszem, wyprężony jak struna.

— Pfe! pfe! Senderił — rzekł Beniamin z goryczą i wyrzutem — pfe! (żebyś tak zdrow był) bawisz się i wyrabiasz takie figle, jak siedmioletni dzieciak! Pfe! pfe! I powiedz mi proszę, do czego to prowadzi? jaki ma cel? Nie zapominaj że przecież jesteś, dzięki Bogu, żonaty, poważny, dzieci masz, a przytem jest także z ciebie kawalek żyda — i ty! ty! zaprzątasz sobie głowę takimi pustymi rzeczami! Zastanów się tylko nad czem ty pracujesz? i powiedz czy to nie jest zupełnie wszystko jedno: czy zrobić „na prawo krugom!“ czy na lewo „krugom!“? Czy tak, czy tak, to zawsze będzie „krugom,“ a ty sobie nad tem głowę łamiesz!... Pfe Senderił! pfe! dzieciak z ciebie! (żebyś tak zdrowie miał!).

— Alboż ja wiem? zresztą co mi tam do tego? każą na lewo, niech mają na lewo; każą „na prawo krugom“ niech będzie „prawo krugom“... niech ich djabli wezmą!...

— A nasza podróż? Senderił, podróż nasza! czy zapomniałeś już o niej? Gwałt! nasza podróż, tam, tam da-

leko... gdzie „Pipernoter“! gdzie „lindenworim“! — wołał wzburzony Beniamin.

— Mars! mars! mars!—zakomenderował sobie Senderił i podniósł nogę do góry.

— Biada! biada tobie i marszowi twojemu, Senderił, pfe! powinienes się wstydić tych głupstw! (żebym tak zdrowie miał). Powiedz mi oto lepiej, ty łobuzie, co będzie z naszą podróżą? czy pójdziemy w dalszą drogę, czy nie?

Senderił nie dał długo czekać na odpowiedź.

— Co się mnie tyczy, to i owszem—ja mogę iść choćby i dzisiaj—zaraz nawet; nie wiem tylko czy oni nas puszcza? ale zdaje mi się że chyba nie...

— Słuchaj Senderił, pomówmy o tem poważnie. Co oni mają z nas? na co my im się przydamy? czy my zdadni jesteśmy do takich interesów, jakimi oni się trudnią? Powiedz sam Senderił, na twoje żydowstwo, czy gdyby na przykład (czego Boże uchowaj) przyszedł nieprzyjaciel, czy moglibyśmy stanąć naprzeciwko niego?

— Mnie się zdaje że nie...

— No widzisz... a gdyby on przyszedł i tybys powiedział do niego:—idź precz, uciekaj! bo jak nie, to zrobię do ciebie pif! pafl—to myślisz? że on tak się ciebie zaraz, akuratanie posłucha?

— Po co on ma się mnie słuchać?

— Nie posłucha z pewnością; będzie to nawet wielkiem szczęściem, jeśli cię żywego z rąk wypuści... Aj! aj! wierz mi Senderił (żebym tak zdrowie miał) jak oni sami chcieliby się nas pozbyć. Mnie się zdaje żeśmy się im sprzykrzyli; sam słyszałem jak „starsi“ (oficerowie) mówili między sobą na mustrze: kara Boża z tymi żydami! żeby już ich raz licho ztąd wyniosło! Ja myślę Senderił, że oni z wielką chęcią wypędziliby nas do wszystkich djabłów. Dalibóg, ja tak myślę, Senderił.



— Dlaczego nie? niech oni nas wypędzą! myślisz Beniaminie żebym płakał?

— Nie, nie, Senderi! ja ci powiem jasno, że to z samego początku był nieczysty interes, całkiem krzywa rzecz... Zrobiła się tu bardzo niestosowna partya—ale rozpatrzywszy się dobrze, można się przekonać, że i myśmy temu nie winni i oni nie winni. Wszystkiego złego narobili dniprowieccy żydzi—oni i nas oszukali i wojsko także oszukali...

— Aj, aj, i jak oszukali!—powtórzył Senderi!

— Ja teraz domyślam się jak to było... Ci żydzi, którzy oddali nas w ręce żołnierzy, musieli nagadać oficerom, że my jesteśmy „dzicy bohaterowie“ (a wilde gibejrim) i bardzo odcytani w dziełach strategicznych, że znamy się na tem. . Cóż my winni jesteśmy, że ich tamci żydzi brzydko oszukali? Nas oszukali oni jeszcze gorzej, jeszcze paskudniej! Mówię ci Senderi!, że najlepiej zrobimy, jak porzucimy cały ten interes i pójdziemy sobie w dalszą drogę... A jak pójdziemy, to kto będzie winien? yuści nie my i nie wojsko, bo my jesteśmy oszukani i wojsko jest oszukane... winni będą tylko tamci żydzi, łapserdaki, gałgany! niegodziwcy! Nas okłamali że będzie łaźnia; oficerów okłamałi, obiecawszy im że się od nas strategii i sztuki wojowania nauczą. Ci żydzi! żydzi, Senderi! są winni! żydzi i jeszcze raz żydzi!

— No -- ale nareszcie coś ty myślisz zrobić Beniaminie?

— Ja nie chcę nic zrobić, tylko pragnę puścić się w dalszą podróż... Myślę że nie będą tutaj bardzo tęsknili za nami, a co się tyczy tego, że mogą nas nie puścić, to jest bardzo proste lekarstwo: nie opowiadać się że idziemy. Na co kto ma o tem wiedzieć? Żegnać się z nimi bardzo czule też nie widzę potrzeby, możemy pójść tak sobie, bez wielkiej ceremonii...

— I ja tak myślę że nie potrzeba się żegnać, tem bardziej, że gdy przed rokiem wychodziliśmy z domu, nie żegnaliśmy się przecież z nikim; żonie, dzieciom rodzonym nie powiedzieliśmy nawet.. „na tebe!”

Od owego czasu bohaterowie nasi przemyślać zaczęli nad wynalezieniem najpraktyczniejszego sposobu opuszczenia koszar, bez pożegnania się i bez robienia komukolwiek przykrości uroczystego rozstania się.

Beniamin szczególnie wszystkie siły swojej inteligencji wyteżał w tym kierunku. Myśl ucieczki zajmowała go wyłącznie, ciągle też był niespokojny, zadumany i kręcił się jak kwoka, gdy sobie gniazda wyszukuje na wiosnę. Pogrążony w myślach, wyłącznie jednym tylko zajęty przedmiotem, nic nie widział, nie słyszał, nie zwracał uwagi na to co się koło niego dzieje.

Często spotkawszy oficera zapominał zdjąć czapki, czem się narażał na karę, a podczas mustry nie wiedział co do niego mówią, co mu każą robić i, naturalnie, znowuż się z karą spotykał. Te wszakże nieprzyjemności przyjmował bardzo obojętnie i wyłącznie tylko marzeniem o swej podróży zajęty, na nic więcej nie zważał.

Senderik, chociaż może i myślał o wędrowce, jednak trybu postępowania nie zmienił, zawsze miał jednakowy humor, codziennie wyrabiał rozmaite sztuki z karabinem, zadzierał głowę, prostował krzyż, i aż do znużenia uczył się chodzić i zwracać, powtarzając ciągle:

— Raz, dwa! raz, dwa! prawo, lewo! marsz!

Dzięki tym ćwiczeniom miał on wyborny apetyt i sen.

Pewnej nocy, gdy zmęczony, usnął doskonale, zbliżała się do niego jakaś postać.

W koszarach wszyscy już spali—było zupełnie ciemno i cicho...

Owa postać, zatrzymując dech w sobie, skradała się cicho i ostrożnie jak kot...

Domysleć się łatwo, że ową osobą, skradającą się ostrożnie pomiędzy pryzcami, na których spali żołnierze, był Beniamin.

Stąpił on z jaknajwiększą ostrożnością, ażeby nie zbudzić nikogo—i pocichu zbliżył się do posłania, na którym wierny towarzysz jego złej i dobrej doli spał snem sprawiedliwego.

— Senderi! Senderi! — szepnął Beniamin, dotykając ramienia rycerza.

— Co? kto to? co?

— Cicho, to ja, Beniamin...

— No?

— Czy gotów jesteś do drogi?

— Aj, aj, mogę być zaraz gotów—chcesz żebyśmy poszli—to idziemy, cóż mi to przeszkadza? dlaczego nie mamy iść?

Pocichu podniósł się z posłania i trzymając Beniamina za poję, wyprowadził go z koszar tak szczęśliwie, że nikt się nie przebudził i nie spostrzegł zbiegów.

Na dworze było cicho, ciepły wietrzyk dął, a wysoko na niebie unosiły się chmury czarniawe i niebieskawe, ciągnęły jedne za drugimi powoli, jak tysiące czumaków z naładowanym na wozy towarem... spieszących gdzieś na wielki jarmark tam .. na wysokościach. Księżyc, jak „prykaszczyk“ strzegący owego długiego nieskończenie korowodu wozów, wychylał co chwila głowę z pod przykrycia chmur, spojrział czy wszystko w porządku i znowuż chował się pod czarną, jak smoła, oponczą.

Tak wlokła się po górnych szlakach powoli ta długa karawana chmur, popychana przez lekki wietrzyk, w dalekie, niezmierzone obszary.

Zbiegowie, oddech w sobie zatrzymując, skradali się ostrożnie obok ścian koszarowych—aż nareszcie doszli do parkanu oddzielającego koszary od miasta.

Wdrapali się na stos złożonego pod parkanem drzewa i już mieli się przedostać na drugą stronę gdy nagle Senderił przypomniał coś sobie i z rozpaczliwym gestem uderzył się w czoło.

— Ach, Beniamin, wiesz co? zapomniałem torby! Nie wiem teraz co robić? chyba trzeba pójść napowrót do koszar po torbę?

— Broń Boże! broń Boże—zaprotestował Beniamin—wracać się to paskudna rzecz! Jeżeli Bóg nam dopomoże, to da nam także i torbę. Zostawmy więc tamtę w koszarach, może się komu przyda.

— Wiesz co, Beniaminie—rzekł Senderił — mój dziadek rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju!) nienapróżno ukazał mi się wtenczas we śnie i rzekł: wstawaj, wstawaj Senderił i leć, uciekaj, gdzie cię oczy poniosą! uciekaj Senderił... Ach, Beniaminie, co to był za człowiek nieboszczyk dziadek mój rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju!), to był żyd co się zowieł pełną gębą żyd, bez żadnych kruczków, bez wykrętów. Nieboszczka moja babka (niech odpoczywa w pokoju) zawsze opowiadała mi....

Zanim Senderił zdążył opowiedzieć co mianowicie babka mówiła o dziadku, dał się słyszeć donośny głos żołnierza, pytającego:

— Kto idzie!

Żołnierz stał właśnie przy koszarach na warcie i widocznie zdawało mu się że usłyszał głos jakiś.

Obadwaj zbiegowie przytulili się do parkanu, skurczyli się tak że ich nie było znać wcale, nie śmieli odдыchać ze strachu...

Leżeli tak cicho, nieruchomie, bez życia, niby dwa cie-

nie od księżycy, który się z po za chmur chwilowo wychylał.

Ze strachu drżeli obadwaj jak w febrze.

Na szczęście, żołnierz, nie słysząc więcej głosu i nie zauważywszy żeby się kto ruszał — oddalił się w przeciwną stronę — a jednocześnie ciemna chmura zasłoniła księżyc; zbiegowie ostrożnie zsunęli się z parkanu i, jak sądzili, znaleźli się po za obrębem wszelkiego niebezpieczeństwa. Pomimo tego jednak, opierając się na rękach i na nogach, pełzali po ziemi jak węże, z godną pochwałą przezornością.

W taki sposób oddalili się znacznie od koszar i po godzinie utrudzającego pełzania, znaleźli się w jakiejś uliczce.

Tu podnieśli się, dali cokolwiek odpocząć bardzo zmęczonym kościom — i wesoło spojrzeli przed siebie, wiedząc że rozpoczynają znowuż tak niespodziewanie przerwana wędrówkę.

Senderił, który lubił kończyć wszystko co zaczął, nawiązał nitkę przerwano opowiadania i mówił dalej:

— Babcia moja nieboszczka (niech ona sobie odpoczywa w spokoju) opowiadała mi zawsze, że jej mąż, a mój dziadek, nieboszczyk rebe Senderił (wieczny mu odpoczynek) przez całe życie swoje wybierał się do „Ziemi Izraela“ — żeby tam, obok grobu patryarchów, głowę swoją położyć; przed śmiercią zaś, widząc że zamiaru tego nie dokona, powiedział do babki te słowa: Widzę, że nie zasłużyłem sobie u Stwórcy tego szczęścia żebym ziemię Izraela mógł widzieć własnymi oczami, ale jestem pewny że jeden z moich potomków tam zawędruje. Serce mi powiada, że nieboszczyk dziadek, rebe Senderił (niech spoczywa w pokoju) mówiąc o tym potomku, który miał dojść do ziemi świętej, mnie miał na myśli, i daj Boże ażeby moje słowa były usłyszane na niebie...

Niestety, słowa Senderiła zostały przedtem jeszcze

usłyszane na ziemi.... usłyszał je bowiem przechodzący oficer.

— Kto tam!—zapytał głosem, od którego naszym wielkim wędrowcom krew ścięła się w żyłach.

Na nieszczęście, księżyc wychylił się z poza chmury i oświetlił jasno wystraszone twarze zbiegów, którzy stali ze spuszczonei oczami, bladzi jak ściana i sami nie wiedzieli co mówić...

Wiadomo co żołnierza czeka za zbiegostwo... odwach, sąd wojenny— a potem kara okropna!

W kilka minut później, wędrowcy, którym zdawało się że szczęśliwie i bez żadnej przeszkody puszcza się w dalszą podróż—znaleźli się na odwachu, za kratami, pod silną strażą żołnierzy uzbrojonych od stóp do głów...

Ciężki, marny los!

Nie ma podobno pióra, które potrafiłoby opisać srogie cierpienia uwieczonych. Wychudli oni, pomizernieli, zbiednieli tak, że ledwie ich można było poznać. Wogóle przechodzili bardzo ciężkie koleje.

Senderił był od Beniamina o tyle szczęśliwszym że mógł spać i przynajmniej przez ten czas nietylko że nie cierpiał, ale nawet miewał chwile przyjemne, gdyż śniły mu się rozmaite miłe rzeczy. Nieboszczyk dziadek rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju) ukazywał mu się wielokrotnie, a zawsze w sposób nader przyjemny. Nigdy nie zjawiał się (chociaż we śnie) z próżnemi rękami—przynosił wnuczkowi swemu łuk i strzały, albo też „Haman-klepeł“ (klekotka, którą dzieci biją Hamana podczas zapust żydowskich), szczypał go pieszczotliwie za policzki i mówił: masz Senderuniu łobuzie, baw się tem, strzelaj! rób pif! paf! Senderił... Czasem znów przynosił z sobą „drejdeł“ \*) i zasia-

\*) Drejdeł. Zabawka w rodzaju frygi, ma formę sześcienną, a na każdej jej ścianie jest wyróżniona litera hebrajska.

dał na ziemi aby grać z ukochanym wnuczkiem. Senderił kręcił, kręcił, wypadło mu „Gimel“ i wygrał grosz, który mu dziadek rzetelnie, gotówką natychmiast zapłacił..

Miłym jest dla człowieka taki sen, bardzo miłym... a zresztą czyż całe życie ludzkie nie jest snem tylko?

Beniamin jednak nie miał i tej pociechy — nie mógł spać, nie miał snów przyjemnych i wszystka krew burzyła się w nim i kipiała, jak w kotle...

Wyglądał przez okratowane okienko: słońce świeciło przyjemnie, zielona trawka rosła, drzewa młodemi liśćmi pokryte szumiały, ludzie biegali tu i tam, ptaszki śpiewając wlatywały w górę — a on siedział zamknięty w czterech ścianach więzienia, za kratami — i nie mógł się na świat wy dostać!

Bywało, że aż podskakiwał do góry z wielkich cierpień jakie szarpały mu duszę; chwycił się za głowę, darł z niej włosy, biegał po odwachu i krzyczał wielkim głosem:

— Gwałt! gwałt! Co oni chcą odemnie? co ja im złego zrobiłem?!

W kilka dni później, w kancelaryi pułkowej zebrali się członkowie sądu wojennego. W sali znajdowało się wielu oficerów, pomiędzy którymi byli również pułkownik i generał.

Beniamin i Senderił, oskarżeni jako zbiegowie, weszli tam pod silną eskortą. Smutni, ze spuszczonei głowami, wyglądali oni jak myszy, które wpadły w dzieżkę kwaśnego mleka.

Oficerowie przypatrywali im się bardzo uważnie, robili jakieś uwagi, i rozmawiali coś ze sobą, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Słuchaj-no Senderił — szeptał Beniamin do swego towarzysza niedoli, podczas gdy oficerowie zajęci byli rozmową, żebym nawet wiedział że mnie śmierć czeka, to mu-

sze im powiedzieć całą prawdę. Jestem naładowany, nabi-ty jestem prawdą—i nie będę mówił nic tylko prawdę...

— Z mojej strony—rzekł Senderik—nie mam przeciwko temu, chcesz mówić prawdę, mów prawdę — chcesz tak, mów sobie tak, co mnie to przeszkadza?

— Wy, odezwał się surowo generał—wykradliście się w nocy z koszar i chcieliście uciekać. Czy wiecie że to jest ciężkie przewinienie, za które prawo ostrą wymierza karę...

— Aj waj! aj waj!—zaczął Beniamin swą obronę, trochę po rosyjsku, trochę po polsku, a głównie po żydowsku i mówił tak przekonywająco, z takim zapałem, że sam Chajkiel Zaika (jąkała), największy orator z Tuniejadówki, mógł mu pozazdrościć sukcesu...

Efekt był nadspodziewany, albowiem generał, słuchając tej oracyi, zaledwie mógł powstrzymać się od śmiechu i dał pułkownikowi znak ręką ażeby dalej sprawę prowadził.

— Bardzoście zawinili—rzekł pułkownik—powiedźcie co macie na swoją obronę?

— Wasze błagorodiel! — krzyczał nieludzkim głosem Beniamin,—to łapać ludzi na środku ulicy w biały dzień i sprzedawać ich jak kury na targu—można? a jak ci ludzie chcą uciec, żeby zająć się swojemi interesami — to nie można?! Teraz taki jest świat paskudny, taki rozpuszczony, taki zły, że dalibóg, niewiadomo co teraz można? a czego niemożna? Przeciwnie, naodwrot, trzeba zobaczyć tę rzecz z drugiej strony i przekonać się, kto tu winien? Naprzykład jakby panów, nieprzymierzając, złapali na drodze i wsadzili w worek, czybyście panowie byli winni chcąc się z worka wydobyć? Ja zawsze powiadam, że to od samego początku była paskudna rzecz, samo oszukaństwo od początku—ja to zawsze powiadam! Tu nikt w tym interesie nie winien, tylko tamci żydzi! dniewrowieccy żydzi (żeby tak szczęście miał). Oni i panów oszukali i nas oszukali! Gadaj Sen-



derił, gadaj, otwórz gębę! cóż stoisz jak bałwan gliniany!? Wychoź naprzód z prawdą, prawdę mów! Nie bój się, mów prosto w oczy! Przyświadcz że my tu na nic niezdatni jesteśmy, że nie czytaliśmy książek o strategii, że nie znamy sztuki wojowania i znać jej nie chcemy! Powiedz, że Bogu dzięki, jesteśmy obadwaj ludzie żonaci—i że mamy w głowie co innego niż strategię, że poważniejsze sprawy nas zajmują—takie zaś drobiazgi jak wojna i to co do niej należy, nie wchodzi bynajmniej w zakres naszej specjalności. To nawet nie idzie nam do głowy! Czegóż stoisz jak kolek, Senderił, gadaj! mów! krzycz! proś żeby nas puścili! Czyż nie widzisz że oni sami chcieliby pozbyć się nas jak naprędzej?

Długo bardzo przemawiał w ten sposób Benjamin i trzeba przyznać że słuchano go bardzo uważnie, chociaż należy wątpić, czy członkowie sądu mogli przynajmniej dziesiątą część tej obrony zrozumieć.

Benjamin nie mijał się z prawdą, twierdząc że oficerowie pragnęli gorąco pozbyć się coprędzej takich dzielnych żołnierzy jak on i jego towarzysz. Z takich albowiem wojowników niepodobna było spodziewać się jakiegokolwiek pociechy—a czas na ich naukę poświęcony, był straconym na próżno...

Obrona, którą tak świetnie wypowiedział Benjamin, nietylko że nie chybiła celu, ale sprowadziła skutek przechodzący wszelkie oczekiwania. Prezydujący w sądzie skinął na jednego z oficerów znajdujących się w sali—i wskazując na drżących ze strachu zbiegów, zapytał:

— Co myślisz o tych ciekawych egzemplarzach, doktorze?

Doktór wdał się z Benjaminem i jego towarzyszem w gawędkę; pytał ich o to i owo, rozmawiał z nimi dość

długo, aż wreszcie spojrział na generała i uderzając się palcem w czoło, z gestem znaczącym, rzekł:

— Brakuje tu klepki (do felt a klepke).

Skończyło się na tem, że sąd wojenny, po niedługiej naradzie, wydał wyrok uwalniający obudwóch przestępców, nietylko od odpowiedzialności za zbiegostwo — ale zupełnie od wojska.

— Idźcie sobie swobodnie, — powiedziano im, — idźcie zdrowi, gdzie wam się tylko podoba.

Beniamin pożegnał całe zgromadzenie w sposób bardzo uprzejmy i odszedł zwykłym krokiem, jak człowiek prywatny. Senderik natomiast, przyzwyczajony już poniekąd do form militarynych, wykonał przy drzwiach wspaniały zwrot na lewo (przyczem o mało nie runął na ziemię) i poszedł w świat krokiem posuwistym, komenderując sobie:

— Marś! marś!

---

## X.

Na tem kończy się odyssea wielkich podróżników z Tuniejadówki. Ucięta jak nożem, pozostawia czytelnika w zupełnej nieświadomości co do dalszych losów żydowskiego Donkiszota i jego wiernego giermka. Co zrobili po szczęśliwym wystąpieniu z szeregów armii? Może syci przygód i chwały, powrócili do rodzinnego miasta, aby tam w „bejschamidraszu“ pod piecem, wobec „połne sobranie“ opowiadać o dziwach światów nieznanych — a może też, z torbami na plecach i ufnością w sercach, powędrowali nad brzegi „Sambatyi“, śladami Aleksandra Macedońskiego, do „gór ciemności“, do „hindye“, szukać współwyznawców z zatraconych dziesięciu pokoleń i obaczyć „czerwone dzieci Mojżesza“ proroka—tego ja nie wiem.

Powiastrka kończy się na tem miejscu, do którego miałem zaszczyt doprowadzić cierpliwych czytelników. Wprawdzie na tytułowej karcie oryginału napisano jest wyraźnie „K sięga pierwsza“, co każe się domyślać że autor miał zamiar napisać drugą, a może i dalsze, lecz dotychczas tego zamiaru nie wykonał — i skutkiem tego historia wielkiego Beniamina nie ma końca. A może to naumyślnie zrobione — może autor chciał tym sposobem przedstawić figurycznie, że bieda i tułactwo zacofanych mass żydowskich końca nie ma?

I tego nie wiem; — ale przyobiecuję czytelnikom, że jeżeli kiedy spotkam się z dalszym ciągiem powieści o nieustraszo-  
nym Benjaminie—to nie będę robił z tego tajemnicy i opo-  
wiem co było i jak było.

Obecnie, zanim zakończę zupełnie niniejszą pracę, upraszam jeszcze o odrobinę uwagi, gdyż pragnąłbym wy-  
powiedzieć słów kilka od siebie.

W trakcie drukowania „Donkiszota Żydowskiego“ zrobiono mi bardzo wiele uwag, tak piśmiennych jak ustnych, i wyrażano zdania najbardziej sprzeczne. Jedni dopatry-  
wali w tej pracy cel głębszy i poważniejszy, — drudzy wi-  
dzieli w niej błahostkę, niebardzo a nawet wcale niezajmu-  
jącą; jedni zachęcali do studyów nad piśmiennictwem żar-  
gonowem, inni natomiast twierdzili, że jest to głupstwo, na  
które szkoda czasu i pracy poświęcać.

Otóż nie chciałbym tych uwag zbyć milczeniem. Prze-  
ciwnie, sądzę że powinienem złożyć kilka słów objaśnienia.  
Będą one zarazem służyły za odpowiedź osobom, które z po-  
wodu „Donkiszota“ zaszczyliły mnie swoją korespondencją.

Jeżeli patrząc, dajmy na to, na rzekę, pragniemy się  
dowiedzieć z kąd się bierze taka masa wody, tedy idziemy  
w górę, do źródła i ciekawość nasza jest zaspokojona; po-  
dobnie jeżeli chcemy badać tak zwaną „kwestyę żydow-  
ską“, idźmy do jej źródła, idźmy do gniazda żydowstwa  
zamkniętego w ciasnem kole swych odrębności obyczaj-  
owych i religijnych, idźmy do naszych małych miasteczek.

Może to się komuś wyda dziwnem, lecz według me-  
go zdania, rozwałkowywanie tego co wypisuje taki na-  
przykład Rolling, antisemita zaciekły; jak również tego co  
wychodzi z pod pióra dra Jelinka, rabina i naturalnie filo-  
semity z zasady,— z naszą, krajową kwestyą żydowską nie  
ma bezpośredniego związku. Co nas obchodzą te wszystkie  
polemiczne i gazeciarskie „juden hetze“, odbywające się po

za granicami kraju, gdy tu... tu, na naszej ziemi mamy taką masę ciemnych, zacofanych żydów! gdy mamy taką wiecz- nie jęczącą się ranę, na naszym własnym organizmie spo- łecznym. Egoizm to może—ale doprawdy, bliższa koszula ciała aniżeli kaftan, jak powiada przysłowie—i zawsze za- miast przyglądać się cudzym nieporządkom, lepiej i prakty- czniej jest zrobić porządek u siebie, o tyle przynajmniej, o ile to jest w naszej mocy...

Otóż—zamiast bujać w dziedzinie teoretycznych mrzo- nek i illuzyj, zamiast pomstować na żydów, na ich spryt— przebiegłość, zdolność do wszelkiego szachrajstwa i zamiast nad własną ubolewać niezaradnością—czy nie lepiej zbliżyć się do nich i poznać ich dobrze?

Znajomość, dokładna znajomość nieprzyjaciela, jego sił i środków, (choć co prawda, nie chciałbym tak żydów na- zywać) jest już połową zwycięstwa. A cośmy dotąd w tym kierunku zrobili? Czy znamy żydów dobrze?

Uderzmy się w piersi. Z żydem (a mówię tu o massie żydowskiej zacofanej) łączy nas tylko interes. Idziemy do niego gdy potrzebujemy coś sprzedać, albo pieniędzy poży- czyć—znamy go poprostu, jako interesanta, sprytnego, prze- biegłego, wyzyskującego częstokroć, ale nie znamy go zu- pełnie jako człowieka.

Mamy dla niego uśmiech politowania, albo uśmiech po- gardy, lecz nie wglądamy bliżej w jego życie, nie pytamy dla czego on jest takim jakim jest? i jakimi środkami mo- żemy go uczynić takim jakim być powinien?

Powiadamy że żyd jest szachraj, wyzyskiwacz, lich- wiarz, pijawka społeczna, pasożyt—prawda to, w znacznej nawet części—ale dla czego mówiąc tak, nie pomyślimy że żyd jest to także.... człowiek?

Człowiek, człowiek przedewszystkiem! taki sam jak i my wszyscy „syn ziemi“, z temiż zdolnościami, z temi skłon-

nościami jakie my posiadamy, tylko z historią inną, z wychowaniem odrębnem. Na niego, gdy zaledwie od ziemi odrósł i przy fartuchu matki się czołgał — działały inne wpływy niż na nas, ztąd też on do nas niepodobny, on nam obcy.

On jest obskurant i fanatyk — zasklepiiony w swej skorupie jak ślimak, niezdolny do produkcyjnej pracy, bo nie przysposobiono go do niej; nie rozumiejący najbliższych swych sąsiadów, gdyż go odgranicza od nich „mur chiński“, o którym na początku niniejszej pracy mówiłem, — on więc jest wyzyskiwaczem, szynkarzem, lichwiarzem albo faktorem, gdyż inaczej zarabiać na chleb nie umie, a żyć potrzebuje.

Tak, nasze miasta i miasteczka to są źródła i źródelka kwestyi... żydowskiej, są to siedliska owych „pasożytów“ a prawdziwie mówiąc siedliska nędzarzy ostatniego gatunku, gnieźdzących się w brudnych norach, po trzy familie w jednej izbie—żyjących kartoflami i cebulą, nędzarzy, którzy zaledwie raz na tydzień widują kawałek mięsa. A jednak oni są także ludźmi i na równi ze wszystkimi mają prawo do życia.

Nie wiem czy jest kwestya, o której u nas tyle się mówi i pisze, ile o kwestyi żydowskiej—ale niestety i to co się mówi i to co się pisze bardzo mało przynosi pożytku. A przecieź kwestya to ważna. Setki tysięcy żyje wśród nas, na jednej ziemi, żyje w odosobnieniu; w znacznej części nieprodukcyjnie, szkodliwie dla ogółu.

Cóż z nimi zrobić? Przecież nie można ich ani wytopić co do nogi—ani naładować na jakąś olbrzymią furę i wysypać na grunt sąsiada—gdyż nie w taki sposób rozwiązują się kwestye społeczne w XIX wieku. Trzeba ich więc ucywilizować, oświecić, zachęcić, i poniekąd zmusić do produkcyjnej pracy.

Ale jak?

Otóż w tem jest sęk najtwardszy. Społeczeństwo chrześcijańskie na masę żydowską nie wywiera najmniejszego wpływu—bo wywierać go nie może. Jesteśmy rozdzieleni murem, który przez wieki budowano, a takie mury są, jak wiadomo, osobiwie trwałe. Pokolenia znoszą na nie cegły, historia zlepia je cementem, a pod wpływem wieków tak ten mur stwardnieje, tak się zeszkli, że nie masz podobno oskarda, któryby go rozwalił... chyba tylko rozum, o tyle o ile go namiętność nie zaślepią.

Chrześcijańskie społeczeństwo nie ma wpływu na żydów—może więc żydowska inteligencya coś na tej szali zawżyć potrafi.

Gdzież tam! Tu znowuż spotykamy objaw innej kategorii. Nasza, krajowa inteligencya żydowska, a specjalnie warszawska, ma taki wpływ na zacofaną masę swych współwyznawców, jak, dajmy na to, fabrykacya musztardy na zmiany księżycy... Jednostka żydowska, jeżeli oderwie się od swego otoczenia, jeżeli dzięki wykształceniu umysłowemu, oddali się od ojców swych i braci zacofanych, to już zrywa z nimi zupełnie. Zrzuciwszy z siebie chałat i przywdziawszy ubiór cywilizowanego człowieka, żyd postępowy wchodzi w zupełnie inną sferę i oddala się całkiem od swoich. Pomiedzy nimi a nim, nie ma już nic wspólnego; on jest dla nich „apikores“, bezbożnik i heretyk—oni dla niego gromadą obskurnych zacofańców, których jak morowego powietrza unika. Nie sekret to, że większa część tych żydów, którzy zrucili z siebie chałaty i weszli w świat chrześcijański, pomiedzy ludzi cywilizowanych, wstydzą się swoich zacofanych braci, a nawet się niechętnie do żydowskiego pochodzenia przyznaje. O tem zaś żeby który z tych panów starał się wywrzeć dodatni wpływ na masę, żeby chciał ją ucywilizować, umoralnić—mowy nawet nie masz. Zkądże

więc ma przyjść światło do takich ludzi jak Beniamin, Senderił, reb Ajzyk Dowid, Chajkieł Zaike i tych wszystkich członków „połne sobranie“, obradujących w bóżniczce nad polityką Aleksandra Macedońskiego i interesami Rotszylda? Ze strony chrześcian nie—ze strony cywilizowanych żydów także nie; jakąż więc drogą ma się dostać do nich promień światła? Czy zawsze mają tonąć w zabobonach i przesądach i sposobić swe dzieci nie do praktycznego życia, nie do produkcyjnej pracy, lecz do wegetacji nędznej i ciężkiej. Dodać należy że i wegetacya ta z każdym rokiem trudniejszą będzie; raz dlatego że proletaryat żydowski powiększa się ciągle, a powtóre że w tych czasach ciężkich i chrześciańska ludność więcej liczy się z groszem i nie tylko że wobec faktorów i kramarzy trzyma się odpornie—lecz sama zwraca się na pole handlu, dotychczas wyłącznie znajdującęgo się w rękach żydów. W miasteczkach, pomiędzy ludnością żydowską szerzy się nędza, nędza coraz dotkliwsza, która zmusza ją do rozpaczliwego chwytania się środków nie zawsze godziwych, byle tylko egzystencyę swoją podtrzymać.

Śmiem twierdzić, że gdyby żydzi nie umieli jadać „homeopatycznie“, toby już ich trzecią część z głodu wymarła.

Nie jest to wcale paradoks, ale najszczerza prawda, a kto się chce o niej przekonać niech zajrzy do naszych brudnych, zabłoconych miasteczek, niech własnymi oczami zobaczy ten ogrom nędzy. Garnek kartofli z solą, kawałek chleba, cebula i rzodkiew, to całodzienne pożywienie rodziny złożonej z kilkorga osób. Jedzą oni wogóle bardzo mało, zadziwiająco mało a żyją w takiej nędzy, że kto jej oczami własnymi nie widział, ten o niej pojęcia mieć nie może.

Dodajmy do tego, że tu, w Królestwie, pomiędzy żydami znajduje się znaczna libzba „hassydów“, którzy z pogardą traktują wszystko co jest ziemskie i nie zajmują się



niczem, cały dzień przepędzając w bóżnicy. Dla nich hańbą jest wszelka praca, a kłopot o utrzymanie rodziny zdają oni wyłącznie na barki swych żon, które z drobnego handlu, z marnego przepokupnictwa zdobywają jakiś grosz.

W tych brudnych i zabłoconych naszych miasteczkach kryje się rdzeń tak zwanej kwestyi żydowskiej, kwestyi, która z każdym rokiem coraz bardziej i bardziej palącą się staje, gdyż ta głodna, straszliwie biedna — a do pracy nieuzdolniona massa powiększa się z dniem każdym i poprostu aby głód zaspokoić, aby egzystencję podtrzymać, ucieka się po sposobów szkodliwych dla reszty ludności.

Wszelkie więc czyny dążące do oświecenia tych nędzarzy, rozproszenia ciemności jakie ich otaczają, zachęcenia do pracy, do rzemiosł, — uważać należy za fakta pozytywne, dodatnie, które do kategorii obywatelskich zasług trzeba kwalifikować.

Jak powiedziałem wyżej, tutejsza inteligencja żydowska nie chce się do tego obowiązku poczuwać, lecz są z pomiędzy cywilizowanych żydów litewskich jednostki, które wszedłszy w świat oświeceni, nie zapomniały jednak o tem z kąd wyszły i że pozostawiły za sobą massę ciemną, politowania godną — i nie mającą znikąd pomocy.

Otóż ci żydzi oświeceni, dla cywilizowania swych zacofanych braci stworzyli literaturę ludową, literaturę żargonu, za pomocą której, usiłują przeprowadzać idee dobre, zwalczać zabobony, zachęcać do uczciwej pracy. Naturalnie, że oprócz ludzi idei, wzięli się także do pisania książek żargonowych ludzie geszeftu — i dla spekulacyi zaczęli wydawać prace nie mające żadnej moralnej wartości, — lecz proszę mi wskazać choć jedno jakiegokolwiek piśmiennictwo, które nie posiadałoby swych pereł i swych śmieci. Książek żargonowych, godnych żeby nimi w piecach palono, nie

braknie; ale nie braknie też i takich, które jako dzieła ludowe, zasługują na zupełne uznanie.

Te właśnie książki, jak dzisiaj, są jedynym środkiem cywilizacyjnym, wywierającym do pewnego stopnia wpływ na ciemne masy żydowstwa. Powiadamy do pewnego stopnia, gdyż i one nawet nie upowszechniają się bardzo łatwo.

„Izraelita“ warszawski, w artykule wstępnym poświęconym kwestyi żydowskiego żargonu, powiada: że piśmienictwo żargonowe nie ma racji bytu, że należy zmusić żydów do tego, aby mówili pomiędzy sobą językiem krajowym i aby w tym języku pisane książki czytali. Jest to myśl bardzo piękna, na którą każdy z nas zgodziłby się chętnie—ale myśl o ile piękna w teorii, o tyle niemożliwa do wykonania w praktyce. Zacofany żyd nie wyrzeknie się żargonu, który za swój język uważa, a książek polskich z pewnością czytać nie będzie. O ile więc w teorii należy zdaniu „Izraelity“ przyznać słuszość, o tyle znów względy czysto praktyczne nie każą lekceważyć literatury żargonu.

Skoro ta literatura może mieć jakiś wpływ na masy, skoro potrafi chociaż w części przyczynić się do oświecenia i pchnięcia jej na drogę cywilizacji, to już ma rację bytu. Czy żyd, stosownie do uzdolnienia swego, czytać będzie książki hebrajskie, czy żargonowe, byle tylko znajdował w nich pożytek i oświatę—to wszystko jedno; niech czyta, niech się uczy, cywilizuje, niech pozbywa się przesądów i niech nabierze przekonania że nie wolno jest żyć beczynnie, bez pożytku dla siebie i drugich.

Obawa że książki żargonowe mogą się przyczynić do utrwalenia żydowskiego idiomu, jest całkiem płonną; żargon albowiem używany jest tylko przez zacofaną masę, a gdy który żyd wyrwie się z tej sfery, otrzyma jakie takie wykształcenie i wejdzie pomiędzy ludzi cywilizowanych, to za-

rzuca szwargot i mówi językiem krajowym. Kwestya istnienia, lub upadku żargonu wyłącznie zależy od stopnia cywilizacyi jaką żydzi posiadają, i jak niepodobna wyobrazić sobie aby żydzi zacofani w stosunkach między sobą i w życiu rodzinnem nie używali żargonu, tak też z drugiej znów strony, nie sposób uwierzyć aby rodzina cywilizowanego żyda posługiwała się tym idyomem. Jest to jasne jak słońce i dowodzenia nie potrzebuje— a gdyby (przypuśćmy taką hipotezę) dziś ucywilizowała się cała masa zacofanych żydów—to dzień dzisiejszy byłby dniem upadku żargonu.

Nie ma więc powodu rozdzierania szat i lamentowania nad faktem, że piśmiennictwo żargonowe rozwija się—gdyż ten rozwój jest pożytecznym i on właśnie przyczynia się do tępienia żargonu. Nie jest to wcale paradoksem, lecz prawdą, którą, przypatrzwszy się bliżej kwestyi, znaleźć bardzo łatwo.

Z tych zasad wychodząc, trzeba przyznać że piśmiennictwo żargonowe ma rację bytu i że (jak na teraz przynajmniej) jest ono jednym, a nawet jedynym, środkiem walki z zacofaniem i ciemnotą. Wszelkie inne środki, jak np. reforma szkółek żydowskich etc., mogą być wprowadzone tylko przez rząd—wydawanie zaś pouczających książek zależnem jest jedynie od dobrej woli jednostek, pragnących dla dobra uboższych duchem braci pracować.

Pisarze żargonowi zachęcają żydów do pracy. W kilku książkach wyszłych z pod ich pióra zdarzyło mi się czytać cytate z Talmudu, w której powiedziano, że ojciec jeżeli nie daje synowi (oprócz religijnego wykształcenia) nauki rzemiosła, krzywdzi syna. Na tle tej cytaty rozwinięte są całe rozdziały, a nawet całe powiastki. W książkach żargonowych znaleźć można uderzająco prawdziwe obrazy nędzy w jakiej żyje rodzina żyda, przepędzającego całe życie w bóźnicy—i ostrą satyrę przeciw takim ojcom; naukę że

religia nakazuje rodzicom, aby się losem swych dzieci zajmowali.

Nie ma zabobonu i przesądu żydowskiego, przeciw któremu nie walczyliby ci autorowie, nie zbijali go, nie dowodzili jego śmieszności.

Przeciwko systemowi kształcenia dzieci żydowskich, praktykowanemu obecnie wśród zacofanej ludności, walczą oni systematycznie i wytrwale. Nieuctwo „melamedów“ (nauczycieli), okropny stan „chederów“ (szkółek)—fatalny, pod względem pedagogicznym wykład przedmiotu, nieludzkie obchodzenie się z dziećmi—zabijanie w nich wszelkich sił fizycznych i duchowych—przedstawiane są w książkach żargonowych tak jaskrawo, tak realnie, że niepodobna uwierzyć, iżby przeczytawszy taki opis, żyd nie przeraził się i nie odczuł niedoli swych dzieci.

Ci pisarze bynajmniej nie ukrywają wad swego plemienia, mówią oni z całą swobodą o każdej podłości i złym czynie, przedstawiają w jaskrawem oświetleniu denuncyantów, szachrai, lichwiarzy i wszelkich wyzyskiwaczy nędzy ludzkiej—rzucają im w twarz ciężkie oskarżenia, a zestawiając ich drobiazgowo wykonywane praktyki religijne z postępkami złemi—powiadają im bez ceremonii:—wy jesteście nabożni rozbójnicy, „koszerni“ zdierycy i złodzieje!!

Niech kto chce sądzi tę sprawę—a przyzna niezawodnie że takich głosów lekceważyć nie można; przeciwnie że należy je popierać, przyczyniać się do ich rozpowszechnienia. Jedna dobra z uczciwą tendencją napisana książeczka w żargonie więcej dobrego zdziałać, więcej wpływu wywrzeć może, aniżeli setki najpiękniejszych artykułów „o kwestyi żydowskiej“, artykułów, które mogą być bardzo zacne, rozumne,—ale, których żaden żyd potrzebujący reformy nie czyta.

Teorya „Izraelity co do żargonu bardzo jest ładna, ale

kwestya żydowska, a raczej kwestya ucywilizowania i umoralnienia żydów, nie da się teorią rozwiązać—tu potrzeba czynu. Na papierze to nawet bardzo pięknie wygląda jak nasz np. „Izraelita“ oderwany od masy zacofanej, płacze nad jej ciemnością; jak opisuje cnoty wielkiego filantropa z Ramsgate, splendory jakie spadły na londyńskiego Rotszylda, jak w szeregu długich rozpraw usiłuje wykazać zalety mozajizmu, lub zbijać wersje o szkodliwych tendencyach Talmudu—to wszystko, powiadamy, jest bardzo piękne, ale na papierze tylko. Ani jeden żyd, z tych, którym właśnie trzeba oczy otwierać, których należy cywilizować, „Izraelity“ nie czyta;—i ostatecznie praca chybia celu, bo nie dochodzi tam gdzie dojść powinna... a tymczasem książeczka żargonowa dostaje się do rąk żyda.

W ogóle w wystąpieniu „Izraelity“ przeciwko literaturze żargonowej, uderza wcale nie żydowska niepraktyczność—bujanie w sferze mrzonek—i jakiś osobliwszego rodzaju optymizm. „Izraelicie“ zdaje się, że po napisaniu przez niego kilku artykułów o piękności mowy polskiej, o obywatelskim obowiązku używania języka kraju, w którym się na świat przyszło — Mosiek z Kozienic, lub Wigdor z Łysobyk, uczuje dziwne rozrzewnienie i surowo nakaze swym dzieciom ażeby nie ważyły się mówić żargonem.

Słodkie złudzenie, doprawdy!

Dla nas, chrześcian, literatura żargonu, jakem to już wykazał na wstępie, ma także swoją wartość, albowiem daje ona możność poznania wielu stron życia żydowskiego nieznanych nam zupełnie; za jej pomocą będziemy mogli uprzedzenie niejedno obalić, niejedno co ciemne wyjaśnić i wogóle mieć o żydzie, jako o człowieku, dokładniejsze aniżeli dotąd pojęcie.

Powiedziałem wyżej, że nie masz chyba przedmiotu, o którym pisano by tyle co o kwestyi żydowskiej. Z owych dzieł, dziełek i broszur możnaby uformować olbrzymią bi-

bliotekę, złożoną z prac w najrozmaitszych językach martwych i żyjących, starożytnych i współczesnych. Obszerna ta literatura da się podzielić na wiele gałęzi specjalnych. I tak: o historii żydów napisano tysiące tomów,—o ich religii, etyce, prawodawstwie istnieje również dzieł mnóstwo, a tego co o Talmudzie napisano, co powiedziano o nim i pro i contra, spamiętać trudno.

Z rozwojem prasy peryodycznej, gdy książki musiały ustąpić wiele miejsca gazetom, kwestya żydowska dostała się do szpalt czasopism i wytworzyła wiele organów specjalnych. Niepodobna wyliczyć wszystkich wydawnictw peryodycznych tym przedmiotem zajętych. Powstają pisma, których głównem zadaniem jest walczyć przeciw dziennikarstwu znajdującemu się w rękach żydów; widzimy częste artykuły przeciwko etyce żydowskiej, nieskończone wycieczki przeciw Talmudowi, przeciw ekonomicznej szkodliwości żydów; widzimy gwałtowną walkę przeciw kapitalizmowi, który utożsamiono z kwestyą żydowską w ogóle. Nawet w dziedzinę sztuki ta kwestya wkracza, nawet teatr wolnym od niej nie jest. Jednem słowem na wszelkie sposoby obrabiają ludzie ów przedmiot.

Tak dzieje się nietylko w innych krajach, ale i u nas. Artykuły dziennikarskie, komedya, powieść — wszystko to dotyka żydów, ich wad, albo zalet, stosownie do tego z pod czyjej ręki praca wychodzi.

My mamy także dzieła o historii żydów wogóle, mamy prace traktujące specjalnie historję polskich żydów, mamy artykuły i studia o ich działalności ekonomicznej, o żydowskich artystach i poetach. Na wołowej skórce nie spisać tego co napisano o bankierach i ich figlach przeróżnych.

Mamy w naszym dziennikarstwie obszerne studia o szkodliwości Laskerów, Bleichrederów, Bambergerów a tutti quanti, wiemy doskonale co mówi, a nawet co myśli, nadworny kaznodzieja Stöcker — jesteśmy poinformowani najdo-

kładniej o wszelkich procesach w rodzaju Tisza-Eslarskiego, wiemy doskonale o każdym kroku Istoczy'ego i Onody'ego — słowem jesteśmy z kwestyą żydowską obznajmieni przeszłonie. Wiemy jak ona wyglądała za Faraonów, podczas niewoli babilońskiej, przed i po zburzeniu Jerozolimy, w wiekach średnich i dziś.

Kwestya żydowska tak jest u nas zpopularyzowaną, że nawet tak zwany przeciętny czytelnik, czyli człowiek średnio wykształcony, mógłby powiedzieć coś o sporach uczniów Rabi Szamai z uczniami Hillela, przyznałby że nie są mu obcimi imiona Rabi Jochanana, Gamaliela, Akiby etc, że słyszał coś o Majmonidesie i Mendelsohnie, wreszcie że zna trochę historję Franka i frankistów. Zdarza się w salonie słyszeć młodą panienkę rozprawiającą o Spinozie — a o Heine'm i Boerne'm wie już każda uczennica z trzeciej klasy...

Jednem słowem, kwestya żydowska znaną i obrabianą jest przez nas na wszystkie boki. Od pierwszych patryarchów izraelskich, aż do dziennikarstwa liberalno-żydowskiego w Niemczech, do spółczesnych gründerów berlińskich, wiemy i czytamy o wszystkim, oprócz... o setkach tysięcy żydów zaludniających nasze miasteczka i osady.

Zapomnieliśmy o tej małej bagatelce — o naszych Mośkach, Abramkach i Ajzykach, którzy, o ile sędzę, powinni nas daleko więcej obchodzić, aniżeli od wieków spoczywający w grobie Rabi Szamai, lub też semiccy reprezentanci liberalizmu niemieckiego.

Dziwnie pojmujemy tę kwestyę, mówimy i piszemy o niej aż do zbytku, aż do przesady, ale cóż z tego kiedy ci żydzi, których życie domaga się reformy, nic a nic tego nie słyszą!

Nie dalej jak wczoraj, z jednym moim dobrym znajomym rozmawiałem na cichej, mało uczęszczanej uliczce. Po drugiej stronie ulicy właśnie przechodził żyd, odziany

w chałat, brudny, zaszargany, biegł szybko, widocznie za geszeftem.

— Czy wiesz doktorze — rzekłem do mego znajomego,—założę się, że ten żyd, to musi być wielki oszust, szachraj i geszeftciarz. Jakież nieprodukcyjne jego życie, jakie szkodliwe dla całego ogółu! a jednak przecież to człowiek tak jak i wszyscy, mógłby być najzacniejszym obywatelem kraju...

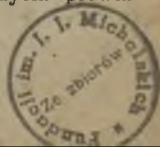
— A któż go tego nauczył? — zapytał mój znajomy i trafił w sam sęk kwestyi żydowskiej.

Otóż pisarze żargonowi chcą właśnie żyda uczyć—a ja korzystając z ich prac, pragnę znowuż nasz ogół chrześcijański z żydowskim życiem zapoznać. Taki sobie obrałem cel i, o ile siły pozwolą, dążyć do niego będę, w tem przekonaniu, że ta praca jest pożyteczną i uczciwą. Niech ideałisci bujają w sferze mrzonek i utopij, niech studują różne teorie, ja pragnę zająć stanowisko niezajęte dotąd, chcę poświęcić czas i pracę specjalnie badaniu naszych polskich, chałatowych Mośków i Dawidków—gdyż mniemam, że przez to i chrześcijańskiemu społeczeństwu i Mośkom owym małeńki chociaż pożytek przyniosę.

Niechże więc „Izraelita“ warszawski pozostanie przy idealnych teoriach, niech informuje czytelników o Rotszyldach i innych luminarzach kosmopolitycznego żydowstwa, a mnie niech pozwole pozostać przy naszych pacanowskich Rotszyldach i przy pachciarzach z Psiej Wólki, o których nikt myśleć nie chce...

## K O N I E C.

\*) Kończąc niniejszą pracę, pierwszy owoc studyów nad literaturą żargonu, mam sobie za miły obowiązek złożyć podziękowanie p. Leonowi Dawidsohnowi, studentowi medycyny uniwersytetu warszawskiego, który był i jest jeszcze moim *cicerone* w wertowaniu książek żydowskich, i który zawsze chętnie udziela mi objaśnień dotyczących życia prowincjonalnych żydów, znanych mu doskonale.











The image shows the front cover of an antique book. The cover is decorated with a marbled paper pattern in shades of dark green, black, and red, set against a dark, textured leather spine on the right. A circular library label is affixed to the top right corner of the cover. The label is white with a red border and contains the letter 'F' and the number '22.692' in black ink. The book shows signs of age, with some wear and discoloration on the marbled paper.

F

22.692